

CYNAMONOWE GWIAZDY

MAŁGORZATA STAROSTA





CYNAMONOWE GWIAZDY



MAŁGORZATA STAROSTA



Redakcja: Anna Szumacher
Korekta: Angelika Kuch, Martyna Olewska, Katarzyna Skarda
Projekt okładki: Agnieszka Zawadka
Zdjęcie autorki: Wojtek Biały
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © Shutterstock/New Africa

Skład i łamanie: Cyprian Zadrozny
Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

Wydawnictwo Mięta Sp. z o.o.
03-707 Warszawa, ul. Floriańska 14 m. 3
biuro@wydawnictwomieta.pl
www.wydawnictwomieta.pl

ISBN 978-83-67341-35-6

Copyright © Małgorzata Starosta, 2022

Wydanie I

Warszawa MMXXII

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

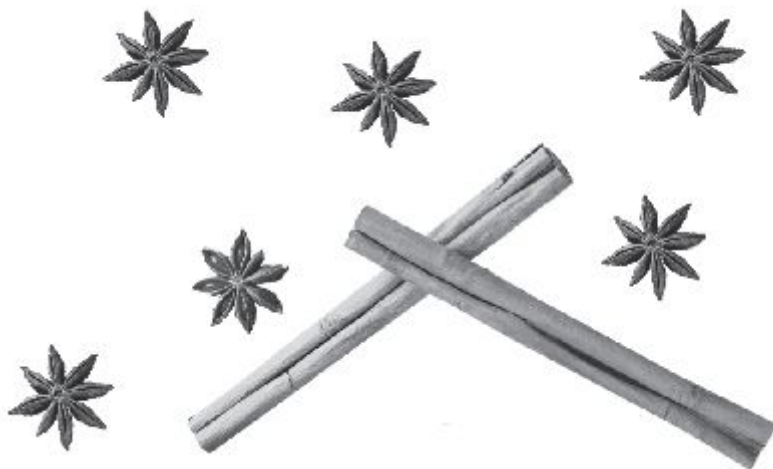
[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[EPILOG](#)

[Od autorki](#)



Rozdział 1

– To było dogłębnie przemyślane, przespane, przeliczone i w żadnym wypadku nie w afekcie – rzuciłam do leżącego na biurku telefonu, przymierzając kanarkowożółte szpilki, pasujące do pomarańczowych rajstap jak pięść do nosa. – Możliwe, że czynnik emocjonalny miał coś do powiedzenia, ale nieznacznie.

– Nie no, oczywiście, przecież każdy rozsądny człowiek po przemyśleniu, przespaniu i przeliczeniu oznajmia szefowej, że jest niekompetentną idiotką, żerującą na wiedzy i zaangażowaniu podwładnych – zaszydził głos Aśki w odpowiedzi.

– Przecież nie skłamałam – parsknęłam i rzuciłam prawym butem, trafiając do kubła na śmieci. – Wywalam te oczojebne buty, cisną mnie.

– Wywał, nigdy mi się nie podobały. Ile ci to zajmie?

Zajrzałam do otwartej na oścież szafki od dwunastu lat pełniącej funkcję garderoby, sejfu i podręcznego magazynu słodyczy. Po słodyczach nie zostały już nawet wspomnienia, dokumenty zdążyłam zutylizować albo przekazać do archiwum, za to najniższa półka mogłaby z powodzeniem konkurować z warsztatem szewskim.

– Jeśli zagęszczę ruchy, to za godzinę, maks półtorej, powinnam być gotowa.

– Przyjadę po ciebie, tylko postaraj się nie awanturować – poprosiła Aśka. – Wytrzymasz?

– Wytrzymam, obiecuję – rzuciłam, zniżając głos do szeptu i pochylając się nad telefonem. – Muszę kończyć, słyszę jej kroki, pewnie czeka mnie pogadanka na odchodne.

– Wsadź mnie do kieszeni! – zażądała moja przyjaciółka, ale zakończyłam połączenie i schowałam telefon do torebki przewieszanej przez oparcie krzesła.

Kroki na korytarzu stały się wyraźniejsze. Po chwili zatrzymały się, ale drzwi do mojego gabinetu pozostawały zamknięte. Wytężywszy słuch, wyłowiłam słowa prowadzonej za nimi rozmowy, bez trudu rozpoznając znenawidzony głos szefowej, drugiego zaś nie byłam w stanie dopasować do twarzy.

– Jeśli o mnie chodzi, to mogłaby już po prostu wyjść – sarknęła moja przełożona.

– Nie możemy ryzykować, że nas pozwie, niech się spakuje i będzie spokój – mówił ten drugi głos, zdecydowanie męski.

– Myślisz, że by się odważyła?

– Wolałbym nie musieć się o tym przekonać. Już raz przegraliśmy.

Dalszej części rozmowy już nie słyszałam, musieli oddalić się od drzwi albo rozmowa została zakończona. Przyspieszyłam ruchy, żeby uwinąć się ze swoim majdanem i nie ryzykować, że to złośliwe babsko zdoła napsuć mi jeszcze trochę krwi.

– Kalendarz dwa osiemnaście, kalendarz dwa dziewiętnaście – mruczałam pod nosem, wyciągając kolejne przedmioty z szafki. – A gdzie jest...? Ach, przecież, w dwa tysiące dwudziestym wybuchła pandemia i nie było kalendarzy. Nożyczki, zszywacz, zakreślacze. Nie zbiednieją – stwierdziłam, wrzucając akcesoria do torebki. – Pognicione koszulki na dokumenty im łaskawie zostawię, dadzą im trzecie albo piąte życie. Kubek, krem do rąk, pilnik do paznokci...

Usłyszałam ciche pukanie i drzwi się uchyliły, a w wąskiej szparze pojawiła się twarz mojej szefowej.

– Można? – zapytała niemal grzecznie.

– Ta, jasne, przecież to własność firmy. Co tam?

Gównu mnie obchodziło, co tam, ale resztki dobrych manier wpajanych latami przez babcie nie pozwalały mi na zachowanie się tak, jak bardzo chciałam się teraz zachować.

– Przykro mi, że tak wyszło... – bąknęła z miną świadczącą o tym, że gdy tylko opuszczę budynek, ona upije się ze szczęścia.

– Daj spokój, obie wiedziałyśmy, że ten dzień kiedyś nadejdzie – zbyłam ją, wrzucając kolejne papiery do kosza.

– Właściwie to tak, ale nie przypuszczałam, że opuścisz nas w... gniewie.

Zastygłam z ręką po łokieć w szafce i przez chwilę przyglądałam się pracującym mięśniom przedramienia.

– Czyli taka będzie narracja? „Niestabilna emocjonalnie Dominika dostała niczym nieuzasadnionej wściekliwości, więc postanowiliśmy się z nią rozstać”? – Podniosłam roziskrzony wzrok i ujrzałam beznamiętny wyraz na twarzy mojej szefowej. Chociaż nie, wcale nie beznamiętny – uśmiechała się złośliwie półgębkiem.

– No... wiesz... Właściwie to powinnam cię zwolnić dyscyplinarnie, wpisać naganę i takie tam – odparła z niefrasobliwością.

– A więc trzeba było – wycedziłam, zaciskając zęby. – Daruj mi te swoje kłamliwe uśmiešky i udawaną zyczliwość; doskonale wiem, że mnie nienawidzisz, z wzajemnością zresztą. – Podniosłam się z krzesła i zrobiłam krok w kierunku szefowej. – Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że już nigdy nie będę musiała cię oglądać ani słuchać tych bredni, które wygadujesz, udając mądrą. W całym swoim życiu zawodowym nie spotkałam nikogo, kto mniej niż ty nadawałby się do zarządzania ludźmi. Chcesz mieć we mnie wroga? Proszę bardzo. Ze mną jak z dzieckiem, w dodatku wyjątkowo złośliwym. Pamiętaj tylko, że to ja pracowałam tu

dwanaście lat, to ja budowałam wszystko od zera, a ciebie po prostu tym obdarowano, cholera wie za co.

Niemal czułam jad ściekający mi po brodzie, nie zamierzałam jednak się hamować. W końcu mi się udało.

– Zawsze wiedziałam, że masz się za lepszą ode mnie – odparła, starając się ukryć zaskoczenie moją bezpośredniością.

– Mylisz się. To inni mają mnie za lepszą od ciebie i to właśnie tak bardzo ci przeszkadza. – Wróciłam do biurka i jednym ruchem zgarnęłam leżące na nim, wyjęte z szuflad, przybory do kartonu stojącego na podłodze. Niech sami sobie je segregują, cwaniaki. – Mam dla ciebie smutną wiadomość: moje odejście tego nie zmieni, ewentualnie zmieni na gorsze. Wiesz, co się mówi o dawnych czasach? One zawsze w pamięci zbiorowej są lepsze od teraźniejszych.

Stojąca przede mną czterdziestoletnia kobieta wyglądała, jakby za chwilę miała zemleć. Albo eksplodować – jedno z dwojga. Zdecydowanie bardziej obawiałam się tego pierwszego scenariusza, bo wówczas poczucie odpowiedzialności nakazałoby mi ją cucić. Na szczęście wytrzymała, zacisnąwszy usta w cienką linię, zmierzyła mnie spojrzeniem, w którym przemyciła tyle różnych kłstw, że prawdopodobnie już bez odwołania czekała mnie śmierć w nieludzkich męczarniach, po czym odwróciła się na pięcie i bez słowa wyszła z gabinetu.

– No i tyle z nieawanturowania się – stwierdziłam gorzko, gdy jej kroki ucichły w głębi korytarza. – Ale naprawdę się starałam...

*

Opróżniwszy szuflady biurka i szafkę, w której znalazłam cztery pary nigdy nienoszonych szpilek i jedno wehniałe ponczo, wrzuciłam wszystko do plastikowej torby z Ikei, założyłam ją na ramię i wymaszerowałam z gabinetu.

Zatrzymałam się za progiem i ostatni raz omiotłam pomieszczenie wzrokiem.

– Żegnaj, smutna klitko, beze mnie jesteś beznadziejna i nijaka – bąknęłam pod nosem, zatrzaskując drzwi.

Kiedy mijałam recepcję, przyspieszyłam kroku, ale zatrzymał mnie zacinający się od lat czytnik kart magnetycznych.

– Do zobaczenia! – rzuciła blondynka, której imienia nie udało mi się zapamiętać, o twarzy tak przeciętnej, że z całą pewnością nie poznałabym jej na ulicy.

– Oby, kurwa, nie – warknęłam cicho, na głos zaś powiedziałam: – Trzymaj się, powodzenia!

Chciałam jeszcze dodać „ale pamiętaj, że czasem warto się puścić”, jednak powstrzymałam się i ruszyłam prosto do windy. Modliłam się w myślach, żeby przyjechała pusta. Pal licha mój wygląd – zmieniłam wysokie szpilki na wygodne tenisówki, które w połączeniu z pomarańczowymi rajstopami i elegancką ołówkową sukienką w kolorze rdzy wyglądały mało gustownie. Miałam nadzieję, że nie będę musiała uśmiechać się sztucznie do kogoś, kto z całą pewnością za moment pochwali się, że widział, jak opuszczam to miejsce, spakowawszy dwanaście ostatnich lat w torbę z Ikei.

Winda nadjechała, drzwi się rozsunęły, zrobiłam krok do środka i zamarłam. Stojący wewnątrz mężczyzna też zamarł, ale ledwie na ułamek sekundy, kiedy spojrział na mnie, po czym wrócił do przeglądania swojego telefonu.

Nie poznał mnie. Po dwunastu latach pracy nie skojarzył mojej twarzy nawet na tyle, żeby powiedzieć mi „dzień dobry”. Pomijam, rzecz jasna, taką drobnostkę jak dobre wychowanie nakazujące choćby bąknąć coś do współpasażera podróży windą, najwyraźniej od pewnego szczebla kariery obowiązują zupełnie inne zasady.

Winda zatrzymała się na trzecim piętrze, zrobiłam miejsce, żeby facet mógł ją opuścić, a gdy drzwi zaczęły się zamykać, rzuciłam jadowicie:

– Żegnaj, prezesie, na „do widzenia” nie zasługujesz.

Myślałam, że nie usłyszał, ale on nagle się odwrócił i włożył tłuste łapsko w zmniejszającą się szparę. Fotokomórka zadziałała i cholerstwo znów zaczęło się otwierać.

– Pardon? – Twarz mogąca z powudzeniem udawać buldoga francuskiego patrzyła na mnie z ciekawością. – Pani to do mnie mówiła?

– Do pana, do pana – odparłam hardo. – Nie kojarzy mnie pan?

– Eee...

– Jedyna dyrektorka, która nie poszła z panem do łóżka w historii tej firmy?

Świńskie – tak, za prosiaka też mógłby robić – oczka zaświeciły się, a obwisłe policzki uniosły w szczerym uśmiechu. Jak babcię kocham, teraz nawet wyglądał jak człowiek!

– Dominika, tak? – Teraz dopiero zauważył wiszące na moim ramieniu torbiszczce. – Wynosi pani sprzęt do domu?

– Niestety wszystko kazał pan przyśrubować i zaczepować, mam tu swoje osobiste rzeczy.

Drzwi znów zaczęły się zamykać.

– Słyszałem, że nas pani opuszcza?

– Z rozkoszą – odparłam zupełnie szczerze.

– Szkoda, ceniłem pani wiedzę.

– Spoko, prezesie, pan się nie martwi. Klaudia z całą pewnością godnie mnie zastąpi.

Nie usłyszałam odpowiedzi, bo drzwi się zamknęły i winda ruszyła. „Klaudia mnie godnie zastąpi”. Na imprezach firmowych z całą pewnością.

Godzina była dość wczesna, więc na parterze nie kłębiły się dzikie tłumy, jak miało to miejsce w porze lanczu. Przemaszerowałam obok recepcji, po raz pierwszy w życiu nie żegnając się z siedzącym tam człowiekiem. Nawet nie spojrzałam, wolałam nie wiedzieć, komu robię przykrość.

Szklane wrota Mordoru rozsunęły się, uruchomione fotokomórką. Przystanęłam, wzięłam głęboki wdech, po czym zrobiłam krok. Krok, o którym od dawna marzyłam. Krok ku wolności, do nowego życia, ku ekscytującej przygodzie.

– Kurrrrrrrwa! – zakląłam grubiańsko, kiedy sznurówka zaczęła się o kratkę ściekową i omal nie wyrznęłam. To dopiero byłoby piękne zakończenie kariery...

Odstawiłam ikeowe torbiszczce, blokując przejście w obu kierunkach, co nie spodobało się rodzinie zmierzającej do prywatnej przychodni mieszczącej się na pierwszym piętrze budynku.

Przez chwilę mocowałam się z uwięzionym sznurowadłem, a gdy w końcu udało mi się oswobodzić, byłam spocona jak szczur, ze stresu, z wysiłku i z gorąca. Zupełnie zapomniałam,

że na zewnątrz jest chyba milion stopni w cieniu.

– Elo, Domi! – usłyszałam głos swojej przyjaciółki. – Juhu, tutaj, za śmieciarą!

Podniosłam głowę, jednak niewiele zobaczyłam, oślepiona czerwcowym słońcem. Wygrzebałam z torebki okulary przeciwsłoneczne i wcisnęłam je na zmarszczony nos.

Aśka stała po drugiej stronie ulicy i machała do mnie radośnie długą, chudą jak szczapa ręką. Odmachałam, może nieco mniej radośnie, bo wciąż czułam wściekłość, a w dodatku miałam wrażenie, że zaraz się rozpuszczę. Borze modrzewiowy, co za ukrop!

Przebiegłam przez ulicę w miejscu absolutnie niedozwolonym, na szczęście torba nie była aż tak ciężka i dałam radę nie wpaść pod nadjeżdżający z prawej strony autobus.

– Gdzie stoisz? – rzuciłam zamiast powitania. Za chodnikiem, na którym czekała na mnie przyjaciółka, znajdowała się pętla tramwajowa. Nigdzie dookoła, nie licząc znienawidzonego budynku Mordoru, nie było parkingu.

– A, tam, za przystankiem. – Aśka machnęła ręką w kierunku bliżej nieokreślonym. Przystanki autobusowe i tramwajowe znajdowały się tu co dwa metry. – Chodź, może nie zdążyli mi wlepić mandatu.

Jej kompaktowy Opel Adam, w kolorze groszku cukrowego, mrugał światłami awaryjnymi za zakrętem, w zatoczce dla autobusów. Moja przyjaciółka niewiele sobie robiła z przepisów ruchu drogowego, z każdych innych zresztą jeszcze mniej. „Wszystko jest dla ludzi”, to było jej życiowe motto i jedyna bodaj zasada, której nigdy nie złamała.

W odróżnieniu ode mnie Aśka ubrana była stosownie do pogody. Dżinsowe szorty, top bez rękawów i sandały na płaskiej podeszwie – wszystko w odcieniach błękitu, jej ulubionego koloru. Była jedyną na świecie rudowłosą osobą, która w każdym kolorze wyglądała doskonale. Ja, gdybym założyła na siebie tyle niebieskiego, wyglądałabym raczej jak trup. Tymczasem usiana piegami skóra Aśki potrafiła chyba dopasowywać się do dominującej barwy i teraz wcale nie wyglądała, jakby z natury była biała jak pergamin.

– Wskakuj do środka i zdejmuj te pończosznicze koszmarki – zaordynowała, pstrykając pilotem do samochodu. – Udało się wyjść z honorem?

Na to pytanie właściwie nie było dobrej odpowiedzi. Powinnam, rzecz jasna, streścić jej wymianę zdań z Klaudią i opowiedzieć o spotkaniu z buldogiem, ale nie miałam na to ochoty. Może później, gdy już ochłonę, a przede wszystkim zdejmę z siebie mundur korposzczura.

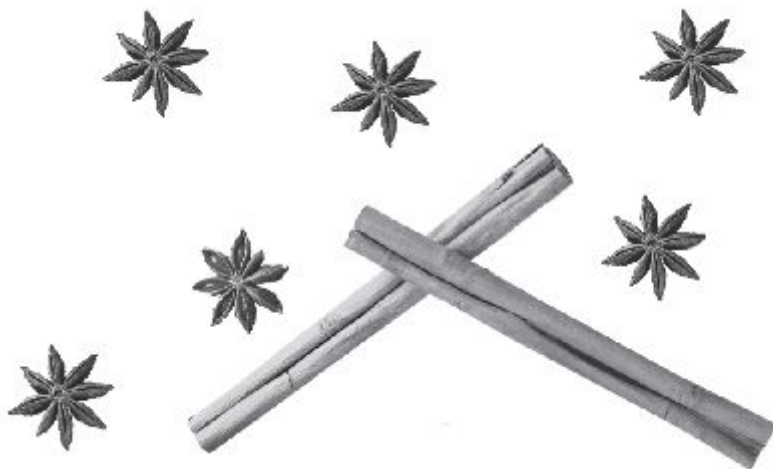
Wzruszyłam ramionami, wrzuciłam torbiszcze na tylną kanapę i zajęłam miejsce pasażera.

– „Jedźmy, nikt nie woła!” – rzuciłam, ostatni raz omiatając wzrokiem wejście do budynku, który postanowiłam omijać łukiem o promieniu równika.

– Czekałaś, żeby móc to powiedzieć, co? – zapytała z szelmowskim uśmiechem. – Widzisz, jednak Szmytowa czegoś cię z tego Mickiewicza nauczyła.

– A żebyś wiedziała. – Wyszczrzyłam się do niej. – Czekałam na to jak Leonardo DiCaprio na Oscara.

Aśka płynnie włączyła się do ruchu, a ja włączyłam radio. Miałam ochotę zagłuszyć myśli, które kłębiły się w mojej głowie jak żmije i tak samo głośno syczały. Jedna z nich miała nawet paszczę buldoga, druga wyglądała jak Klaudia. Miałam nadzieję, że te oślizgłe gady dostaną porządnej zgagi, kiedy zorientują się, że to nie ze mną był problem.



Rozdział 2

Babcia nie wydawała się zaskoczona. Ani moim powrotem w środku dnia, ani obecnością Aśki, ani rewelacją o porzuceniu dobrze płatnej posady. Jak zwykle krzątała się po kuchni, słuchając mojego trajkotania przerywanego wtrąceniami Asi, i na zmianę to kiwała, to kręciła swoją mądrą, siwą głową.

– Nie mam pojęcia, co teraz ze sobą zrobię, ale z całą pewnością kariera modelki nie jest mi pisana – skwitowałam gorzko, oglądając się w lustrze. Marne metr sześćdziesiąt wzrostu, biustu zero, biodra zbyt szerokie, talia raczej nieszczególna. Nogi miałam względnie zgrabne, od biedy mogłabym reklamować rajstopy, ale jakoś nie potrafiłam sobie tego wyobrazić.

Przebrałam się w przewiewną sukienkę, włosy w odcieniu mysiego blond związałam w wysoki koczek i przyglądałam się sobie z dezaprobatą.

– Jakbyś się trochę pogłodziła, to może i by się dało, ale jesteś za stara – pocieszyła mnie przyjaciółka. – Baby po trzydziestce to raczej kończą karierę w modelingu, a nie ją zaczynają.

Westchnęłam ciężko i odwróciłam się od lustra. Aśka siedziała przy kuchennym stole i dłubała pistacje. U nas w domu zawsze było coś do podjadania, co mogło tłumaczyć nieszczególną talię. Bo przecież na pewno nie brak miłości do ćwiczeń!

– Skreślamy modeling. Jakie mamy inne opcje? – Usiadłam naprzeciwko przyjaciółki i sięgnęłam po orzeszki.

– Biorąc pod uwagę, że od dwunastu lat zajmowałaś się tabelkami w Excelu, to raczej marne. Musisz się przebranżowić – poradziła mi Asia. – Głupia tak całkiem nie jesteś, języki znasz, umiesz gadać do ludzi. Może w mediach?

Babcia skończyła właśnie gotować ostatnią partię pierogów ruskich i wyłączyła gaz pod garnkiem. Nie mogłam się doczekać, aż postawi przede mną talerz, pachniały obłędnie!

– A może wrócisz do swojego pierwszego zawodu, Dominiczko? – zagałała ni stąd, ni zowąd.

Zamrugałam gwałtownie, jakbym się przesłyszała. Swoją drogą: czy nie powinno się wtedy ruszać uszami?

– Jakiego zawodu? Przecież po studiach wylądowałam w Mordorze.

– Twoja babcia ma na myśli wyuczony zawód – wyjaśniła mi Aśka z miną Arystotelesa.

– Znaczy jaki? Mam uczyć dzieciory polskiego? Uprawnienia mi wygasły, a poza tym: w życiu!

Babcia wyjęła z szafki trzy talerze, postawiła je na stole bez słowa, po czym sięgnęła po półmisek z pierogami.

– Mam na myśli zawód, o którym mówiłaś, odkąd tylko nauczyłaś się mówić – oznajmiła ze stoickim spokojem.

Prawie dostałam zeza rozbieżnego, usiłując równocześnie spojrzeć na Aśkę i nie odrywać oczu od pięknych, udekorowanych świderkami, pierogów. W końcu się przemogłam i utkwiłam wzrok w piegowanej twarzy przyjaciółki.

– Czemu się tak dziwnie uśmiechasz? – zapytałam ją, bo faktycznie minę miała zagadkową.

– Cieszę się, że nie tylko ja jedna o tym pomyślałam – odparła enigmatycznie, po czym sięgnęła po talerzyk i nałożyła na niego trzy pierogi.

Przyglądałam się w milczeniu, jak kolejne kawałki pachnących smażoną cebulką delicii mojej babci znikają w paszczy przyjaciółki, i z coraz mniejszą cierpliwością czekałam, aż będzie łaskawa rozwinąć swoją myśl. Najwyraźniej jednak tego dnia miała nastrój sadystyczny i wcale nie zamierzała niczego rozwijać, może poza pasją do pierogów ruskich.

– Ja czy poem, Domi, że ty bysz mogła żaryżykowacz – oznajmiła z pełnymi ustami. Gdybym to była ja, dostałabym po głowie ścierką. – Bo jak nie teraz, to kiedy? – zapytała, celując we mnie widelcem.

– Nie machaj mi tym insygnium Neptuna przed oczami, tylko może wyjaśnij, o co ci chodzi, bo jak na razie pleciesz, jakbyś się najadła blekotu – fuknęłam na nią. Nie mogłam dłużej testować swojej silnej woli, która okazywała się wyjątkowo słaba, gdy w grę wchodziły pierogi ruskie i relacje damsko-męskie. Nałożyłam trzy pierogi na talerz i przystąpiłam do konsumpcji, mlaszcząc i cmokając tak, że w końcu tą ścierką oberwałam.

– Ja myślę, że ty podświadomie czułaś już, że ta praca cię wypala i powinnaś zacząć się realizować – perorowała Aśka. – I właśnie teraz może być jedyna szansa, żebyś wreszcie poszła za głosem serca.

– O, nie! – uniosłam się, opluwając niechący stół. – Moje serce jest organem wybitnie głupim i każda podjęta przez nie decyzja do dzisiaj odbija mi się czkawką. Pamiętasz, jak mogłam odejść z Mordoru? Głowa od początku mówiła: uciekaj, ratuj się! Ale głupie serce kazało zostać, z lojalności wobec Pawła. A zaraz potem Pawła pogonili i zostałam z ręką w nocniku.

– Na to nie miałaś żadnego wpływu. Ale ja wcale nie uważam, żebyś popełniła nieodwracalny błąd. – Pochyliła się nad stołem i zajrzała mi głęboko w oczy, zmuszając mnie

do odwzajemnienia spojrzenia. – Gdybyś wtedy podjęła inną decyzję, być może nigdy nie odeszłabyś z korporacji. A teraz masz szansę zacząć robić to, co kochasz.

– Myślisz? – zapytałam retorycznie, doskonale wiedząc, co usłyszę. Aśka zawsze mówiła to, co naprawdę myślała i pewnie dlatego nigdy nie mogłaby pracować w firmie pokroju Mordoru. Dla niej wszystko było czarno-białe, a malowanie trawy na zielono stało w hierarchii grzechów na zaszczytnym drugim miejscu, zaraz po zdradzie i morderstwie, które miały dla niej tę samą rangę.

– A co ci szkodzi? – odpowiedziała, jakże w swoim stylu. – Jak kraść, to miliony, jak się wspiąć, to w Himalajach. Co masz do stracenia?

Właściwie do stracenia niczego już nie miałam: źródło zarobków wyschło, na szczęście o mieszkanie nie musiałam się martwić, bo dzięki babci uniknęłam kredytu. Z głodu też raczej nie umrę, a bez luksusów mogę się obejść. Dzieci nie mam, kogoś, kto mógłby mi je spółdzić, tym bardziej.

– Może i racja – przyznałam, choć wciąż dość niechętnie.

– Jedzcie, dziewczynki, bo zaraz wystygną – upomniała nas babcia, wróciwszy do kuchni. Przebrała się z utyłanej mąką sukienki w identyczną, tyle że czystą. Kiedyś podejrzewałam, że babcia posiada tajemniczą moc, pozwalającą jej prać i suszyć ubranie w pięć minut, ale okazało się, że jej szafa pełna jest czarnych kiecek o identycznym kroju.

Babcine pierogi, nawet zimne, stanowiły raj dla podniebienia, ale i tak zajęłyśmy się ich pochłanianiem z taką zapalczywością, jakby miał to być nasz ostatni posiłek. Ja milczałam, żeby przemyśleć temat podsunęty przez Aśkę, ona, najprawdopodobniej postanowiła pobić rekord w liczbie zjedzonych rusków. Skończyła zawody z wynikiem dziesięciu, ale jak pragnę schudnąć, nie mam pojęcia, gdzie je zmieściła.

Babcia musiała także się nad tym zastanawiać, bo półzartem rzuciła:

– Dobrze, że masz spodenki z gumką w pasie.

– Miałam przecucie, że dziś będzie uczta – odpowiedziała zupełnie nieurazona Asia.

– Pyszne to było, pani Eleonoro kochana, ale już nic nie przełknę.

– Zwłaszcza że wszystko zeżarłaś – zauważyłam, nie siląc się nawet na ukrycie przygany. – Ciebie to chyba lepiej ubierać niż karmić.

– O, wcale nie! Mam metr siedemdziesiąt trzy, weź no znajdź spodnie z odpowiednio długimi nogawkami...

Dzwonek do drzwi przerwał te rozważania. Podniosłam się niechętnie i ruszyłam do przedpokoju, zostawiając Aśkę, rozwaloną jak Neron po imprezie, z wyrazem rozanielenia na piegowatej twarzy. Babcia zajęła się parzeniem herbaty, co stanowiło stały element każdego posiłku – po jedzeniu należało zalać go mocną herbatą, żeby wspomóc trawienie.

Po otwarciu drzwi młody kurier, mówiący z zaśpiewem, wręczył mi kopertę i zbiegł po schodach. Przesyłka została zaadresowana do mnie, ale nazwa nadawcy niewiele mi mówiła. Wróciłam do kuchni, przyglądając się etykietce.

– Co to? – Aśka mrużyła oczy jak bardzo zadowolony z życia kot. Brakowało tylko, żeby zaczęła mruzczyć.

– Nie mam pojęcia, zaraz się dowiemy. – Oderwałam pasek wzdłuż perforacji i otworzyłam tekturową kopertę. Wewnątrz znalazłam mniejszą, papierową. Nie była zaklejona, więc otworzyłam ją i wyjęłam ze środka pojedynczą kartkę.

– No, co tam jest? – zapytały unisono babcia z Asią.

Zignorowałam to oczywiste ponaglenie i skupiłam się na słowach, od których najpierw zrobiło mi się gorąco, później poczułam zimny pot, a na końcu musiałam usiąść, bo zaczęło kręcić mi się w głowie.

– Ja... Ja nie rozumiem... – wyszeptałam tak cicho, że sama ledwo to usłyszałam.

Aśka, należąca do osób wyjątkowo niecierpliwych, wyszarpnęła mi kartkę z ręki i rzuciła okiem na treść pisma. Po chwili jej miedziane, idealnie uformowane brwi, podjechały pod samą linię włosów.

– O kurza twarz – sapnęła, odrywając wzrok od listu. – Ale numer!

W odróżnieniu od Aśki babcia należała do osób cierpliwych, jednak teraz i ona zdradzała oznaki podenerwowania.

– Dostałam się na elitarny kurs dla pisarzy – poinformowałam ją głucho. – Zapomniałam, że wysłałam zgłoszenie.

– I w czym jest problem? – Babcia patrzyła na mnie przenikliwie, jakby chciała wyczytać z mojej twarzy coś, czego jeszcze nie powiedziałam.

– W tym, że właśnie rzuciłam robotę, nowej nie mam, a to kosztuje – bąknęłam.

– Dwa tysie... – jęknęła Aśka.

– No to chyba niezbyt dużo? – zdziwiła się babcia.

– Euro, babciu, dwa tysiące euro. Sorry, ale mnie nie stać. Gdybym wciąż pracowała w Mordorze, to nie byłoby problemu.

– Ja pieprzę, ale niefart... – Asia skrzywiła się, co miało zapewne obrazować smutek, a wyszło bardziej wachanie kimchi.

– No trudno – zdecydowałam twardo, godząc się z ironią losu. – Widocznie tak miało być, głową muru nie przebiję.

Babcia oparła łokcie na stole i obgryzała skórki dookoła prawego kciuka. Zawsze tak robiła, gdy mocno ją coś trapiło. Widocznie jednak niczego nie wymyśliła, bo po chwili potrząsnęła siwą głową, przywróciła spojrzeniu bystrość i wstała od stołu.

Zabrałam Aśce list, złożyłam go na pół, schowałam z powrotem do papierowej koperty, a ją z kolei odłożyłam na lodówkę, czyli tam, gdzie trafiała wszelkiej maści korespondencja, która musiała nabrać mocy urzędowej do jej wyrzucenia albo na wypadek, gdyby w trakcie nabierania owej mocy stała się nagle potrzebna. Jak wezwanie do zapłaty, na przykład.

– Domi, może uda się coś wykombinować... – usiłowała mnie pocieszyć przyjaciółka.

– A co niby? – warknęłam, wściekła na siebie za, jak zawsze, doskonały timing. Gdybym poczekała chociaż do końca miesiąca, byłabym w stanie zapłacić za kurs, na który chciałam się dostać od kilku lat. I właśnie teraz, kiedy życie przechodziło generalny remont, musiałam dostać szansę. No jasne, parszywe szczęście.

– Nie krzycz, nie wiem co – pisnęła Asia. – Może uda się od kogoś pożyczyć. Ja nie mam, wszystkie oszczędności poszły na samochód. A jakby tak...? – zawiesiła głos, doskonale wiedząc, że słowo, które zaraz padnie, jest absolutnie zakazane w mojej obecności.

– Nawet. O. Tym. Nie. Myśl – wycedziłam, piorunując ją wzrokiem. – Już bym wolała umrzeć z głodu niż cokolwiek przyjąć od tego człowieka.

Asia westchnęła ciężko i pokiwała głową. Z całą pewnością nie spodziewała się innej odpowiedzi, ale faktycznie rozważała wszystkie możliwości.

– Mogę pogadać z bratem – rzuciła tonem zwiastującym, że zupełnie nie wierzy w powodzenie tej misji. Jej brat to straszliwy sknera, zarabia krocie jako szef prawników

w dużej korporacji farmaceutycznej, ale większego dusigrosza w życiu nie widziałam. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby po jego śmierci w mieszkaniu znaleziono worki z pieniędzmi. Albo może wypycha nimi meble? Cholera go wie. W każdym razie, skoro nie chciała pomóc nawet rodzonej siostrze, to tym bardziej nie pomoże jej postrzelonej przyjaciółce.

– Dobra, Jo, odpuśćmy ten temat – odparłam z życzliwym uśmiechem. – Teraz powinnam się skupić na znalezieniu pracy, a na kurs może uda się dostać za rok.

Obie wiedziałyśmy, że się nie uda, skoro teraz zrezygnuję, ale obie, żeby zachować twarz przed sobą nawzajem, udawałyśmy, że jest nadzieja.

Babcia zamknęła się w swojej sypialni, co stanowiło jednoznaczny sygnał, że zamierza się zdrzemnąć, więc my zajęłyśmy się przeglądaniem ofert pracy. A dokładniej: Aśka miała przeglądać, a ja w tym czasie powinnam podrasować swoje CV. Zważywszy na to, że nie robiłam tego od dwunastu lat, było to zajęcie budzące we mnie zgrozę. Przez ostatnie lata przejrzałam tysiące aplikacji potencjalnych podwładnych, potrafiłam ocenić, które CV jest lepsze, a które w ogóle nie powinno opuścić pulpitu komputera kandydata, jednak wiadomo, że szewc bez butów chodzi i nad swoim wcale nie chciało mi się pracować.

Mniej więcej po czterdziestu minutach miałam już tak dość słuchania o idiotycznych, a niekiedy wręcz absurdalnych wymaganiach wobec kandydatów na interesujące mnie stanowiska, że zamknęłam pokrywę laptopa nader niedelikatnie i spojrzałam w oczy Aśki niemal z wrogością.

– Może jednak trzeba poszukać innego sposobu zdobywania majątku – stwierdziłam z rezygnacją.

– Gry losowe? – Oczy mojej przyjaciółki błysnęły niebezpiecznie. Nie od dziś wiedziałam, że Aśka ma skłonności do hazardu i od czasu do czasu nawet coś tam wygrywała w jakichś zdrapkach; ciągnęła ją też do poważniejszych gier, ale na razie udawało nam się omijać kasyna szerokim łukiem.

– Można tak powiedzieć. Muszę znaleźć bogatego faceta – oznajmiłam tonem, którego używałam do prezentacji przed zarządem.

– Świetny pomysł – pochwaliła Jo. – To od razu dwóch znajdź.

Zupełnie nie zważając na jej uszczypliwość, już wyobraziłam sobie arabskiego szejka (oczywiście młodego i przystojnego), biegle mówiącego po polsku, żeby nie było bariery językowej czy kulturowej, o znakomitych manierach, szarmanckiego, czułego, absolutnie pozbawionego egoizmu, wychowanego na wrażliwego, ale wciąż męskiego faceta. Kiedy zdałam sobie sprawę z tego, że to jest właśnie mężczyzna idealny, który przyśnił się pewnej babce w książce Chmielewskiej, też się rozpłakałam. Aśka się nie rozpłakała, a jedynie postukała różowym paznokciem w czoło.

– Aleś ty głupia – rugała mnie. – Nie ma ludzi doskonałych, a już na pewno chłopów. Ty się skup na tym ich majątku, a urodę po kolei im zrobisz. Będzie kasa, będzie uroda.

Miało to sens, medycyna estetyczna poszła tak do przodu, że prawdopodobnie nawet Christopher Walken mógłby dzisiaj wyglądać jak człowiek. Pozostawało zatem zasadnicze pytanie: gdzie we Wrocławiu można spotkać milionera z Dubaju? A najlepiej z Wrocławia, bo wcale nie uśmiechała mi się wyprawka.

– Może Tinder? – zaproponowałam bez przekonania.

– Przestań, tam co najwyżej można spotkać psychopatę.

- No rzeczywiście, jakbym dotychczas trafiała na samych normalnych... - Przewróciłam oczami na samo wspomnienie ostatniego faceta, z którym planowałam przyszłość. - Czy naprawdę nie ma już dla mnie nadziei?

Aśka wyprostowała się i przyjrzała mi się z uwagą. Zbyt dużą uwagą, jeśli mam być szczerą, jakby była dziewiętnastowiecznym handlarzem żywym towarem.

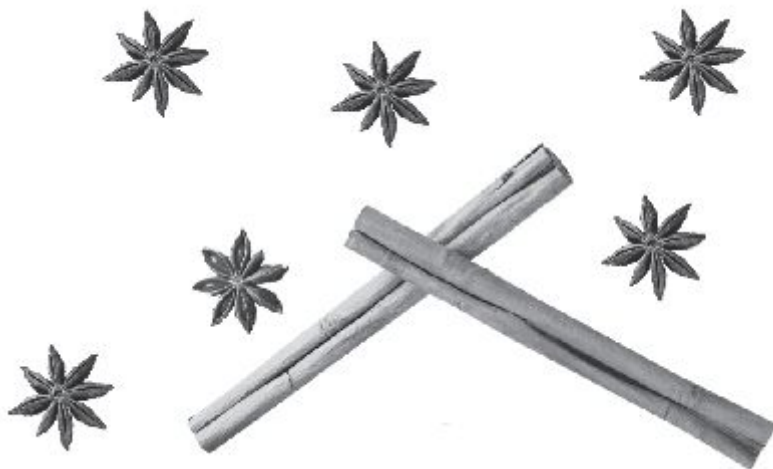
- Nadzieja umiera ostatnia - zawyrokowała w końcu - i nie należy jej przedwcześnie tracić, chociaż takie podstarzałe wariatki jak my powinny patrzeć na życie realnie. Musisz przestać być wybredna i brać, co dają, albo trzeba będzie szukać hodowli maine coonów.

- Wielkie dzięki, Jo - odparłam urażona, mimo że miała rację. Trzydziestosześcioletnia singielka, z charakterem rodem z opowieści o czarownicach, poprawiająca każdego, kto używał słowa „bynajmniej” w niewłaściwym znaczeniu, mogła liczyć jedynie na cud. A jak doskonale wiemy, cuda zdarzają się jedynie wśród ludzi wierzących.

- Nie przejmuj się, coś wymyślimy - pocieszyła mnie jak zawsze optymistyczna przyjaciółka. - Muszę lecieć, a ty odpocznij. Zrób sobie jakieś spa, poczytaj coś albo obejrzyj wyciskacza łez. Zaczniemy się martwić jutro, dzisiaj świętuj moralne zwycięstwo nad korporacyjną zgnilizną.

Po jej wyjściu poczułam dojmującą pustkę. Wyglądało na to, że znalazłyśmy się w impasie. Ja się znalazłam, dokładnie rzecz ujmując. Aśka przynajmniej miała pracę. Sytuacja nie napawała optymizmem. Za radą przyjaciółki obejrzałam kilka komedii romantycznych na Netflixie, ale jedynym, co udało mi się osiągnąć, było poczucie jeszcze większej klęski i obezwładniającej beznadziei.

Nigdy jednak nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej, o czym przekonałam się nazajutrz, zaledwie chwilę po przebudzeniu.



Rozdział 3

– Twój były zjawi się na urodzinach Anki! – darła się do telefonu Aśka, usiłując przekrzyczeć odgłosy ulicy.

Usiadłam na łóżku, wyprostowana jak struna, czując, że żołądek zamienia mi się w palącą kulę.

– Co ty bredzisz? – wysyczałam.

– Sorry, mała, musiałam cię ostrzec. Wiesz, że menda kumpluje się z Wojtkiem, i właściwie to on go zaprosił, żeby nie czuć się jak piąte koło u wozu z samymi babami.

Wojtek, czyli mąż naszej przyjaciółki, mężczyzna o anielskiej cierpliwości, miał jedną poważną wadę: przyjaźnił się z moim byłym. Odkąd się rozstaliśmy, czyli od trzech miesięcy, udawało mi się unikać spotkań zarówno z Wojtkiem, jak i aktualnie najbardziej niepożądaną osobą w moim życiu. Od imprezy urodzinowej Anki nie mogłam się jednak wykręcić.

– Pięknie – wycedziłam, zgrzytając zębami. – Tego mi jeszcze brakowało, żeby ten gad zepsuł mi wieczór.

– Przynajmniej nie będziesz zaskoczona. – Aśka zawsze usiłowała znaleźć dobre strony. – Odstawisz się, będziesz wyglądać jak królowa życia, a on niech patrzy i skreca się z żalu.

Ta wizja nieco osłodziła gorycz informacji, jednak niesmak pozostał. Tymczasem najgorsze miało dopiero nadejść.

Babcia krzątała się po mieszkaniu, podśpiewując pod nosem, ale to jeszcze nie wydało mi się dziwne. Zorientowałam się, że coś jest na rzeczy, dopiero po wejściu do kuchni, gdzie zastałam pół asortymentu pobliskiej cukierni, wielki dzbanek na kawę i trzy filiżanki.

– Spodziewamy się gości, babciu? – zawołałam, marszcząc czoło. Dla Aśki babcia nie wyjęłaby ulubionych filiżanek.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, poczłapałam do łazienki, żeby pozbyć się resztek snu. Przyjrzałam się swojemu odbiciu i ze smutkiem skonstatowałam, że do królowej życia sporo mi brakuje, zwłaszcza pieniędzy, bo medycyna estetyczna to nie jest tania rzecz... Podkrążone oczy, blada cera, spierzchnięte usta i popękane naczynka – to od biedy dałoby się zakryć makijażem. Gdyby tak jeszcze uwydatnić kości policzkowe, usunąć zmarszczki z czoła, trochę botoksu tu, kwasu hialuronowego tam i może, przy odrobinie wysiłku, mogłabym uchodzić za piękność.

Wyszorowałam zęby, jakby miało mi to w czymkolwiek pomóc, wklepałam w twarz krem, którego producent obiecywał odmłodzenie w ciągu dwóch tygodni, i odkręciłam wodę. Miałam ochotę na długą, relaksującą kąpiel, na jaką dotychczas nie mogłam sobie pozwolić w ciągu dnia. Dzwonek do drzwi rozbrzmiał w chwili, gdy wybierałam zapach soli.

Łazienka znajdowała się zaraz obok wejścia do mieszkania, ruszyłam więc dziarsko, spodziewając się listonosza, i po uchyleniu drzwi zamurowało mnie kompletnie.

– Jezus Maria... – Tylko tyle udało mi się wydusić, co i tak uważam za niebywały sukces, biorąc pod uwagę stan, w jakim się znalazłam. Serce tłukło mi się w piersi z taką mocą, że niewątpliwie słyszeli je wszyscy w promieniu kilku metrów. W ustach mi zaschło, a cała krew odpłynęła zewsząd, żeby skupić się w sercu.

– Dominisium, kto to? – Babcia wychyliła się z pokoju z zieloną, plastikową konewką w dłoni. – Och, jesteś już!

Nie wiem, czy to zasługa ciężkich perfum, których stojąca za progiem kobieta musiała wylać na siebie pół butelki, czy może przywlokła ze sobą jakieś złe siły, w każdym razie z każdą sekundą coraz bardziej brakowało mi tlenu. Ze zdumienia przestałam nawet mrugać, więc już po chwili oczy zaszyły mi łzami, co ona błędnie odczytała jako wyraz wzruszenia.

Rozłożyła ręce niczym Kate Winslet w *Titanicu* i ruszyła prosto na mnie. Tymczasem moje nogi przyrosły do podłoża i mimo rozlegających się w głowie wrzasków za nic nie chciały się ruszyć.

Jęknęłam głucho, kiedy ważąca co najmniej dziewięćdziesiąt kilogramów i mierząca blisko sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu moja własna, osobista matka zamknęła mnie w swoich silnych ramionach, opalonych przez kalifornijskie słońce, i zaczęła szlochać, jakby odnalazła zaginioną przed laty jedynaczkę. Owszem, jedynaczką jestem, ale bynajmniej nie zaginęłam.

– Co tu robisz, mamu? – wydusiłam, kiedy uścisk zelżał odrobinę.

– No wiesz co, Niki?! – Ramiona, których nie powstydziliby się Herkules, drgnęły, a po chwili moje własne, standardowych rozmiarów, znalazły się w dłoniach udekorowanych złotymi pierścionkami. Matka odsunęła się na długość rąk i pochyliła się, a wtedy jej intensywnie błękitne oczy znalazły się na wprost moich, niemalże identycznych. – Myślałam, że się ucieszysz z mojego powrotu.

– Pow... Powrotu? – Odwróciłam się w panice, szukając wzrokiem babci. Tymczasem ona stała, jak gdyby nigdy nic, z tą cholerną zieloną konewką w dłoni, i uśmiechała się idiotycznie. – Babciu, co tu się dzieje?

– Nie powiedziałaś jej? – Matka też spojrzała na swoją rodzicielkę, a w jej oczach widać było głębokie zdumienie.

– Wydawało mi się, że niespodzianka będzie lepsza – mruknęła babcia.

– Ręce opadają! – skwitowała niespodziewana gościni, po czym rzeczywiście opuściła owe ręce, w końcu mnie wyswobadzając.

Nogi odzyskały sprawność i zrobiłam krok do tyłu, o mało nie zrzucając wiszącej za mną makramy z paprotką.

– Ja bardzo przepraszam, ale muszę się napić – oznajmiłam zupełnie nie swoim głosem i nie czekając na reakcję pozostałych, ruszyłam do kuchni.

– Właściwie to ja też – usłyszałam za sobą. – Przywiozłam znakomity koniaczek.

– O borze szumiący, za jakie grzechy?! – syknęłam pod nosem i przyspieszyłam kroku.

– Miałam na myśli wodę! – krzyknęłam w eter.

Podczas gdy ja wlewałam w siebie kolejne szklanki wody, jakbym chciała przygotować się do intensywnego wysiłku na środku pustyni, matka z babcią omawiały coś szeptem, a po docierających do mnie pojedynczych sylabach domyśliłam się, że się spierają. Jak dla mnie, mogły się spierać nawet do sądnego dnia, bylebym nie musiała brać w tym udziału. Niestety, okazało się, że mój udział jest w tej całej hecy najważniejszy.

– Dominisniu, zaparzysz kawę? – poprosiła babcia, wchodząc do kuchni. – Lucynko, napijesz się, prawda? A coś ty taka blada, dziecko?

Schyliłam się, żeby zerknąć na swoje odbicie w szklanych drzwiczkach piekarnika, nie zauważyłam jednak szczególnej bladości, ale możliwe, że winna temu była czerni szkła.

Babcia stała w progu, konewkę musiała zostawić gdzieś w przedpokoju, i ze splecionymi na piersi rękami przyglądała mi się uważnie.

– Nie cieszysz się? – zapytała szeptem.

Wzruszyłam obojętnie ramionami. Nawet gdybym chciała odpowiedzieć, nie przychodziło mi do głowy nic mądrego.

– Gdzie Lucyna? – spytałam za to.

– Rozmawia przez telefon w pokoju. Coś się stało? – drażyla babcia, a po jej minie poznałam, że zaczynała się niepokoić.

Tym razem potrząsnęłam głową i zajęłam się parzeniem kawy. Robiłam to mechanicznie, poruszając się po kuchni jak robot, co pozwalało mi nie myśleć o źródle szoku. Tymczasem źródło najwyraźniej skończyło już rozmowę przez telefon i postanowiło do nas dołączyć, przy czym teraz zdecydowanie bardziej przypominało gejzer.

– No, wszystko załatwione, możemy w spokoju porozmawiać o imponderabiliach. – Otoczona chmurą perfum Coco Chanel osobistość wparowała do kuchni i zajęła miejsce, na którym zwykle siedziała Asia. Tyle że Asia zajmowała jedno krzesło, moja matka siedziała na dwóch równocześnie.

– Często się, Lucynko. – Babcia postawiła przed nią talerz z wypiekami, a Lucynka nie dała się dwa razy prosić. Patrzyłam, jak kolejne porcje sernika, krówki i karpátky znikają w jej nienaturalnie powiększonych ustach, i nie mogłam przestać myśleć o tym, że oto spełniło się moje najskrytsze, dziecięce marzenie: marnotrawna matka wróciła do domu. W marzeniach była to chwila nieokiełznanej radości, w rzeczywistości czułam jedynie przerażenie.

– Co tu robisz, mamó? – powtórzyłam pytanie, które zabrzmiało odrobinę zbyt ostro.

Lucyna przełknęła odrobinę zbyt duży kawałek ciasta i spojrzała na mnie jak na wariatkę.

– Nie cieszysz się, że wróciłam?

Parsknęłam głośno i przewróciłam oczami. Ona tak serio?

– Wróciłaś? Żeby wrócić, najpierw trzeba gdzieś być, później stamtąd wyjechać i wówczas można wrócić – wycedziłam. – Ty wyjechałaś z mojego życia, zanim nauczyłam się pić mleko z butelki.

Matka spojrzała na babcię, zapewne w poszukiwaniu jakiejś pomocy, jednak starszuszka ani myślała mieszać się do tej rozmowy.

– Ależ, Niki...

– Mam na imię Dominika! – wybuchłam, zupełnie tracąc nad sobą panowanie. – Takie imię mi wymyśliłaś i takie mam, od trzydziestu sześciu lat.

– Córciu...

– Nie wygłupiaj się, proszę – syknęłam, z trudem hamując łzy. Czułam, jak zbierają się pod powiekami. – Jestem dorosła, nie potrzebuję być niańczona. Ten czas dawno minął i na szczęście babcia zadbała o to, żebym nie czuła się odrzucona. To ona nauczyła mnie miłości, nie ty.

– Chyba słabo jej poszło, skoro jesteś starą panną – burknęła moja matka. W odróżnieniu ode mnie ona nie hamowała łez, które teraz żłobiły faliste ścieżki wzdłuż jej uniesionych policzków.

– Jestem wdową, do cholery! Pamiętasz?! Nie było cię ani na ślubie, ani na pogrzebie!

Babcia położyła mi pomarszczoną dłoń na ramieniu, ale ją strząsnęłam. Byłam wściekła, tak wściekła, że niemal czułam, jak krew zaczyna wrzeć w moich żyłach.

Podniosłam się z krzesła i bez słowa wyszłam z kuchni. Żałowałam jedynie, że nie było w niej drzwi, którymi mogłabym porządnie trzasnąć.

Zamknęłam się w łazience, odkręciłam wodę i rozplakałam się. Szlochałam jak dziecko, jak gdyby wraz ze łzami wypływały ze mnie wszystkie tłumione emocje. Być może właśnie tak było; być może potrzebowałam mojej matki, żeby wreszcie zapłakać nad swoim losem.

Po chwili usłyszałam pukanie do drzwi.

– Dominisiu, w porządku? – Na całe szczęście to była babcia.

Odblokowałam zamek i wpuściłam ją do środka.

– Dziecko...

– Już mi lepiej, babciu – skłamałam i pociągnęłam nosem. – Ale nie chcę z nią rozmawiać.

– Wiesz, że tak nie można.

– Nie dzisiaj, babciu, nie teraz. Potrzebuję się uspokoić. Czy ona... – Spojrzałam w szare oczy kobiety będącej całym moim światem. – Czy ona tu zostaje?

Nie musiała odpowiadać. Nie miałam żadnych wątpliwości, że nie pozwoliłaby jedynej córce wynajmować pokoju w hotelu, podczas gdy czteropokojowe mieszkanie miało gościnną sypialnię.

– W takim razie ja wychodzę – zdecydowałam. – Muszę ochłonąć, uspokoić myśli.

Myślałam, że zaoponuje, zacznie przekonywać mnie do pojednania z matką, tymczasem babcia zdawała się popierać mój pomysł.

– Idź, Dominisiu. Masz sporo wrażeń do odreagowania, a ja do pogadania z twoją mamą.

Wypadłam z łazienki jak z procy, ubrałam się w pośpiechu i wyszłam z domu bez pożegnania. Nie miałam pojęcia, co ze sobą zrobić, wszyscy normalni ludzie byli w pracy, na wizytę w knajpie za wcześnie, a nawet gdybym jakimś cudem znalazła otwartą, przecież nie będę piła sama.

Jak na autopilocie wsiadłam do tramwaju, czując pulsowanie w skroniach, uszach, a nawet w dłoniach. Żyły mi nabrzmiały, co działo się zawsze, gdy byłam zdenerwowana, ręce drżały. Dopiero po czasie zrozumiałam, że te wszystkie jadące do lekarza lub na cmentarz babcie musiały wziąć mnie za narkomankę i odsuwały się na bezpieczną odległość.

Zamroczone, niemal przeoczyłam przystanek, w ostatniej chwili udało mi się wysiąść, trując przy okazji grupę wsiadających. Ktoś mnie zwyzywał, ktoś odsądził od czci i wiary, niewiele mnie to jednak obchodziło. Szłam przed siebie, nie zważając na kolor świateł, na szczęście ruch o tej porze był już niewielki. Ze zdziwieniem zorientowałam się, że nogi prowadzą mnie do galerii handlowej, w której znajdowała się księgarnia.

Zapach wydrukowanych książek i otaczające mnie morze kolorowych okładek natychmiast zdjęły ze mnie stres. Od dzieciństwa uwielbiałam otaczać się książkami, dotykać ich, wachać, zbierać. Chciałam je również pisać, ale życie najwidoczniej miało wobec mnie inne plany.

Przechadzałam się między regałami, dotykałam brzegów, wyciągałam tytuły, które mnie zaintrygowały, czytałam opisy, zaglądałam do wnętrza. Zastanawiałam się, jakie to uczucie, trzymać w dłoniach książkę ze swoim nazwiskiem na okładce. Czuje się wtedy dumę? Wzruszenie? A może zawstydzenie? W końcu wystawia się cząstkę siebie na publiczny widok, odkrywa zakamarki duszy, doświadczenia, wrażliwość.

W alejce z literaturą obyczajową, choć większość okładek wskazywała na dość niski stopień obyczajności, niemal wpadłam na... mężczyznę. I nie, nie był to nikt z obsługi: normalny, regularny facet. Chociaż nie. Wcale nie był taki normalny, był zjawiskowy!

Wysoki, szczupły, czarnowłosy i czarnooki. Wyraźnie zarysowane kości policzkowe, piękne, niemal jak namalowane, usta, długie rzęsy rzucające cień na policzki. Kilkumilimetrový zarost, który aż prosił się, żeby go pogłaskać.

Stałam tam jak słup soli, wpatrując się w ten chodzący ideał. Pozwalał mi na to fakt, że wyglądał na pogrążonego w lekturze. Przewracał kolejne strony, zupełnie nie zwracając uwagi na moją nachalność. Cóż on takiego mógł czytać w tym rewirze pornosów?

Przyjęłam ekwilibrystyczną pozycję, żeby zajrzeć od spodu na okładkę, i omal nie rymśnęłam tuż pod jego nogami. O święci pańscy! *Jeziora tęsknoty*!?

– Fajne? – wyrwało mi się z wrażenia.

Mężczyzna ocknął się na dźwięk mego głosu, zamrugał dwa razy tymi swoimi firankami, które ja mogę mieć tylko dzięki dobrej kosmetyczce, spojrzął na mnie, a raczej: zlustrował mnie ze szczególnym uwzględnieniem rozkroku, szpagatu i mostka w jednym, i uśmiechnął się. O słodki Jezu, jak on się uśmiechnął!

– Czy fajne? Nie mam pojęcia. Sprawdzałem, czy nie ma literówek. – A głos miał taki, że moje jajniki zaczęły tańczyć sambę.

– I są? Literówki znaczą? – Mój za to drżał, jakby ktoś ścisnął mi gardło.

– Niestety. – Zamknął książkę i odstawił ją na półkę.

Skinął mi głową, po czym ruszył w kierunku wyjścia, zostawiając mnie w oszołomieniu i z poczuciem klęski. Pewnie stałabym tak jeszcze długo, gdyby nie dźwięk telefonu

rozlegający się z torebki.

– Jezu, Jo, nie uwierzysz – oznajmiłam zamiast powitania. – Właśnie spotkałam faceta moich marzeń.

– Okeeeej, to zadzwonię później – odparła z uśmiechem. Wyraźnie słyszałam ten uśmiech!

– Nie, nie, poszedł już.

– No to opowiadaj!

Opowiedziałam, choć niewiele było do opowiedzenia, co też nie uszło uwadze mojej przyjaciółki.

– Ale wzięłaś od niego numer? Cokolwiek? – dopytywała.

– Coś ty, spiekłam raka, zatkało mnie i wyszłam na idiotkę.

– O masz! To leć za nim, może go jeszcze złapiesz.

– Przestań, nie będę się uganiała za facetem, który czyta pornole i w dodatku szuka w nich literówek.

– A jeśli to jest jego największa wada? Albo jedyna?

Przyznaję, trochę mnie to ruszyło. Taką wadę mogłabym przełknąć w zamian za pozwolenie na głośkanie zarostu.

– Idę – rzuciłam do telefonu i ruszyłam. Głowa niemal mi się odkręciła od zaglądania w mijane alejki, niestety pana idealnego nigdzie nie było. Wybiegłam z księgarni i zaczęłam wpatrywać się w ludzi w zasięgu wzroku. Pan idealny zniknął. Rozpłynął się w powietrzu, wyparował. Albo wlaż do jakiegoś sklepu. – Dupa, nie ma go. Właśnie straciłam szansę na miłość życia.

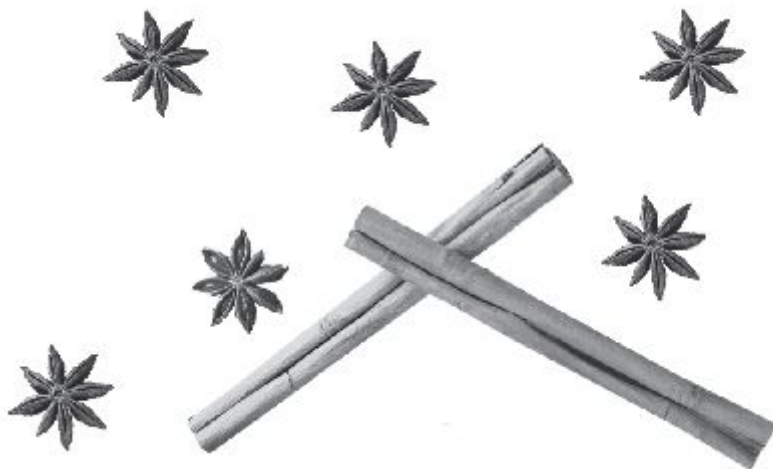
Aśka westchnęła głęboko i bąknęła coś w stylu: „widocznie to nie była ta miłość”, po czym przeszła do tematu, z którym dzwoniła:

– Próbowałam ci załatwić jakieś ciasteczko na jutro, ale wszyscy mają plany.

– Ciasteczko na jutro? – nie zrozumiałam, bo przed oczami stanęła mi moja matka pożerająca sernik na dwa kęsy.

– Ciasteczkowego faceta na urodziny Anki – oświeciła mnie przyjaciółka.

– O bogowie, zapomniałam! – Naprawdę zapomniałam. – Ale wiesz co? Nie przejmuj się żadnym ciasteczkiem. Mam ochotę się zabawić. Jeśli stoisz, to usiądź, bo mam dla ciebie niusy...



Rozdział 4

– Dzięki, że mnie przygarnęłaś, nie mam ochoty wracać do domu.

Aśka pokiwała głową i wymamrotała coś, czego nie dało się zrozumieć, bo usta miała wypchane pizzą. Po tym, jak wypiałam całą kawę w Starbucksie, obejrzałam jakąś mało udaną polską komedię w kinie i odwiedziłam wszystkie butiki, na których asortyment nie byłoby mnie stać, nawet gdybym nie była bezrobotna, moja przyjaciółka zlitowała się nade mną i zabrała do siebie. Kupiliśmy kilka piw w osiedlowym sklepiku, zamówiliśmy pizzę i postanowiliśmy załatwić temat powrotu mojej matki raz a porządnie.

– No dobra – zaczęła Aśka, przełknąwszy wielki kawałek pepperoni. – Otwierasz drzwi, a tam twoja matka, mieszkająca w juesej, z którą ostatni raz widziałas się...

– Pięć lat temu, w przelocie.

– Dawno temu – sparafrazował rudzielec. – I jakby nigdy nic oznajmia: „Oto ja, Kochaj mnie, Domi!”.

– No prawie. Tyle że zamiast „Domi” mówi do mnie „Niki”.

– Okej, to mogło cię wkurzyć. I postanowiłaś zrejterować.

– A co miałam zrobić? Przecież ja nawet nie wiem, jak z nią rozmawiać. Ona uważa, że jestem starą panną!

– Tak całkiem młoda nie jesteś...

Posłałam jej spojrzenie, od którego powinna się udławić, ale na szczęście nic nie miała w ustach.

– Która matka ignoruje fakt, że jej córka była mężatką, i nazywa ją starą panną?

– No wiesz... tak właściwie to żadna z nas nie ma porównania.

To też prawda. Jakie jest prawdopodobieństwo, że w mieście o populacji przekraczającej pół miliona mieszkańców dwie sieroty wpadną na siebie i zwiążą przyjaźnią trwającą ćwierć wieku? Nam się udało. Ślepy fart.

– Jeśliby wziąć pod uwagę standardy ukazywane w książkach i filmach, to raczej takie drobnostki jak ślub córki, a później śmierć zięcia, powinny zostać przez nią zarejestrowane.

– Mogłoby się tak wydawać – przyznała Aśka. – Tyle tylko, że twoja matka raczej nie jest standardowa.

– I to pod każdym względem – zgodziłam się z jawną niechęcią.

– Nie chcę psuć ci fengszuła i w ogóle, ale obawiam się, że będziesz musiała wrócić do domu i się z nią skonfrontować.

Niestety znów miała rację, a ta natrętna myśl zaburzała mi spokój od dłuższej chwili. Ugryzłam kawałek pizzy i przeżuwałam go powoli, jakbym chciała w ten sposób przeżuć całą złość. Szkoda, że to nie działało.

– Wiem – stwierdziłam, przełknąwszy. – I przez to jeszcze bardziej żałuję, że nie mam na podorzędziu dwóch tysięcy euro, bo już bym się pakowała na wyjazd. Istnieje duża szansa, że zapomnieliby o mnie przez ten tydzień.

Aśka pokiwała głową i odgryzła spory kęs pizzy. Mimo że obie zostałyśmy wychowane przez babcię, ona nie miała matki, która mogłaby nagle wrócić do domu, o czym – jestem stuprocentowo przekonana – moja przyjaciółka marzyła całe życie. Czym innym jest stracić rodziców wskutek tragicznego wypadku, a czym innym zostać porzuconą przez kobietę, która nigdy nie chciała mieć dzieci. Słusznie zresztą, bo nadaje się do tego jak wół do karety.

– To może jednak zaciśniesz zęby i pożyczysz tę kasę od Michała? – zasugerowała w końcu. – Wiesz przecież, że ci nie odmówi.

– Zwariowałaś? Nie po to trzymam się od niego z daleka, żeby teraz lecieć w potrzebie. Zaraz sobie wyobrazi, że to jakaś deklaracja, i znów zacnie snuć niedorzeczne plany.

– Ołać jego plany, przynajmniej wyjedziesz, potem napiszesz hit, będziesz sławna i bogata.

– I wyjdę na krowę wykorzystującą zakochanego chłopaka. Nie, dzięki, coś wymyślę. Może zatrudnię się w Kolejach Dolnośląskich i będę jeździć całą dobę pociągami.

Aśka zmierzyła mnie surowym spojrzeniem, ale nie skomentowała. Zajął się konsumowaniem pizzy i popijaniem trunku, który tego dnia wyjątkowo mi nie podchodził. Miałam wrażenie, jakby natrętna myśl o matce uszkodziła mi kubki smakowe i właściwie wszystko smakowało jak tektura.

Było już późno, kiedy wróciłam do domu, nie zaskoczyły mnie więc ciemności panujące w mieszkaniu.

Znajome tykanie zegara z kukułką z jakiegoś powodu działało na mnie kojąco. Gdyby nie pozostawiony w kuchni nieład, mogłabym zapomnieć o wizycie mojej matki. Ubrudzone jej ciemnoróżową szminką brzegi filiżanki, szklanek i kubka zburzyły mój spokój, a żołądek znów zacisnął się w supełek.

Zdjęłam bluzę i zabrałam się za zmywanie naczyń. Zmywarka zepsuła się nam kilka tygodni temu i jakoś żadnej z nas nie paliło się, żeby zamówić fachowca. Ja pamiętałam o tym tylko na widok zawalonego naczyńiami zlewozmywaka, a babcia nigdy nie była fanką maszyny. Jestem pewna, że pod moją nieobecność wszystko myła ręcznie.

Gdybym dostała złotówkę za każdą historię wymyśloną w trakcie wykonywania tej bezgranicznie głupiej czynności, byłabym milionerką. Ba! Możliwe, że nawet tryliarderką, bo mój umysł reagował natychmiastowym pobudzeniem, gdy tylko nasączona płynem do naczyń gąbka zetknęła się ze skórą dłoni. „Dlaczego tego nie notujesz, Dominisiu?“, pytała babcia, gdy złapała mnie na snuciu intryg i oglądaniu oczami wyobraźni bohaterów. No właśnie – dlaczego? Być może z lenistwa, ze strachu, z braku wiary w siebie. Dawno temu zakopałam marzenie o karierze pisarskiej tak głęboko, że gdyby chciać je odkopać, zbliżyłabym się na niebezpieczną odległość do jądra Ziemi. „Masz wielki talent“, powtarzali mi profesorowie na studiach. „Powinnaś pisać i publikować“, namawiały koleżanki. Łatwo im mówić: one już na studiach pisały opowiadania do magazynów literackich, budowały podwaliny pod debiuty, szukały swojej drogi w tym niełatwym świecie. A ja?

Kiedy kończyłam studia, miałam już pokaźne CV, a moje zawodowe doświadczenia były tak różne, że niekiedy sama w to nie wierzyłam. Już w liceum każdy weekend spędzałam w hipermarketach, pracując na żyłaki i wciskając ludziom keczupy, soki, colę i inne rzeczy. Później przyszła pora na korepetycje, recepcję w solarium, pracę na infolinii, a w końcu trafiłam do Mordoru. Może gdybym nie musiała dorastać tak szybko, nie musiałabym także zakopywać marzeń. Któż to wie...

Odpułyłam myślami gdzieś bardzo daleko, do krainy, w której rośliny były wiecznie zielone, niebo przybierało jedynie odcienie lazuru, a szczęście rośnie na drzewach – wystarczy zerwać pączek, położyć go na języku, a troski i problemy omiają nas jak trędowny. Kiedy ujrzałam pana idealnego, zmierzającego w moim kierunku radosnymi podskokami, gdy już niemal czułam jego bliskość, coś wyrwało mnie z rozmarzenia. Zapach. Intensywna woń wetywerii – zbroja mojej matki.

– Jak długo tu siedzisz? – warknęłam, odwracając się do niej.

– Kilka minut, nie chciałam ci przeszkadzać.

– To bardzo uprzejmie z twojej strony, a jeszcze uprzejmiej byłoby, gdybyś zechciała mi pomóc.

– Niki, czemu mnie atakujesz?

Wytarłam dłonie w lnianą ściereczkę, którą następnie rzuciłam na blat. Cisnęłam nią z taką złością, że wydała z siebie ciche plaśnięcie.

– Mówiłam już: nie nazywaj mnie Niki. Mam na imię Dominika.

– Do tej pory ci to nie przeszkadzało...

Spojrzałam na piękną twarz mojej matki. Nawet mimo tuszy, której dorobiła się w Stanach, olśniewała urodą. Nie wyglądała też na swój wiek, mogła z powodzeniem uchodzić za moją starszą siostrę. W zasadzie tak właśnie było. Lucyna urodziła mnie w trzeciej klasie liceum, byłam jej prezentem na siedemnaste urodziny. Świetny prezent... Podczas gdy jej koleżanki dostawały biżuterię, ciuchy i kosmetyki, moja matka dostawała pieluchy i wkładki laktacyjne.

– Do tej pory byłaś dla mnie gadającą głową na ekranie komputera – odparłam tonem, od którego nawet mnie zrobiło się zimno. – Teraz siedzisz naprzeciwko mnie, w kuchni, w której moja babcia gotowała mi tysiące posiłków, a ja nie przestaję się zastanawiać, dlaczego pojawiała się bez uprzedzenia. Jeśli zamierzałaś zrobić mi niespodziankę, to wyszło ci na opak.

Oparłam się o szafkę i zaplotłam ręce na piersiach. Postanowiłam piorunować ją wzrokiem, aż jej się znudzi i pójdzie precz. Najlepiej razem z tą wielką walizką, w której

zmieściłabym swoją szafę.

– Nie wiem, dlaczego babcia cię nie uprzedziła – odpowiedziała spokojnie, a w jej głosie pojawiła się smutna nuta.

– Nadal nie wierzę, że babcia wiedziała! – uniosłam się, czując, jak krew napływa mi do policzków. Momentalnie zrobiło mi się gorąco.

Lucyna uniosła jeden kącik swoich ładnych ust, a jej błękitne oczy zalsniły. Rozjaśnione włosy w kolorze miodu opadały na twarz, jakby celowo je tak ułożyła.

– Wiedziała. Rozmawialiśmy o tym od tygodni, nie zamierzałam cię zaskakiwać. Kochanie...

– Ale ci się udało – przerwałam jej oschłym burknięciem, z trudem panując nad głosem. Serce tłukło mi się w piersi tak mocno, że czułam je aż pod migdałkami.

– Domi...

– Przestań! Przestań udawać troskliwą matkę!

Wcale nie chciałam płakać. Zamierzałam być wredna, oschła, zimna jak lód w zbyt długo nierozmrażanej zamrażarce. Więc dlaczego piekły mnie oczy, a po chwili wielka jak groch łza spłynęła mi wzdłuż nosa?

– Córeczko, uspokój się – wyszeptła Lucyna i jej oczy też podejrzenie błyszcząły.

– Nie! To ty daj mi spokój! Nie chcę z tobą rozmawiać, nie chcę cię widzieć, nie chcę cię w swoim życiu!

Oderwałam się od szafki i wybiegłam z kuchni, po drodze niemal tratując babcie obudzoną moimi krzykami. Z nią też nie chciałam rozmawiać. Wiedziała, od tygodni, od tak dawna planowała coś za moimi plecami.

Zatrzasnęłam drzwi do pokoju i rzuciłam się na łóżko. Krzyczałam, tłumiąc dźwięk poduszką, machałam nogami, tłukłam pięściami w materac, jak dziecko doprowadzone do frustracji przez niedobrych rodziców, którzy arbitralnie uznali, że nie jest gotowe na szczeniaczka. Płakałam tak długo, aż zabrakło mi sił, a łzy przestały lecieć. Nie wiem, kiedy zasnęłam ani o czym myślałam tuż przedtem. Nic, zupełnie nic mi się nie śniło.

Obudził mnie dźwięk śmieciarki i niewybredny język jej operatorów. Trzech facetów w seledynowych ogrodniczkach zachowywało się, jakby startowali w zawodach o palmę pierwszeństwa w braku kultury. Naszła mnie ochota, żeby otworzyć okno i wylać im na głowy miskę lodowatej wody, zanim jednak zwlekłam się z łóżka, oni zdążyli odjechać.

W mieszkaniu panowała cisza. Pomijając, rzecz jasna, tykanie zegara i brzęczenie lodówki, nie licząc jednak maszyn, było zaskakująco cicho. Człapiąc do łazienki, kątem oka zarejestrowałam, że drzwi do sypialni gościnnej, tymczasowo okupowanej przez Lucynę, były uchylone. Nie mogłam się powstrzymać i złapawszy się futryny, zajrzałam do środka. Łóżko wyglądało jak po bitwie – pościel, którą widziałam chyba po raz pierwszy w życiu, leżała w nieładzie, poduszki zostały fantazyjnie rozrzucone. Na środku zaś pysznił się bawełniany szlafrok – ten sam, w którym widziałam matkę w nocy. Otrząsnęłam się na samo wspomnienie. Wielka waliza, otwarta i rozbebeszona, wystawała spod łóżka.

Sypialnia babci była zamknięta, co oznaczało, że nikogo nie ma w środku. Uchyliłam drzwi i potwierdziłam ten fakt – równiutko zaścielone łóżko, poduszki ułożone od linijki, na toaletce idealny porządek. Odwrotnie niż u Lucyny, pomyślałam. I u mnie. Babcia dawno już przestała walczyć z moim bałaganiarstwem, które – jak się okazuje – łączyło mnie z matką.

Skoro byłam w domu sama, postanowiłam zrobić sobie dzień dziecka i zrezygnowałam z mycia zębów przed kawą. To był całkiem rozsądny pomysł, zważywszy, że musiałam zgrzytnąć zębami, ledwo przekroczyłam próg kuchni. W zlewie znów piętrzyły się brudne naczynia, zupełnie jakby nocne spotkanie z matką jedynie mi się przyśniło.

– Jak dzień dziecka, to dzień dziecka – mruknęłam do siebie i odwróciłam wzrok od zwałonego zlewozmywaka.

Wyjęłam z szafki kubek i zaparzyłam kawę. Wciąż czułam zagę po pepperoni, które uwielbia Aśka, ale za ciężar w żołądku odpowiadała Lucyna, która nagle, ni stąd, ni zowąd, odkryła w sobie instynkt macierzyński. Trochę poniewczasie, jakieś trzydzieści lat za późno.

Zabrałam kubek z kawą do salonu i włączyłam telewizor. Nie robiłam tego od... właściwie nigdy tego nie robiłam, ale teraz byłam bezrobotna, bez pomysłu i planu na życie. Mogłam więc zmarnować trochę tego życia na bezcelowe gapienie się w szklany ekran.

Okazało się jednak, że marnowanie życia przed telewizorem wcale nie jest takie proste – znalezienie sensownego programu zajęło mi wieki, a gdy już trafiłam na film, który mógłby mnie zainteresować, zrobiłam to niemal przed samą listą płac.

Zirytowana, wyłączyłam bezużyteczne pułdo i przez chwilę zastanawiałam się, co ze sobą zrobić, żeby dotrzeć do popołudnia bez oddechu frustracji na karku. Oczywiście, że najlepiej byłoby przeczytać książkę, ale po pierwsze: czytnik zostawiłam w sypialni i nie chciało mi się po niego iść, po drugie: nie miałam ochoty na żadną z książek znajdujących się w moim katalogu.

Obok kanapy, na której udało mi się wygodnie umościć, znajdowała się ława, prawdopodobnie starsza od węgla, a z całą pewnością wyprodukowana w czasach, kiedy zakupy robiło się na kartki. Babcia dbała o nią, jakby to był co najmniej kredens gdański – miała stanowić fundusz emerytalny dla jej jedynej wnuczki. Na razie stanowiła idealne miejsce do postawienia kubka z kawą i upychania na dolnej półce ulotek. Pomiędzy ulotkami zaś od czasu do czasu zdarzało się trafić na książkę, którą babcia aktualnie czytała.

Intuicja mnie nie myliła – spomiędzy broszurek wyjęłam brulionowe wydanie powieści, której tytuł sugerował, że miałam do czynienia z literaturą przeznaczoną jedynie dla kobiet. W dodatku wyposzczonych i żadnych doznań, niekoniecznie intelektualnych. Dlaczego moja babcia sięgnęła po taką lekturę?

Zanim zdążyłam przemyśleć odpowiedź na to pytanie, co zapewne natychmiast odrzuciłoby mnie od znaleziska, otworzyłam książkę i zaczęłam czytać. Mniej więcej w jednej trzeciej po początkowej niechęci nie było już śladu, a ja z wypiekami na twarzy przewracałam kolejne strony, kibicując namiętnemu romansowi współczesnej pani Bovary, która miała na imię Barbara (sprytnie!), była przeraźliwie samotna, a jej mąż powinien szczeznąć w ogniach piekielnych.

Pochłonięta lekturą, nie usłyszałam, że drzwi się otwierają, wskutek czego dźwięk głosu mojej matki zabrzmiał niemal jak trąby pod murami Jerycha.

– Jak ci się podoba? – Lucyna stała w drzwiach, oparta lewym ramieniem o framugę. Ręce skrzyżowała na wydatnym biuście, a jej opalona twarz wyrażała radość.

– Co? To twoje? – Powinnam była się domyślić. Babcia czytuje Myśliwskiego i Tokarczuk.

– Ale podoba ci się? – dociekała moja matka. Dlaczego ona była tak zadowolona? I jakim cudem ktokolwiek mógł tak wyglądać po kiepskiej nocy? Życie jest niesprawiedliwe...

– Jeśli ktoś lubi dużo seksu, to może mu się podobać – warknęłam, zła na siebie, że mi się podoba, a przecież wcale nie lubię dużo seksu! No dobra, może trochę lubię, jeśli to ja jestem jego bohaterką.

– Tak myślałam. – Lucyna puściła do mnie oko i uśmiechnęła się promiennie. – Daj znać, jak ci się spodoba zakończenie.

Odwróciła się na pięcie, a po chwili usłyszałam hałasy dobiegające z kuchni. Moja matka wzięła się za zmywanie naczyń, o święci pańscy, przecież ona nie potrafi żyć bez służby!

Dolatujące z kuchni podśpiewywanie w akompaniamencie strumienia wody i pobrzękiwania naczyń pozbawiło mnie ochoty na czytanie. Mimo że naprawdę zainteresowała mnie historia madame Barbary i jej jurnego kochanka, fakt, że tę książkę polecała mi matka, odebrał jej cały urok. Odłożyłam ją z powrotem pomiędzy ulotki i pomaszzerowałam do swojego pokoju, upewniając się, że wystarczająco głośno tupię, a na koniec trzasnęłam drzwiami z taką siłą, że sąsiadce z dołu bez wątpienia zakołysały się żyrandol.

Do urodzinowej imprezy Anki pozostawało sporo czasu, musiałam jakoś go wykorzystać, zabrałam się więc za dobranie kreacji. Połączona ze mną mentalnie Aśka musiała to wyczuć, bo po chwili mój telefon zaczął brzęczeć.

– *Hola, amiga* – rzuciłam do aparatu, włączwszy tryb głośnomówiący. – Jak życie?

– Jak w Madrycie, kiedy jesteś matadorem na korridzie – zachrypiała Jo w głośniku. – Kaca mam jak stąd do Uralu i myli mi się jeszcze pion z poziomem.

– No pięknie, moje gratulacje! Czyli dziś na trzeźwo?

– Oszalałaś? – oburzyła się. – Klin klinem, moja droga. A jak na froncie rodzinnym?

Westchnęłam ciężko, odłożyłam czarny top, który zamierzałam złożyć i schować z powrotem do szafy, po czym przyjęłam wygodną pozycję. Zanim odpowiedziałam na pytanie, znów westchnęłam, tym razem nawet głośniej.

– Otóż, moja kochana, zimna wojna trwa, z tą różnicą, że wróg nie poczuwa się do bycia wrogiem, a wręcz wydaje mu się, iż ma szansę na fraternizację.

– O?

– O! Podsunęła mi książkę na znak przymierza.

– Nie wiedziałam, że twoja matka czyta książki – palnęła Aśka bez zastanowienia, ale trudno jej się dziwić. Przez całe moje życie jedyne teksty pisane, o jakich słuchałam, to były scenariusze filmów, w których występowała „magic Lucy”.

– Wstrzymaj się ze zmianą zdania na temat czytelnictwa mojej matki, dopóki nie dowiesz się, coź to za arcydzieło. Współczesna wersja *Pani Bovary* ze szczególnym uwzględnieniem potrzeb seksualnych znużonej małżonki.

– *Madame Barbara*? – zaskoczyła mnie Aśka. – Patricii McKnight?

– A ty skąd znasz takie rzeczy? – Usiadłam raptownie, aż strzeliło mi w miednicę.

– Przecież to nie schodzi z topki – zachnęła się moja przyjaciółka, odrobinę urażona. – Kobiety oszalały na punkcie książek tej babki, chociaż nikt nie ma pojęcia, kim ona jest.

– Co wciąż nie wyjaśnia, dlaczego ty, fanka Kinga i Tolkiena, czytasz erotyki. – Gdy tylko wypowiedziałam te słowa, zorientowałam się, że ja także zaczęłam czytać tę książkę, a w dodatku miałam ochotę robić to dalej.

– Nie bądź snobką, Domi, każdy ma swoje *guilty pleasure*. A ta historia jest taka ładna... – Rozmarzyła się.

Musiałam się z nią zgodzić. W myślach, rzecz jasna. Za żadne skarby na głos nie przyznałabym się do tego, że mogłabym zachwycać się naszpikowanymi erotyką, żeby nie powiedzieć: pornografią, romansami.

– No dobra, niech ci będzie, każdy ma swoje Maroon 5. Powiedz mi lepiej, w co mam się ubrać: czarny top i czarne portki, czarna sukienka midi, czarna tunika i legginsy?

– Zależy, czy idziesz na pogrzeb Victorii Beckham, Adele, czy Anny Lewandowskiej. Czerwona kiecka i czerwone szpilki. I ani mi się waź nie zastosować. Sprawdź!

„Sprawdź” oznaczało, że zjawi się u mnie odpowiednio wcześniej, żeby w razie czego zawetować mój wybór. Podejrzewałam, że nie tylko o modę chodziło, moja matka, okryta legendą Wielka Nieobecna, z całą pewnością budziła ciekawość.

Kiedy się rozłączyłam, usłyszałam głos babci. Nie był jednak spokojny jak zawsze, wydawał się podniesiony i pełen złości.

Podeszłam na palcach do drzwi i uchyliłam je najciszej, jak tylko się dało.

– Absolutnie i kategorycznie zabraniam! – Przypomniały mi się czasy liceum, kiedy dokładnie tymi słowami babcia reagowała na moje błaganie o pozwolenie na późny powrót z imprezy. – Sama się tym zajmę, kiedy przyjdzie właściwa pora.

– A czy ona kiedykolwiek będzie właściwa? – W głosie Lucyny usłyszałam zdenerwowanie i coś jeszcze. Troskę?

– Będzie, Lucynko, już niedługo. Najpierw zajmijmy się twoimi sprawami.

Matka nie podjęła dalszej dyskusji, co zupełnie mnie nie zdziwiło. Obie doskonale wiedziałyśmy, kiedy należy ustąpić, nie narażając się na gniew babci. W tej kwestii nasze doświadczenia musiały być niemal identyczne, w końcu obie zostałyśmy wychowane przez tę samą kobietę.

Zamknęłam drzwi i wróciłam na łóżko. Bardzo chciałam porozmawiać z babcią, ale obecność Lucyny zupełnie mi to uniemożliwiła. Modliłam się o to, żeby szybko zniknęła z tą swoją walizką wielkości szafy prowadzącej do Narnii, żeby wróciło status quo.

Delikatne pukanie wyrwało mnie z zamyślenia, któremu bliżej było do rozczulania się nad sobą i utyskiwania nad parszywością losu.

– Mogę? – Siwa głowa babci pojawiła się za uchylonymi drzwiami.

– Też mi pytanie – bąknęłam, siadając. – Gdzie byłaś? Nie zostawiłaś kartki.

– Ach tak, przepraszam, zupełnie wyleciało mi z głowy. – Babcia postąpiła ku łóżku i nachyliła się, żeby cmoknąć mnie w policzek. – W przychodni byłam, musiałam zrobić kilka badań.

– Ale wszystko porządku? – zaniepokoiłam się odруchowó.

– W idealnym, kochanie, w idealnym. – Pogłaskała mnie po zwichrzonych włosach i uśmiechnęła się ciepło. – Rozmawiałaś z mamą?

– Wymieniłyśmy kilka zdań. Jednak mądrości mi od tego nie przybyło.

– Nie bądź zołąż, Dominisiu. Prędzej czy później będziesz musiała z nią porozmawiać. Myślę, że to ci pomoże.

– Jeśli o mnie chodzi, to może być dużo później, a nawet za późno. Wcale mi nie zależy.

Babcia westchnęła i pokręciła głową. Nie była zła ani zaskoczona, doskonale znała mój stosunek do matki, która matką była jedynie z nazwy. Równie dobrze mogłabym jej nie mieć.

– Bądź mądra – powiedziała, kierując się do drzwi. – Czasami nie widzimy pełnego obrazu i zbyt pochopnie wydajemy werdykty.

Znów zostałam sama ze swoimi myślami, ale teraz czułam się jeszcze gorzej. Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego babcia tak łatwo wybaczyła mojej matce, dlaczego nigdy nie robiła jej wymówek. Czy to ja jestem tak bezduszna, czy ona ma zbyt dobre serce? Nigdy nie udało mi się jednoznacznie odpowiedzieć na żadne z tych pytań.

Teraz także nie znalazłam satysfakcjonującej odpowiedzi, za to dopadł mnie marazm, który akurat tego dnia był najmniej pożądaną rzeczą. Wzięłam trzy głębokie wdechy, zeskoczyłam z łóżka, od czego zakręciło mi się w głowie, i zajęłam się poszukiwaniem czerwonej sukienki. Choć powinnam powiedzieć: właściwej czerwonej sukienki, co wcale nie było prostą sprawą. W większości wyglądałam jak baleron, w kilka nie udało mi się nawet wcisnąć, jedna nadawała się wyłącznie na eleganckie gale. W końcu stanęło na bawełnianej o długości tuż nad kolano, z kołnierzem w stylu Jackie O. Gdy założyłam do niej lakierowane czerwone szpilki, uznałam, że nie jest najgorzej. Aśka powinna być zadowolona.

– Za długa! – zawyrokowała moja przyjaciółka, mierząc mnie wzrokiem spod zmrużonych powiek. – Jak ty chcesz podrywać facetów, zakrywając swój największy atut?!

– Moim największym atutem jest inteligencja – odparłam z godnością.

– Taaa, i skromność. Za długa! Pokaż te swoje zgrabne nogi.

– A w dupie mam nogi! – zirytowałam się.

– Owszem, to się zgadza. Zgrabne nogi w zgrabnej dupie, więc powinnaś je eksponować.

Tak było niemal zawsze. W przeciwieństwie do mnie Aśka składała się z samych atutów, począwszy od jej pięknej, piegowatej twarzy, na stopach stworzonych do reklamowania lakierów do pedicure skończywszy, mogła więc iść w parcianym worku, a i tak facetów ogarnęłyby amok na jej widok. Miała w sobie to „coś”, co powoduje, że płęć przeciwna dostaje małego rozumu.

Tego dnia włożyła obcisłą mini w kolorze indygo, którego ja szczerze nie znoszę, a ona wyglądała w nim jak zjawisko nadprzyrodzone. Nogi, choć nie tak zgrabne jak moje, mieniły się drobinkami złota, jakby wyszła z kąpeli Kleopatry. Pomimo mojej wściekle czerwonej sukienki czułam się przy niej jak Kopciuszek, jednak zupełnie mi to nie przeszkadzało. Nigdy nie było między nami na tym tle rywalizacji, nigdy też nie zdarzyło się, byśmy upodobały sobie tego samego faceta. Aśka mogła mieć każdego, a na partnerów wybierała dojrzałych inżynierów o urodzie, delikatnie mówiąc, nienachalnej. „Co ja poradzę na to, że lubię brzydali?”. Nic. Tak samo jak na to, że ją lubili wszyscy, wyłącznie z aktorami i modelami, na których piękna Jo nie zwracała uwagi.

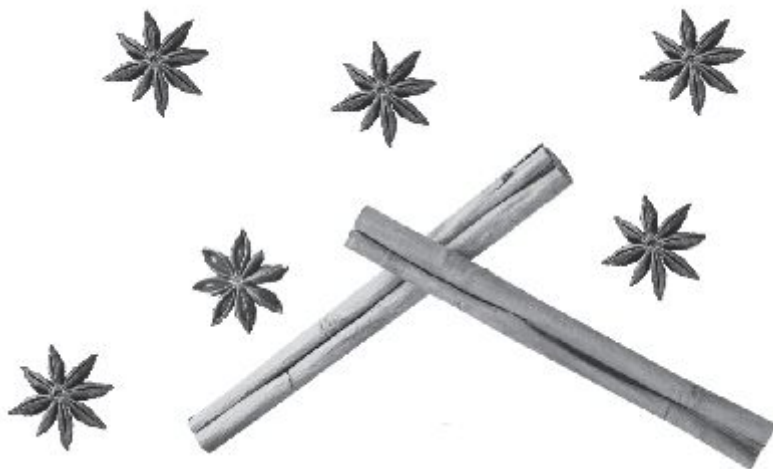
– Idziemy? – przerwałam tę utarczkę. – Kilka drinków i kto wie, może coś wyeksponuję.

– O Matyldo, osobiście wleję ci je do gardła.

Wyszliśmy z pokoju, chichrając się jak wariatki, ale z mojej twarzy uśmiech spęzł niemal natychmiast, gdy z kuchni wyłoniła się korpulentna sylwetka Lucyny.

– Miło mi było wreszcie cię poznać, Asiu – odezwała się przymilnie. – Bawcie się dobrze, dziewczęta!

- Dzięki i wzajemnie! Znaczący: wzajemnie miło! - Aśka wyszczerzyła się, za co dostała pstryczka w ramię. - Au! Co robisz? Dobra, dobra, już idziemy. *Ciao!*
- *Ciao!* - odkrzyknęły równocześnie matka i babcia.
- Miłego wieczoru, Dominisium - usłyszałam głos babci, zamykając drzwi.
- Uhm, dzięki - mruknęłam. - Z pewnością będzie spektakularny.



Rozdział 5

Kierowca taksówki omal nie spowodował wypadku, gapiąc się na Aşkę we wstecznym lusterku.

– Może być, kolego, patrzył na drogę, albo to będzie nasza ostatnia droga – upomniała go rudowłosa piękność, usiłując upchnąć luźne kosmyki do fikuśnego koka.

Wyglądający na dwadzieścia kilka lat chłopak spieszył się i wlepił wzrok w przednią szybę, dzięki czemu nikt już na nas nie trąbił, a ja nie musiałam trzymać się uchwytu pod sufitem.

– Jaki plan? – zapytałam, głównie w celu pokrycia zdenerwowania. Dochodziłam do wniosku, że ta czerwona kiecka była kiepskim pomysłem, i miałam ochotę wrócić do domu.

– Prosty jak fińskie określenie na popijanie alkoholu w bieliźnie* w piątek wieczorem, bez zamiaru opuszczania domowego zacisza – odparła Aśka i w dodatku mówiła serio. Od wielu lat była menedżerką w Nokii i uczyła się tego bezbożnego języka, który mogły zrozumieć wyłącznie foki, renifery i Muminki. – Wchodzimy, robimy wrażenie, składamy życzenia solenizantce, idziemy do baru.

– I?

– I się zobaczy. Jeśli twój były będzie patrzył na ciebie wzrokiem upośledzonego muflona, pijemy. Jeśli będzie udawał, że nie patrzy, pijemy. Jeśli spotkasz swój ideał...

– Niech zgadnę: pijemy? – weszłam jej w słowo, odrobinę rozbawiona. Głównie tym, że wyraźnie widziałam, jak kierowca hamuje się przed spojrzaniem w lusterko.

– Pudło. Wtedy ty się puszczasz, a ja piję.

Szanse zarówno na to, że spotkam ideał, jak i na to, że się z nim puszczę, były równe temu, że zostanie wymyślone lekarstwo na głupotę, więc pogodziłam się z myślą o czekającym mnie nazajutrz kacu-gigancie.

Speszony podsłuchaną rozmową taksówkarz odjechał z piskiem opon, kiedy tylko zatrzasnęłyśmy drzwi, zostawiając nas niemal na środku ulicy, kilka metrów od klubu, do którego zmierzaliśmy. Klębiący się przed wejściem tłumek obrzucił nas ciekawskimi spojrzeciami, które – rzecz jasna i całkiem naturalna – dłużej spoczywały na Aśce. Mimo że było dość ciepło, czułam gęsią skórę na całym ciele, a dłońmi mogłabym robić okłady gorączkującemu człowiekowi.

– Uspokój się – szepnęła Aśka, dotknąwszy mojej prawej ręki. – Wszystko będzie dobrze. Piersi do przodu, podwiń trochę tę kieckę, uśmiech na paszczę i myśl tylko o tym, co na nas czeka przy barze.

– Mam nadzieję, że stołek, bo za długo w tych szpilach nie ustoję... – mruknęłam, z trudem panując nad mięśniami twarzy.

Klub znajdował się w podziemiu, do którego prowadziły betonowe schody pokryte czerwoną wykładziną. Otaczające zejście ściany pomalowano na przygnębiający grafitowy kolor, co nasunęło mi skojarzenia z wampirami. Nie mam pojęcia, dlaczego akurat z nimi, bo Aśce na myśl przyszedł zamtuz.

– Burdelowa atmosfera, nie sądzisz? – zagadnęła mnie, gdy łysy zawodnik amatorskiego MMA zakładał nam na nadgarstki opaski.

– Nigdy nie byłam w burdelu, więc nie mam zdania.

Podróża Pudziana zerknęła na nas z nieodgadnionym wyrazem swojej mało roztropnej twarzy, jakby zastanawiała się, czy nie powinna zainterweniować. Nie zdążyła, bo Aśka chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w stronę korytarza, z którego dolatywały przytłumione dźwięki muzyki.

We wnętrzu klubu było ciemno i bardzo głośno. Jedyne wyraźnie oświetlone miejsca stanowiły dwa bary, przy których klębiły się roznegliżowane dziewczyny i wystrojeni jak szczury na otwarcie kanału faceci. Wnęki, oddzielone od reszty pomieszczenia ceglanymi filarami pomalowanymi na grafitowo, zostały wykorzystane na łoże, w których siedziały grupy rozbawionych ludzi. W jednej z nich, największej, dojrzałam Ankę. Aśka też ją zauważyła, bo zatrzymała się i nachyliła do mnie, mówiąc:

– Szłoł tajm, bejbe. Jesteś boginią seksu, królową męskich serc i największą żołą na świecie. Przyjmij postawę. – Uraczyła mnie taksującym spojrzeniem, zatrzymując je dłużej na dekolcie w kształcie kawałka sernika. – Do boju, Domi!

Ruszyliśmy przez parkiet, jeszcze pusty, przez co miałam wrażenie, że wszyscy się na nas gapią. Najgorsze jednak było to, że z całą pewnością gapił się na nas on: Michał, mój były facet, z którym nie widziałam się od kilku miesięcy i wcale nie tęskniłam za jego cielącym spojrzeniem. Patrzył na mnie teraz tymi wielkimi, brązowymi oczami, a ja poczułam mdłości na samą myśl o jego miauczeniu. Szlag ciężki!

– Nie denerwuj się, jesteś zawiłcem na kwitnącym jeziorze – wycodziła przez zęby Jo, szczerząc się do solenizantki, która już nas zauważyła. – Dobry wieczór, królowo, jakaś ty zjawiskowa!

Królowa Anna, czarnowłosa i niebieskooka, wystrojona w czarne skórzane rurki i koronkowy top odsłaniający zgrabny brzuch, wystrzeliła ku nam i rzuciła mi się na szyję.

– Przepraszam cię, Domi, Wojtek mnie ubłagał – wyszeptęła, ściskając mnie mocno. Westchnęłam cicho, wdychając przy okazji jej waniliowe perfumy.

– Daj spokój, Aniu, przecież to musiało kiedyś nastąpić – zapewniłam. – Wszystkiego najpiękniejszego, kochana! – Cmoknęłam ją w policzek, a ona rozpromieniła się jak mała dziewczynka.

– Mam dla was niespodziankę, laleczki – oznajmiła z zadziornym uśmiechem.

– Rozstajesz się z Wojtkiem? – rzuciła Aśka, wpatrując się w twarz Anki jak sroka w gnat. Jo z jakiegoś powodu nie cierpiała męża naszej licealnej przyjaciółki i nigdy się z tym nie kryła. W przyjaźni w końcu najważniejsza jest szczerłość.

– Nie, wręcz przeciwnie!

– Bardziej za niego wyjść nie możesz... – dywagowała skrzywiona Aśka.

– Oj, głupia! Będziemy mieli bobasa!

W tej chwili zupełnie zapomniałam, że mam być seksbombą, królową męskich serc i czym tam jeszcze, bo rewelacja Anki całkowicie mnie ogłuszyła. Rozdziawiłam paszczę, wytrzeszczyłam oczy i mrugałam nimi w zwolnionym tempie.

– Matkobosko, chcesz namiary do kliniki aborcyjnej? – zapytała, nie mniej ode mnie zaskoczona, Asia.

Czarnowłosa solenizantka skrzywiła się i postukała palcem w czoło.

– Oszalałaś? Przecież ja się tyle czasu o to dziecko starałam, że chyba pobіłam rekord w częstotliwości wykorzystywania męża.

Teraz to Aśka wymownie się skrzywiła, zapewne wyobraziwszy sobie częste wykorzystywanie nielubianego Wojtka. Brrrr.

– Jeśli jesteś szczęśliwa, to ja cieszę się twoim szczęściem – wyszeptwała, ściskając Ankę, po czym pogłaskała ją tuż nad pępkiem.

Spojrzałam na płaski jak naleśnik brzuch mojej przyjaciółki i poczułam ukłucie żalu. Mnie też kiedyś wydawało się, że spotkałam swojego Wojtka, niestety szybko pojął, jak duży błąd popełniłam.

– Hej, ty, gdzie twoja postawa? – Aśka szturchnęła mnie lekko, wrywając z zadumy. – Chodźmy do baru, Anka i tak nie pije, więc jesteśmy zdane na siebie. Nie pogńiewasz się, Aniu?

– Absolutnie, idźcie, spożyjcie płynne szczęście i wracajcie do nas. Jest szansa, że Michał zaraz sobie pójdzie, bo Wojtek solidarnie ze mną też nie pije.

Kręcąc wąskimi biodrami, oddaliła się w stronę rozgadanego towarzystwa. Zerknęłam w kąt łoży, ale szybko odwróciłam wzrok na widok brązowych, cielőcych oczu. Rany boskie, tylko nie to.

Ruszyłam za Aśką, która już przeciskała się między ludźmi przy barze. Kiedy znalazła się przy grupce facetów, rozstąpili się niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem. Jak zawsze.

– Co pijemy, skarbie? – rzuciła do mnie przez ramię, puszczając oczko do stojącego najbliżej niej wysokiego blondyna.

– Coś mocnego i dużo – odparłam.

Tak jak się spodziewałam, blondyn zaproponował, że postawi nam tę kolejkę, jednak Aśka stanowczo odmówiła, twierdząc, że to nasza randka i ona chce sprawić radość swojej dziewczynie. Widziałam, jak jabłko Adama podskakuje na szyi chłopaka, kiedy przełknął ślinę, zapewne wyobrażając sobie finał tej naszej randki.

– Jesteś okropna – szepnęłam jej w kark. Rudy kosmyk połaskotał mnie po nosie.

– A tam, od razu okropna. Niech sobie nie robi nadziei, wołę grać w otwarte karty.

Aśka, która mogłaby mieć każdego faceta, nie robiąc w tym celu absolutnie nic – wystarczyło, żeby na niego spojrziała spod firany swoich miedzianobrazowych rzęs – dość często uciekała się do podobnego zagrania. Był to jej mechanizm obronny i broń jednocześnie. Jeśli któryś z absztyfikantów nie odpuszczał, pozwalała mu kupić sobie drinka, po czym ostentacyjnie zaczynała podrywać kogoś innego.

Kiedy barman wręczył nam nasze kolorowe drinki, w których zmieszał bodaj wszystkie dostępne rodzaje i gatunki alkoholu, zajęliśmy dwa wolne krzesła przy końcu baru. Z tej pozycji miałyśmy doskonały widok zarówno na parkiet, wciąż pusty, jak również na wejście do sali i łóżę, w której Anka świętowała urodziny. Wojtek, jej mąż, nie spuszczał pełnego miłości wzroku z roześmianej twarzy solenizantki, a siedzący po jego prawej stronie Michał nie spuszczał wzroku ze mnie.

– Boże, co on się tak tu gapi jak naćpany kot na puszkę sardynek? – zapytała Aśka.

– Nie wiem i raczej nie będę o to pytać – skwitowałam, siorbiąc kolorowego drinka przez papierową słomkę. – Zamień się ze mną miejscami, usiądę do niego tyłem, może się odcepi.

Aśka chętnie przystała na tę propozycję, głównie dlatego, że teraz mogła bez problemu obserwować wszystko i wszystkich. Pewnie liczyła na to, że jakiś zagubiony podstarzały inżynier przypadkiem przypałęta się do jednego z najbardziej snobistycznych nocnych klubów we Wrocławiu. Nie takie rzeczy już na tym najdziwniejszym ze światów się zdarzały.

– Teraz może oglądać twoje plecy i naddupie, chyba mu się podoba – oceniła moja cudownie szczerą przyjaciółką.

Postanowiłam zignorować zarówno tę uwagę, jak i fakt, że czułam na swoim naddupiu palące spojrzenie mojego byłego faceta, który z całą pewnością chciałby pozbyć się przedrostka „były”. Skaranie boskie.

– Pij szybciej, bo ja już prawie kończę – ponagliłam Aśkę. – Może od razu weźmiemy dwie kolejki.

– Słusznie – zgodziła się bez wahania rudowłosa nimfa i siorbnęła głośno, aż w uszach mi zadzwoniło. – Hiszpanie pod tym względem są mądrzejsi, tam zawsze dostajesz podwójnie.

Zeskoczyła z gracją z wysokiego krzeselka, chwyciła szklanki w dłonie i ruszyła w stronę barmana, który zmaterializował się niemal natychmiast, a po chwili postawił przed Aśką cztery szklanki ozdobione plasterkami ananasa. Rzuciłam się do pomocy, jednak zupełnie niepotrzebnie, bowiem przystojny brunet w koszuli z wielkim logo Tommy’ego Hilfigera na plecach postanowił zabawić się w Don Kichota.

– A panie tak tu... same? – zagadnął niby od niechcienia, stawiając przede mną dwie szklanki.

Aśka usadowiła się na krześle, chwyciła rurkę zębami i uśmiechnęła się promiennie.

– Do tanga trzeba tylko dwojga, a raczej dwóch – odpowiedziała. – I kilku drinków, ale to już fanaberia. Dzięki za pomoc – rzuciła tonem królowej, w którym wdzięczności nie było za grosz.

Chłopak zawahał się na moment, ale rudowłosa królowa już na niego nie patrzyła. Nachyliła się do mnie i położyła mi rękę na kolanie, co ostatecznie przekonało odprawionego z kwitkiem młodzieńca, że z tej mąki chleba nie będzie.

– Musisz w końcu przestać wykorzystywać mnie jako swoją tarczę – oznajmiłam, gdy znów zostałyśmy same. – Daj szansę któremuś, może trafisz na właściwy model. Ten wydawał się sympatyczny i był dobrze wychowany.

– A dlaczego ty nie dasz szansy Michałowi, któremu zaraz oczy wyjdą na wierzch od wpatrywania się w twój tatuaż?

– Przecież nie widać tatuażu, sukienka go zakrywa! – zaśmiałam się, choć nie było mi do śmiechu, bo nawet przez materiał kiecki wyraźnie czułam to wierzące spojrzenie.

– Ale on go widzi oczyma duszy jego – zawyrokowała Jo. – I nie odwracaj kota ogonem: może jednak powinnaś dać mu szansę?

Zanim udało mi się wymyślić dyplomatyczną odpowiedź na to niewygodne pytanie, tuż obok nas zmaterializowała się Anka w towarzystwie swojej siostry, Karoliny.

– Jesteście gotowe na socjalizację? – zaczęła uśmiechnięta od ucha do ucha solenizantka. – Karo nie ma z kim pić.

– Jeszcze chwila, wciąż jesteśmy trzeźwe jak świnię, a Domi na trzeźwo nie zniesie widoku usychającego z miłości Michała.

– Nieżle go trzyma, nie? – podjęła wątek Karolina.

– Możemy zmienić temat? – burknęłam.

– Możemy, ale wcale nie chcemy – odparła Anka. – Trochę mi go szkoda, wygląda jak kupa nieszczęścia.

Trzy czarownice utkwiły spojrzenia gdzieś za moimi plecami i nie musiałam się odwracać, żeby wiedzieć, na kogo patrzą. On pewnie też to wiedział.

– Okropne jesteście, przecież on myśli, że o nim gadamy – skwitowałam kwaśno.

– No bo gadamy! – odpowiedziały unisono.

Karolina odstawiła pustą szklankę po piwie na blacie i po chwili barman podał jej pełną.

– Ejże, tu jest zdecydowanie lepsza obsługa, ja tu zostaję – oświadczyła, posyłając przystojnemu barmanowi uśmiech.

Anka parsknęła wesoło i uniosła szklankę z wodą nad głowę.

– Za nasze zdrowie, lejdis!

– Za twoje, siostró – przyłączyła się Karo ze swoim lagerem.

– Za zdrowie solenizantki – zawtórowałam.

– I za pana idealnego – rzuciła Aśka, po czym posłała mi buziaczka.

Jak można było się spodziewać, Anka i jej siostra natychmiast podchwyciły aluzję, wobec czego znów musiałam opowiedzieć o gimnastyce tantrycznej w dziale ksiązek dla bab, po czym zasypały mnie pytaniami o wygląd pana idealnego, który musiałam opisać w najmniejszych szczegółach.

– Keanu Reeves – wyszeptła Aśka z jakimś dziwnym gulgotaniem.

– No przecież mówię, że ten typ.

– Nie, patrz do tyłu!

Odwróciłam się, podążając za wzrokiem mojej przyjaciółki, i oniemiałam.

– Jezus Maria, facet idealny... – jęknęłam, czując, jak tyłek poci mi się na krześle.

– O matko, mój też – jęknęła Karo, która od kilku lat bez powodzenia szukała swojego ideału na Tinderze.

– Nie! TO jest TEN facet! Z księgarni! – syknęłam.

– Zgrywasz się, Domi? – Nawet Anka musiała zauważyć jego oślepiającą urodę.
– Chryste Panie, a co on robi w twojej łóżce? – Aśka omal nie spadła z krzesła, wyciągając szyję jak żyrafa.

– I dlaczego wita się z Michałem? – Teraz pot spływał mi wszędzie, byłam pewna, że moja wystrzałowca czerwona kiecka właśnie zyskała abstrakcyjne wzory.

Wyglądający jak ucieleśnienie mokrych snów połowy heteroseksualnych kobiet (drugą stanowi frakcja Brada Pitta) znajomy nieznamy pewnym krokiem wszedł do łóżki, w której aktualnie panowało bezkrólowie, a honory gospodarza czynił Wojtek. Na widok kopii Keanu Reevesa Michał uśmiechnął się szeroko, a następnie przywitał faceta jak bliskiego znajomego. Siedzące w łóżce trzy znajome Anki wpatrywały się w niego jak sroki w gnat, a ja miałam ochotę wcisnąć im te zapatrzone oczy do środka czaszek. O borze szumiący, tak naprawdę to miałam ochotę rzucić się na niego i wrzasnąć: mój ci on!

Po chwili, która w mojej głowie trwała co najmniej jeden dzień polarny, Michał klepnął zjawisko w ramię i... wskazał ręką na mnie. Keanu prim odwrócił się, skrzyżował spojrzenie z moim, a ja przestałam oddychać. I pewnie bym się udusiła, gdyby nie Aśka.

– Anka, chyba cię wołają – przetłumaczyła dziwne wymachy rąk Wojtka.

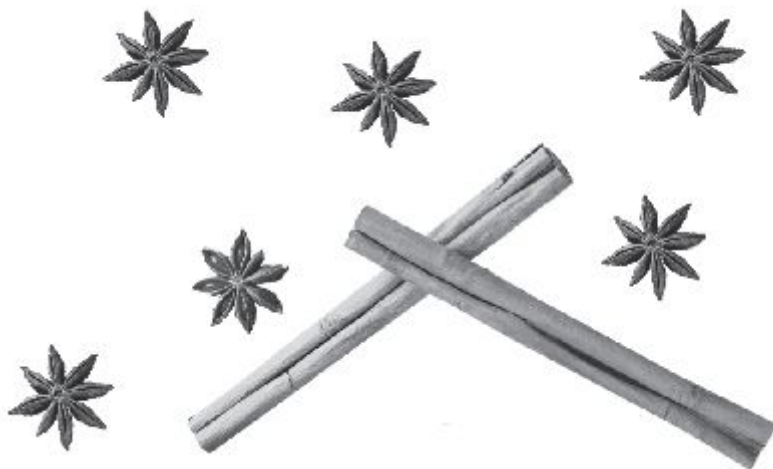
– Idę z tobą, siostrzko! – Karolina chwyciła ją pod rękę i pociągnęła w stronę łóżki. – Popilnujcie mi piwa, kobiety.

– A ty nie chcesz tam iść? – zapytała mnie szeptem Aśka.

Pokręciłam głową, a przynajmniej taki miałam zamiar, jednak nie gwarantuję, że mi wyszło. Siedziałam jak zahipnotyzowana, gapiąc się na mężczyznę z moich snów, który w niepojęty dla mnie sposób był znajomym mężczyzną z mojej przeszłości. Czy los mógłby bardziej zagrać mi na nosie?

Głupie pytanie. I zupełnie niestosowne...

* Kalsarikanni (fin.) – uczucie, kiedy zostajesz sam w domu i pijesz w samej bieliźnie, bez zamiaru wychodzenia na zewnątrz.



Rozdział 6

– Au, au, auuuuu! – jęczałam do telefonu, usiłując przyjąć pozycję wertykalną. – O matko z córką, chyba umieram.

Było późne popołudnie, co poznałam głównie po tym, że słońce wisiało już nisko. Telefon od Aśki wyrwał mnie ze snu i sprawił, że poczułam gorzki smak kaca.

– No, no, nieźle ci wczoraj poszło to znieczulanie się – przyznała moja przyjaciółka ze śmiechem. W odróżnieniu od zwykłych ludzi ona nie wiedziała, czym naprawdę jest syndrom dnia następnego, bo stosowała się do żelaznej zasady klina. – Cieszę się, że żyjesz.

– Jesteś pewna, że żyję? Mam wrażenie, że umarłam i poszłam prosto do piekła, w którym trafiłam do hotelu Normana Batesa.

– Cierp, ciało, jak żeś chciało. A cierpiąc, opowiadaj, bo zaraz ja umrę z ciekawości.

Z ciekawości? A co może być ciekawego w upojeniu...?

– O. Mój. Boże... – Wyprostowałam się tak nagle, że moje wewnętrzne oko zamieniło się w kalejdoskop. – O mój Boże!

Aśka zaczęła rechotać tak głośno, że musiałam wyłączyć tryb głośnomówiący w telefonie. Tego z całą pewnością nie powinna słyszeć moja babcia. Ani matka.

– Dopiero dotarło, co? – zapytała kąśliwie moja przyjaciółka. – Wszystkie mów, ze szczegółami.

– Poczekaj, daj mi chwilę, muszę opanować wewnętrzny wstrząs – sapałam do telefonu, usiłując odtworzyć w pamięci sceny z poprzedniej nocy. – Ja naprawdę to zrobiłam!

– I znakomicie! Należało ci się. Szczegóły, Domi, ale już!

Znakomicie. Cholera jasna, naprawdę było znakomicie!

Poprawiłam poduszkę pod plecami i opadłam na nią z głośnym westchnieniem. Poczułam przyjemne mrowienie w karku, kiedy przypomniałam sobie westchnienia i dźwięki wydawane przeze mnie w nocy. Na wspomnienie dźwięków wydawanych przez niego przeszedł mnie rozkoszny dreszcz.

– Jezus, Jo, to było spektakularne... – wymruczałam w końcu. Pod zamkniętymi powiekami przesuwały się obrazy wyjaśniające ból każdego mięśnia w moim ciele. – Żebyś ty widziała, jak on mnie dotykał. Delikatnie, a równocześnie władczo. I ten blask w jego oczach. Jak gdyby na świecie nie było piękniejszej kobiety.

– Mhm, mhm. Szczegóły! I najlepiej zacznij od początku, bo mam wrażenie, że zupełnie umknął mi moment, w którym pan idealny postanowił cię dotykać. – Usłyszałam, że Aśka też zmienia pozycję, co zresztą robiła zawsze, kiedy szykowała się do długiej rozmowy. Stęknęła głośno i zakłęła jak szewc. – Sorry, bejb, układałam się na macie aku. Może ty też powinnaś?

– Ja to chyba powinnam się matą owinąć i turlać w niej, aż przestaną mnie boleć mięśnie, o których istnieniu nie miałam pojęcia... – O Jezus w jeżynach, jak ja to w ogóle zrobiłam?! – Jo, czy ty wiedziałaś, że ja potrafię założyć sobie nogę za głowę?

– Moja ty Elastyno! – zapiała Aśka. – Widocznie potrzebowałaś znaleźć właściwego trenera. Bo jest właściwy, prawda? – upewniła się.

– Och, kochana, on naprawdę jest idealny... Idealnie zbudowany, idealnie wyposażony, idealnie delikatny i idealnie sprawny. O matko, jaki on jest sprawny! – Poczułam, jak krew uderza mi do głowy na wspomnienie sprawności mojego niespodziewanego kochanka. – I jak całuje...

– A tak, to akurat dało się zauważyć. Wyglądaliście jak dwa glonojady na środku parkietu. Bardzo piękne glonojady, zaznaczam, a ten wyższy wyjątkowo zachłannie sprawdzał krzywizny na ciele drugiego.

– O masz... – Teraz zrobiło mi się naprawdę głupio. – Myślisz, że Anka się pogniwała?

– Coś ty! Cieszyła się jak głupia. Karo była trochę zazdrosna, ale szybko jej przeszło i ostatecznie życzyła ci wielokrotnego orgazmu. Był?

Był. I to jak był.

– Myślę, że sąsiedzi będą mnie już rozpoznawać po głosie – odparłam z szelmowskim uśmiechem i oblizałam spierzchnięte wargi. – Poczekaj tu chwilę, muszę się napić i zaraz wracam.

Optymistycznie założyłam, że najgorsze już za mną, i odrobinę zbyt raptownie zerwałam się z łóżka. To był błąd, duży błąd, który w następstwie kosztował mnie utratę równowagi i odbicie się od ściany. Na szczęście mięśnie bolały mnie już wcześniej, więc zderzenia z pionową płaszczyzną niemal nie poczułam.

Ledwo otworzyłam drzwi do sypialni, a już się zdziwiłam. Z kuchni dolatywały dźwięki rozmowy, w tle słychać było muzykę, a w powietrzu unosił się zapach cynamonu.

– Dzień dobry, śpiąca królowo – przywitała mnie babcia.

Siedziała przy stole, jej srebrne włosy zakrywał foliowy czepek, a twarz mieniła się złotem.

– Dobry. Co tu się wyprawia? – zapytałam chrapliwie, starając się nie patrzeć w kierunku zlewozmywaka, przy którym moja matka wykonywała czynności zupełnie do niej

niepodobne. Czy ona obierała marchewkę? Własnymi rękami?

– Wyspałaś się, córeczko? – rzuciła przez ramię Lucyna.

Zęby zazgrzytały mi tak głośno, że babcia zerknęła na mnie z niepokojem.

– Co ty masz na twarzy, babciu? – zbyłam pytanie i zbliżyłam się do staruszki. – To maseczka?!

– A tak, Lucynka postanowiła zrobić mi dzisiaj domowe SPA – pochwaliła się matka mojej matki. – Maseczka kolagenowa z płatkami złota i nawilżająca kuracja na włosy.

– Odmłodzimy babcie co najmniej o dekadę. – Lucyna pęczniała z dumy.

– To będziecie wyglądać jak siostry – zakpiłam. – Co tak pięknie pachnie?

Babcia uśmiechnęła się szelmowsko i wskazała głową na piekarnik.

– Cynamonowe gwiazdy.

Szalejące w głowie tornado, obolałe ciało i czekająca na mój powrót Aśka nie pozwoliły mi właściwie zareagować. Od lat babcia nie piekła cynamonowych gwiazd, które niegdyś były w naszym domu stałym punktem w menu. Nie miałam jednak czasu ani ochoty, żeby dociekać powodu sentymentalnego powrotu. Najpierw musiałam bowiem poskładać do kupy okrucy poprzedniej nocy.

Chwyliłam butelkę wody i energicznym krokiem wróciłam do siebie. Nim zamknęłam drzwi, usłyszałam tylko, że Lucyna mówi ściszym głosem:

– Już było jasno, ale nigdy nie widziałam jej tak zadowolonej.

– Jestem! – zameldowałam do telefonu. Odpowiedziały mi cisza. – Halo, Aśka! Miałaś na mnie czekać!

– Czekam, czekam, sprawdzałam tylko, czy też potrafię założyć nogę za szyję, i nie mogłam się wyswobodzić.

Przewróciłam oczami, włączyłam tryb głośnomówiący i ułożyłam się na brzuchu. W tej pozycji bolało mnie najmniej, może dlatego, że akurat jej w nocy nie przeciwiczyłam zbyt intensywnie.

– Babcia piecze cynamonowe – powiadomiłam przyjaciółkę tonem zupełnie obojętnym.

– Ooooo. Jak ja dawno nie jadłam cynamonowych twojej babci! Czuję się zaproszona.

– Czuj się, proszę cię uprzejmie. Ja dziś nie wychyłam nosa z jaskini, więc będziesz musiała znieść towarzystwo mojej matki w pojedynkę. Chyba że gdzieś sobie pójdzie, ale nie zanosi się.

– Zacisnę zęby i jakoś znieś. A teraz do rzeczy. Jak to się stało, że on był tam, ty byłaś ze mną, a pół godziny później można było kręcić o was dokument dla National Geographic?

Pytanie było tyleż zasadne, co trudne. Jak to się, na bogów, stało? Co takiego wydarzyło się między drugim a... piątym drinkiem z parasolką?

– Zabij mnie, ale zupełnie tego nie pamiętam. Musiałam być tak oszołomiona widokiem pana idealnego w towarzystwie Michała, że dostałam zaćmienia umysłu i nie rejestrowałam faktów.

– Ja pamiętam, że gapiliście się na siebie jak Superman na Lois Lane i z powrotem, poszłam zamówić kolejne drinki, wróciłam, a ciebie już nie było.

– A gdzie byłaś? – Coś zaczynało świtać, ale jeszcze nie do końca.

– Stałaś na środku parkietu i kręciłaś loki na palcu. Pan idealny opierał się łokciem o filar, drugą rękę trzymał w kieszeni z kciukiem wywalonym na zewnątrz, wobec czego już

wtedy wiedziałam, że to się skończy w łóżku.

– Akurat w łóżku spędziliśmy najmniej czasu – wyznałam nie bez satysfakcji. – Ale dzięki za podpowiedź, teraz już pamiętam. Zaczęło się od literówek.

Cisza absolutna zapanowała po drugiej stronie słuchawki. Zastanawiałam się, która z informacji zaintrygowała ją bardziej: literówki czy łóżko.

– Zemdląłeś z wrażenia na myśl o fikołkach na podłodze? – westchnęłam głęboko. – Nie miałam pojęcia, że w taki sposób można wykorzystać puf.

– Domi? Od jakich, kurła, literówek? – wycedziła. – Czy ty jesteś normalna?

– Dziwię się, że w ogóle o to pytasz – odparłam zupełnie spokojnie. – Wydawało mi się, że już dawno ustaliłyśmy mój brak przynależności do ludzi normalnych. Otóż, moja piękna, rudowłosa przyjaciółko, tak się złożyło, że temat do small talk sam się przypiątał w postaci książki mojej matki.

– Patricia McKnight? – upewniła się Aśka.

– Nie inaczej. Kolorowe drinki z parasolką zrobiły resztę i tym sposobem od zagubionych przecinków przeskoczyliśmy do odnajdywania przyjemności.

– Czekaj, czekaj – zatrzymała mnie. – Zanim płynnie przejdziemy do seksu tantrycznego i kamasutry, wyjaśnij mi, dlaczego te przecinki w ogóle się pojawiły w narracji.

– Musiałam przecież jakoś zagaić, a „strasznie mi się podobasz” nie chciało przejść przez gardło – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Najwyraźniej za mało wypijaś – skwitowała Aśka.

– Bardzo możliwe – zgodziłam się pokornie. – Niemniej jednak podziałało, efekt był, więc można uznać, że na przecinki też się da poderwać faceta.

– Jak na mój gust, to on rwał się do bycia podrywany od pierwszego spojrzenia na twoje nogi w czerwonych szpilkach. Zresztą nie ma się czemu dziwić, też bym się rwała. Cię rwała, no wiesz, o co mi chodzi!

Roześmiałam się szczerze, czego szybko pożałowałam, mięśnie brzucha zapiekły mnie bowiem tak, jakby ktoś wrażał w nie rozpalone żelazo.

– O matko, nie mów już nic śmiesznego, bo nie wyrobię – jęknęłam głucho.

– Wstydziałabyś się, wiesz? – uniosła się Aśka, zaskakując mnie. Nim jednak zdążyłam wyartykułować zaskoczenie, dodała: – Wstydziałabyś się narzekać na słodki ból mięśni przemęczonych po najlepszym seksie w twoim życiu!

– Czterech, tak dokładnie. Czterech najlepszych.

Usłyszałam głośne prychnięcie i wyobraziłam sobie, jak moja przyjaciółka uśmiecha się od ucha do ucha.

– Borze jesienny, tyle czasu czekałam na te słowa – stwierdziła ciepło. – Bałam się, że nigdy nie opuścisz gardy i zostaniesz nieszczęśliwą wdową do końca świata.

Poczułam dreszcz biegnący mi wzdłuż kręgosłupa i podniosłam się. Wspomnienie, które właśnie uderzyło mnie niczym podmuch lodowatego wiatru, stanęło mi przed oczami jak żywe.

– Jo? – wyszeptalam głucho. – Ale ty wiesz, że to się już nigdy nie powtórzy?

– Zwariowałaś? – krzyknęła Aśka i wyraźnie usłyszałam, że ona też raptownie zmieniła pozycję. – A niby dlaczego?

– A dlatego, że powiedziałam mu, że to się nigdy nie powtórzy.



Rozdział 7

– Aśka? Jo?! Jesteś tam? – zapytałam po kilku minutach ciszy, która zaczęła w końcu dzwonić mi w uszach, jakby Quasimodo powrócił do Katedry Marii Panny w Paryżu.

Odpowiedziało mi milczenie. Pogłośniłam telefon i przytknęłam go do ucha. Oddycha. Jest. I z całą pewnością jest wściekła.

– To, że jesteś nienormalna, wydaje się już nieodwołalne. Ale nie przypuszczałam, że zapadłaś na zidiocenie! – ryknęłam mi prosto do narządu słuchu głos, którego nie słyszałam zbyt często. Ostatnio miało to miejsce bodaj w dniu pogrzebu mojego męża, kiedy oświadczyłam, że nie wybieram się, żeby odprowadzić go do grobu.

– No to możesz dopisać to do listy moich wad – odparłam urażona. – Albo, co stanowczo rekomenduję, możesz wysłuchać uzasadnienia.

– A żebyś wiedziała, że wysłucham – warknęła. – Będę u ciebie za pół godziny.

Nie zdążyłam zaprotestować, bo połączenie zostało przerwane. Pięknie. Czeka mnie mentalny łomot.

Miałam pół godziny, w porywach do trzech kwadransów, na ogarnięcie swojego mizernego jestestwa i przygotowanie laudacji, która mogłaby zadowolić Aśkę. Potrzebowałam kąpieli, mocnej kawy i szczęścia, bo bez niego z całą pewnością nie uda mi się przekonać przyjaciółki, że jedna noc, nawet z facetem idealnym, może pozostać wyłącznie przyjemnym wspomnieniem.

Powłócząc nogami, ruszyłam do łazienki. Babcia z Lucyną zawzięcie nad czymś debatowały, ale humory zdawały się im dopisywać.

– Tylko nie siedź za długo, bo za chwilę muszę włosy zmywać – krzyknęła do mnie babcia.

Nawet wymoczyć obolałych mięśni człowiekowi nie pozwolą. Co za los...

Dopiero teraz miałam okazję do obejrzenia się w lustrze. Jeśli w takim stanie opuszczałam mieszkanie pana idealnego, to i bez mojego zastrzeżenia o kolejnej randce nie mogło być mowy. Wyglądałam jak bokser po walce, w dodatku to, co bokserom zwykle rozpłaszcza się na brzuchu, u mnie spłynęło pod oczami. Wypisz wymaluj: najupiórniejsza wersja Jokera. Pięknie.

Kiedy zmywałam makijaż, układałam w głowie wyjaśnienia, które z każdym kolejnym słowem zaczynały brzmieć coraz gorzej. Nim zaczęłam szorować zęby, byłam już niemal pewna, że moja linia obrony ma luki wielkości lejów po bombach, a wchodząc do wanny, potrafiłam wyobrazić sobie wściekłe spojrzenie Aśki. Bez wątpienia mnie zamorduje. Za głupotę. W rzeczy samej – zasłużyłam.

– Dominisiu, kończysz już? – Usłyszałam głos babci przez drzwi.

– Za minutkę! – odrzyknęłam, po czym zanurkowałam pod wodę. Przez chwilę miałam nawet pomysł, żeby się nie wynurzać, jednak instynkt samozachowawczy zadziałał bez zarzutu. – Nawet samobójczyni ze mnie kiepska – mruknęłam do siebie.

Kiedy wychodziłam z łazienki, odniosłam wrażenie, że moja matka dziwnie mi się przygląda, a na jej ustach błąkał się zastanawiający uśmieszek. Być może zapytałabym ją o to, gdyby nie fakt, że rozległ się dzwonek do drzwi.

– Ładny szlafroczek – skomentowała Aśka bez cienia uśmiechu i weszła do środka, zmuszając mnie do zrobienia kroku w tył. Omal nie wylądowałam na paprotce.

Jakim cudem ona po każdej imprezie wyglądała, jakby dopiero się na nią wybierała – to pytanie zadawałam sobie niezmiennie od niemal dwóch dekad. Nie tylko ja zresztą: Anka i inne nasze wspólne znajome podejrzewały Aşkę o konszachty z czarnoksięstwem. Mąż Anki zaś stawiał na domieszkę demonicznej krwi. Tak czy inaczej, mimo zaciętej miny w tej chwili wyglądała lepiej niż ja kiedykolwiek w całym swoim życiu, włączając w to dzień ślubu i profesjonalną sesję zdjęciową.

– Mam nadzieję, że przygotowałaś solidną laudację – rzuciła sucho, kierując się do kuchni. – Oesu, jak ja tęskniłam za tymi ciastkami!

Cynamonowe gwiazdy autorstwa mojej babci rzeczywiście pachniały obłądnie – ślinianki dostawały kociokwiku, a żołądek bulgotał jak obudzony wulkan. Pierwsza blacha studziła się pod oknem, kusząc niczym wąż w rajskim ogrodzie.

– Nie ruszaj, bo ci babcia Eleonora ręce utraci – ostrzegłam przyjaciółkę. – Chcesz kawy?

– Jasne, że chcę. Nie zmieniaj tematu.

Wykonałam wyjątkowo spektakularne przewrócenie oczami, okraszając je głośnym westchnieniem zabarwionym irytacją. Oczywiście Aşkę obeszło to wszystko tyle co zeszłoroczny śnieg, ale przynajmniej mnie przyniosło ulgę.

– Moja laudacja jest bardzo krótka i brzmi: było fajnie, drugi raz to może się nie udać, więc po co kusić los, jeśli lepiej zachować wspaniałe wspomnienia?

Jo patrzyła na mnie spod gęstych rzęs, a jej twarz powoli, bardzo powoli, tężała w wyrazie jawnego zniesmaczenia, żeby nie powiedzieć: obrzydzenia.

– Opowiem ci historię – odezwała się w końcu. – Może coś z niej zrozumiesz, a może nie. To taki test na inteligencję. Pewnego dnia bardzo samotna dziewczyna spotkała bardzo samotnego chłopaka. Od razu przyciągnęło ich do siebie z siłą elektromagnesu, nie mogli się

od siebie oderwać i przestać o sobie myśleć, nawet na chwilę. Postanowili więc, że nie będą przestawać, bo z taką chemią nie da się walczyć. Czas mijał, a ich uczucie zmieniało się, jednak z każdym dniem zyskiwało nową jakość. Magnetyzm wygasł, ale zamienił się w nierozzerwalną więź. I żyli razem aż do śmierci. Amen.

– Jeśli liczyłaś na to, że mnie wzruszysz, to próbuj dalej – odparłam. – Nie zauważyłam w twojej historii, żeby zaczęła się od dzikiego seksu dwojga obcych sobie ludzi, więc mniemam, że paralela jest mocno umowna.

– Do Mensy cię nie przyjmą – zawyrokowała kwaśno Jo. – Nie możesz odrzucać szansy na zbudowanie czegoś wartościowego tylko dlatego, że się boisz.

– Mogę i tak właśnie robię. Strach to najsilniejszy mechanizm obronny w przeciwieństwie do bezsensownego ryzykanctwa.

– Jesteś kretynką – poinformowała mnie przyjaciółka i sięgnęła po ciastko stygnące na blasze. – Kto nie ryzykuje, ten nie je najlepszych ciasteczek cynamonowych w tym układzie słonecznym. – Ugrzyła gwiazdkę pokrytą lukrem i zmrużyła oczy. – O mamuniu, są jeszcze lepsze, niż zapamiętałam.

– A, dziękuję bardzo! – Uśmiechnięta od ucha do ucha Lucyna ukloniła się jej, wchodząc do kuchni.

Coś w jej wyglądzie po raz kolejny zwróciło moją uwagę i postanowiłam zgłębić ten temat. Przyjrzałam się jej z taką uwagą, jakbym badała obiekt naukowy.

– To pani upiekła te doskonałości? – Aśka wytrzeszczyła swoje piękne oczy i mlasnęła z uznaniem. – Bomba, po prostu mistrzostwo świata i okolic!

– Nie wiedziałam, że pieczesz... – bąknęłam zaskoczona, a może urażona? Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że „magic Lucy” potrafi zrobić cokolwiek innego niż szczerzyć się do kamery.

Matka przeniosła na mnie rozbawione spojrzenie, w którym zobaczyłam coś więcej. Życzliwość? Czułość? Wdzięczność? Albo tylko mi się wydawało.

– A czy babcia pozwoliłaby mi nie nauczyć się piec? – odpowiedziała odrobinę zadziornie. – Nie zapominaj, Dominiko, że wychowałam się pod tym samym dachem co ty.

Właściwie trudno było o tym pamiętać, zważywszy na fakt, że odkąd ja wychowuję się pod tym dachem, moja matka bywała tu gościem zaledwie kilka razy. Na palcach jednej ręki można by je zliczyć.

– Domi jakoś nie potrafi – wtrąciła Aśka i sięgnęła po kolejną gwiazdkę.

– Wielkie dzięki, przyjaciółko – warknęłam w jej kierunku, w zamian otrzymując wzruszenie ramion. – I to nieprawda, że nie potrafię, zwyczajnie: nie lubię.

– Czego nie lubisz, Dominisiu? – zapytała babcia, dokładnie w tym momencie zjawiwszy się w progu. Jej głowę zdobił misternie ułożony turban z turkusowego ręcznika. Na chwilę zatrzymała wzrok na moim szlafroku, a następnie przeniosła go na Aśkę, która zastygła z ciastkiem w dłoni. – O, dzień dobry, Joasiu. Jak ci się widzą cynamonki Lucyny?

– Są tak samo dobre jak pani – odpowiedziała dyplomatycznie Aśka. – Prima sort!

– Moim zdaniem są lepsze – odparła babcia. – Lucynka zawsze miała dryg do wypieków, zamierzała nawet zostać cukiernikiem.

A to ciekawostka! Dotychczas żyłam w przekonaniu, że moja matka od kołyski planowała zostanie aktorką w Hollywood. Aśka również wydawała się zaskoczona.

– Serio? Chciała pani piec ciastka zawodowo? – zwróciła się do mojej matki.

– Chciałam, nawet bardzo – odpowiedziała Lucyna z niepasującą do niej nieśmiałością. – Można powiedzieć, że ciasta i desery lubią mnie z wzajemnością.

Uśmiechnęła się wesoło i poklepała po krągłych biodrach. Tania zagrywka pod publiczność.

– Chodźmy do mojego pokoju – rzuciłam do Jo w ramach ignorowania mojej matki. Chwyciłam kubek z kawą i zrobiłam krok w kierunku wyjścia, kiedy osoba, którą usiłowałam ignorować, poprosiła:

– Zostańcie z nami.

Nie zamierzałam. Ruszyłam w stronę przedpokoju, ale Aśka wciąż siedziała na krześle.

– Ja nie idę – poinformowała mnie. Skrzyżowała ręce na piersiach i patrzyła na mnie wyzywająco.

– Zdaje się, że miałyśmy coś omówić? – wycodziłam ze złością. – Nie po to przyjechałaś?

– Człowiek nie krowa i może zmienić zdanie, a moje aktualne zdanie jest takie, że Kocham cynamonowe ciastka.

To powiedziawszy, sięgnęła po kolejną gwiazdkę w ramach egzemplifikacji.

– Proszę bardzo, twój wybór – zachnęłam się, ale zawróciłam do stołu, bo sama też miałam wielką ochotę na zniewalająco pachnące wypieki. – Ale więcej do wiadomego tematu nie życzę sobie wracać. To była jedyna szansa.

– Z wariatem kłócić się nie będę – odparowała, wzruszając ramionami.

Przysłuchująca się nam babcia doskonale wiedziała, że nie należy wkladać kija w mrowisko, i udawała, że zupełnie nie interesuje jej wiadomy temat, do którego nie życzyłam sobie więcej wracać. Niestety moja matka zdawała się wciąż tej mądrości nie posiadać.

– Czy ten temat ma coś wspólnego z twoim powrotem do domu o piątej rano? – zagadnęła, oglądając swoje wypielegnowane paznokcie.

Sporunowałam ją wzrokiem, żałując, że nie potrafię krzesać ognia oczami.

– Zamierzasz mi zrobić wykład, bo wróciłam z imprezy nad ranem? – zakpiłam, z trudem hamując wybuch złości. – Trochę na to za późno, mamusiu.

Nie wiem, jak owa „mamusia” przeszła mi przez gardło, ale wrażenie zrobiłam na wszystkich obecnych, włącznie z sobą. Wydawało się, że na moment czas się zatrzymał.

Żadna z nas nawet nie drgnęła. Twarz Aśki zastygła w wyrazie bezbrzeżnego zdumienia, Lucyna osłupiała do tego stopnia, że można było ją wziąć za woskową figurę, a babcia wpatrywała się we mnie z przerażeniem. Mnie jedynie zaschło w ustach, ale to równie dobrze mógł być kac.

Zaczęłam wyobrażać sobie, że umieramy w tych pozach, bo żadna nie ma zamiaru jako pierwsza zburzyć niemego porozumienia, kiedy usłyszałam dźwięk telefonu. Mojego telefonu!

Rzuciłam się do pokoju z taką radością, jakbym właśnie została uratowana od stryczka i nie zamierzała oglądać się za siebie, na wypadek gdyby los jednak zmienił zdanie. Na wyświetlaczu telefonu pokazał się nieznanany numer, a mnie serce niemal stanęło na myśl, że to może dzwonić pan idealny. Przypomniałam sobie jednak, że przecież nie dałam mu swojego numeru, i odebrałam.

Przyjemny damski głos po drugiej stronie słuchawki przedstawił się i wyłuszczył, z czym dzwoni. Następnie musiał to zrobić jeszcze raz, ponieważ ni w ząb nie zrozumiałam, czego ode mnie chce.

– Przepraszam, ale czy to na pewno nie jest pomyłka? – zapytałam z wahaniem.
– Dodzwoniłam się do pani Dominiki Cynamon, zgadza się? – Zgadzało się. – Proszę więc podesłać mi te dane SMS-em razem z pani adresem mailowym. Wyślę pani wszystkie niezbędne informacje. I do zobaczenia!

– Do zobaczenia – odpowiedziałam mechanicznie, wciąż nic nie rozumiejąc.
Odłożyłam telefon na biurko i wróciłam do kuchni.
– Czy ktoś mnie oświeci, co wykombinowałyście? – rzuciłam do trzech siedzących nieruchomości kobiet.

– Ale z czym? – zdumiała się Aśka.
– No właśnie nie wiem z czym – warknęłam. – Dzwoniła do mnie kobieta z prośbą o dostanie skanu paszportu, żeby mogła zarezerwować dla mnie bilet na Teneryfę.
– Kupiłaś po pijaku wycieczkę? – ucieszyła się moja przyjaciółka.
– Nawet gdybym miała na to pieniądze, to w nocy byłam intensywnie zajęta – przypomniałam jej.

Po minie Aśki poznałam, że jest niewinna. Przeniosłam wzrok na babcię, a ta popatrzyła na moją matkę. Wyglądały jak konspiratorki.

– Co tu jest grane? Co zrobiliście? Babciu?
– Ja niczego nie zrobiłam! – odparła natychmiast. – To był pomysł Lucynki.
Nie chciałam, bardzo nie chciałam spojrzeć na kobietę, której imię widniało w moim akcie urodzenia, wiedziałam jednak, że muszę.

– Mamo? Możesz mi to wytłumaczyć? – Nagle przypomniałam sobie o liście, który odłożyłam na lodówkę. Podniosłam wzrok i stwierdziłam, że pudełko z korespondencją zniknęło. – Jakim cudem znalazłam się na liście uczestników kursu pisarskiego, na który mnie nie stać?

Nie musiała odpowiadać, a mimo to oznajmiła:
– Chciałam coś dla ciebie zrobić, a babcia mówiła, jak bardzo cieszyłaś się z tej szansy. Aśka pisnęła i klasnęła w dłonie.
– Domi! Jedziesz! Jedziesz na ekskluzywny kurs i zostaniesz pisarką! – krzyczała i klaskała jak mała dziewczynka.

Przez moją głowę przeleciała cała masa uczuć: od ekscytacji i wielkiego szczęścia po złość na matkę, która podjęła decyzję za mnie.

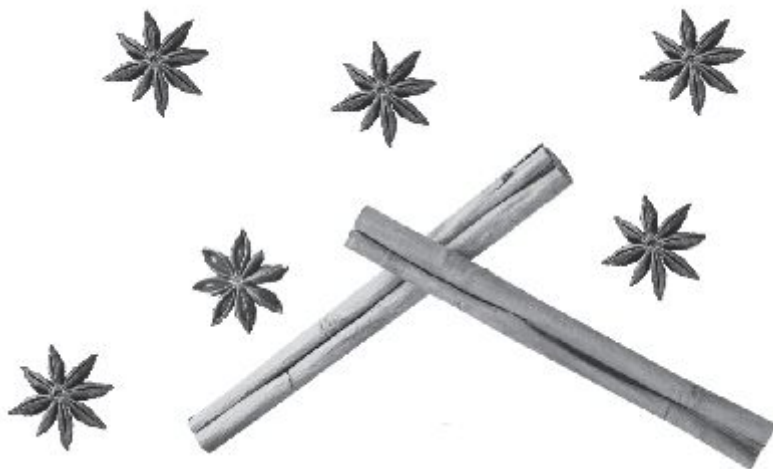
– Na razie nigdzie nie jadę – wycedziłam, mierząc Lucynę wzrokiem. – Nie chcę od ciebie prezentów, a już na pewno nie takich drogich. Zadzwoń tam i odwołam swój udział.
– Nie możesz tego zrobić! – zaoponowała matka.
– To patrz.
– Nie możesz tego zrobić, bo pieniędzy i tak nie odzyskamy – dodała z naciskiem. – Wylatujecie za tydzień.

Wiedziałam, że to prawda, to samo usłyszałam od organizatorki. Oczywiście wcale nie musiałam pojechać, ale dwóch tysięcy euro nikt by nam nie oddał.

– Nie bądź uparta, Dominisiu – zmitygowała mnie babcia. – Marzyłaś o tym od lat i wreszcie masz możliwość.

To również była prawda i dyskusowanie z nią nie miało sensu. Przez lata nie mogłam pozwolić sobie na taki wydatek, a później nie miałam szans na urlop.

– Świetnie, pojedę – oznajmiłam twardo. – Ale zwrócę ci te pieniądze, co do grosza. Tylko znajdę pracę. I odłożę pudełko z korespondencją z powrotem. – Lucyna zerwała się z krzesła, jakby chciała mnie uściskać, ale ostudziła ją moja niechętna mina. O nie, droga pani; uczucia nie da się kupić za dwa tysiące euro. – Możemy już iść do mojego pokoju? – zwróciłam się do Aśki. – Musisz mi pomóc wybrać rzeczy na wyjazd.



Rozdział 8

– Nie taka najgorsza ta twoja mama – oznajmiła Aśka, gdy znalazłyśmy się w moim pokoju.

Siły opuściły mnie zupełnie, gdy tylko zamknęłyśmy drzwi. Rzuciłam się na łóżko ślizgiem rekina i leżałam bez ruchu kilka minut. Aśka w tym czasie gapiła się w sufit i obgryzała skórki wokół paznokci, co czyniła zawsze, gdy nad czymś rozmyślała.

– No bo zobacz: musiała zadać sobie trud skontaktowania się z tym organizatorem, wybuliła dwa koła eurasów, a to jest całkiem dużo grosza, upiekła dla ciebie cynamonowe gwiazdy...

– O nie, nie, nie! – Oderwałam głowę od materaca i spojrzałam na przyjaciółkę karcąco. – Ja jej o żadną z tych rzeczy nie prosiłam, a już na pewno o ciastka! Pewnie sama zeżre większość, widziałaś, jak wygląda.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Jest piękną kobietą. I w odróżnieniu ode mnie ma czym oddychać.

– Z całym szacunkiem, ale ty byś się w niej zmieściła dwa razy. Plus: ona nie zawsze była taką matroną, roztyła się na amerykańskich fast foodach.

– I wciąż wygląda zjawiskowo. Nie bądź zawistną małpą, Domi. Moim zdaniem ona chce się z tobą pojednać, a ty zachowujesz się jak rozkapryszony dzieciak.

No i co z tego?!

– Phi! – odparłam niezwykle elokwentnie. Nawet jak na mnie. – Nie uważasz jednak, że takie nagłe pojawienie się na czyjejs wycieraczce po, bagatela, trzydziestu kilku latach, jest odrobinę podejrzane? Może jej się kasa skończyła?

– I dlatego zapłaciła za twój kurs? – powątpiewała Aśka, pracując nad ogryzieniem lewego kciuka. – Nie, to musi być coś innego. Może rozstała się z facetem?

– O Boże, żeby to raz! W moim wieku ona już była czterokrotną rozwódką, a od tamtej pory miała jeszcze pierdyliard facetów. Ostatni był jakiś Ran, lekarz.

– No więc może chciała być panią doktorową, a on ją puścił w trąbę?

Podniosłam się z wysiłkiem, okraszając to niezwykle wymagające ćwiczenie gimnastyczne upiornym stękanieniem, i usiadłam po turecku. Aśka także przyjęła pozycję kwiatu lotosu, jednak jej udało się nie stękać.

– Nie wydaje mi się, żeby jakikolwiek facet, z wyjątkiem mojego biologicznego ojca, kiedykolwiek zostawił Lucynę. Ona jest dla nich jak lep na muchy, zawsze była, i pewnie dlatego ja pojawiałam się na tym świecie.

Aśka podparła brodę na dłoniach i patrzyła na mnie wielkimi oczami.

– Hmm... – zaczęła i przygryzła dolną wargę. – Skoro więc nigdy wcześniej się to nie zdarzyło, a teraz nagle pojawiła się w ojczyźnie po tym, jak przeżyła tyle lat w Juesej, to może coś jest na rzeczy? Może doktor Ran kopnął ją w tyłek, a nieprzyzwyczajona do takich sytuacji Lucyna postanowiła lizać rany otoczona rodzinną miłością?

Spojrzałam na nią bykiem i parsknęłam.

– No, faktycznie... Czy ona ci wyglądała na liżącą rany, porzuconą kobietę? – zakpiłam.

– Nie, masz rację. Ale może tylko świetnie się maskuje, w końcu jest aktorką.

Ta uwaga rzeczywiście miała sens. Moja matka wyjechała do Stanów, otrzymawszy propozycję zagrania głównej roli w filmie. W tamtym czasie, a właściwie w każdym czasie, było to niemal jak wygranie losu na loterii. Oczywiście dziewięćdziesiąt dziewięć procent matek nie zostawiłoby dziecka, ale Lucyna nie należała do większości.

– Jak chcesz, to ją zapytaj – poradziłam przyjaciółce.

– Zwariowałaś?

– Wręcz przeciwnie: Lucyna powie prawdę. Dla niej nie ma tematów tabu i możesz z nią pogadać o wszystkim.

– Wiesz co, teraz to mnie zaintrygowałaś. Idę.

To powiedziawszy, odwróciła się i jednym susem znalazła się poza łóżkiem. Jak to zrobiła – nie wiem. Być może z nas dwóch to nie ja jestem Elastyną.

– Idziesz ze mną? – zapytała, otwierając drzwi.

Pokręciłam głową, po czym opadłam na plecy i ułożyłam się wygodnie.

– Nie, dzięki, poleżę sobie trochę.

Ostatnim, co zapamiętałam, zanim zapadłam w sen, był szcęk klamki, kiedy Aśka zamknęła drzwi z drugiej strony.

bbOcknęłam się, gdy za oknem było już ciemno.

Potrzebowałam kilkunastu sekund, żeby przypomnieć sobie, jaki mamy dzień i co działo się wcześniej. Aśki w pokoju nie było, doszłam więc do wniosku, że wróciła do siebie, nie chcąc mnie budzić.

Sięgnęłam po telefon i z zaskoczeniem odnotowałam, że było już po dwudziestej pierwszej. Nikt do mnie nie dzwonił, nie dostałam też żadnej wiadomości. Nawet Facebook nie pokazywał powiadomień.

Podniosłam się z łóżka i rozruszałam szyję, która trochę zdrętwiała od niewygodnej pozycji. Przyniesiona wcześniej butelka wody była pusta, musiałam więc udać się po kolejną do kuchni.

Gdy nacisnęłam klamkę, usłyszałam przytłumiony śmiech.

– Jo? – zdziwiłam się, ale zaraz przypomniałam sobie o obecności Lucyny.

Wysłałam do przedpokoju i stanęłam jak wryta: drzwi do salonu były zamknięte. Zamknięte! Jak żyje, to pomieszczenie nigdy – przenigdy! – nie było zamykane. A w dodatku zza drzwi dochodziły dźwięki radosnej rozmowy, okraszonych wybuchami śmiechu. Ki czort?!

Poddając się ciekawości, ruszyłam w kierunku salonu, a im bliżej się znajdowałam, tym silniejsze było przekonanie, że rozpoznaję głos Aśki. Nacisnęłam klamkę i zamarłam, resztką silnej woli hamując szczękę przed zadzwonieniem o podłogę.

Na środku salonu, w którego centrum znajdował się gruby, puszysty dywan w kształcie koła, siedziały Aśka, babcia i moja matka. Obok nich stały trzy kieliszki na wino, a na podłodze jedna otwarta butelka i jedna czekająca na swoją kolej. Pomiędzy kobietami leżała rozłożona plansza do gry, a dookoła nich wałały się tekturowe karty.

– O! – Tylko tyle udało mi się wydusić. Głównie z powodu zaschniętego gardła, ale także z szoku.

– Domi! Obudziłaś się! – krzyknęła Aśka, machając do mnie.

– No właśnie nie jestem pewna...

– Wyspałaś się, Dominisiu? – Babcia wcale nie wyglądała na zainteresowaną moim stanem, nawet na mnie nie spojrzała.

Za to ja przyjrzałam się jej błyszczącym, pięknie ułożonym włosom. No, no, rzeczywiście postarała się ta Lucyna!

– Eee, no, chyba... – bąknęłam w odpowiedzi. – Czy ominęła mnie jakaś okazja?

Lucyna chwyciła nieotwartą butelkę wina i pomachała nią nad głową.

– Jeszcze się załapiesz! – rzuciła z uśmiechem. Jej twarz była zarumieniona, a oczy błyszcząły. Wyglądała... Wyglądała na szczęśliwą. – Przynieś sobie kieliszek i siadaj z nami.

Skinęłam głową, nie znajdując w sobie siły, żeby zaoponować, a zaspany umysł wciąż nie był gotowy do zadawania wnikliwych pytań. Powinam przecież dowiedzieć się, co to za okazja i dlaczego nic mi na jej temat nie wiadomo, ale na to było stanowczo za wcześnie.

Poczłapałam do kuchni, wypiąłam wodę prosto z butelki, za co babcia z całą pewnością by mnie zrugła, wyjęłam z szafki kieliszek do wina i ruszyłam do salonu.

– Nie ma już ciastek? – zapytałam ze smętną miną. Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi...

– Ależ są, zostawiłam specjalnie dla ciebie! – Matka podniosła się z zaskakującą sprawnością i podeszła do kredensu. Stała na nim kryształowa salaterka przykryta lnianą ściereczką. Lucyna odkryła materiał i podsunęła mi miskę pod nos. – Częstuj się, kochanie, nie ma świętowania bez cynamonowych gwiazd.

Obłądny zapach cynamonu, migdałów i wanilii podrażnił mój nos i mało brakowało, a rzuciłabym się na miskę jak wygłodniały pies. Inna sprawa, że przecież nic nie jadłam przez cały dzień. Chwyciłam dwie gwiazdki i podziękowałam matce uprzejmym uśmiechem.

– Ale chyba mogę się dowiedzieć, co świętuję? – rzuciłam w eter, bo nie miałam pojęcia, kogo powinnam pytać.

– A bo to mało mamy okazji? – Aśka puściła do mnie oczko. – Rzuciłaś Mordor, dostałaś się na elitarny kurs pisarski, uwiodłaś i rzuciłaś faceta, Lucyna wychodzi za mąż, Anka jest w ciąży...

– Co?! – krzyknęłam, prawie się dławiąc ugryzionym kawałkiem ciastka. – Wróć!

– Do początku?

– Do wychodzenia za mąż – warknęłam, patrząc na matkę. – To prawda?

Myślałam, że się zawstydzi, stropi, spuści wzrok. Ale nie moja matka!

Posłała mi uśmiech tak szeroki, że pewnie zmieściłby plaster arbuza, i oznajmiła:

– Na to wygląda, przyjęłam oświadczyzny.

– Dlaczego? – drążyłam ze złością.

– Bo go kocham? – odparła zdumiona, że ktokolwiek może zadawać tak idiotyczne pytania.

– Jak wielu przed nim – zakpiłam.

– Dominisiu! – Babcia, odmłodzona o kilka lat, spojrzała na mnie z gniewem. – Co w ciebie wstąpiło, dziecko?

– Daj spokój, mamó – odezwała się cicho Lucyna. – Ona ma rację, a ja powinnam powiedzieć jej to już dawno...

– To twoje życie, Lucynko! – Babcia była naprawdę wściekła. Nigdy jeszcze nie widziałam jej tak wzburzonej ani nie słyszałam tego tonu w jej głosie. – Po pierwsze: zapominasz, młoda damo, że to jest twoja matka. Po drugie: tak jak żadna z nas nie wtrąca się w twoje prywatne życie, tak ty nie masz prawa wtrącać się do prywatnego życia swojej matki.

Z wrażenia mnie zatkało. Przez chwilę nawet nie mogłam oddychać, tak zaskoczyła mnie reakcja babci. Zerknęłam na Aśkę, ale ona nie wyglądała na wstrząśniętą. Ba! Wyglądała tak, jakby niczego nie słyszała. Siedziała spokojnie, wpatrując się w planszę do gry, i planowała kolejne ruchy.

Co tu się, do jasnej Anielki, odjaniepawiało?!

– Prze... Przepraszam? – wydukałam, odzyskawszy oddech. – Ja... no, po prostu jestem zaskoczona. Myślałam, że po tamtym, no wiecie, tym szaleńcu, dałaś sobie spokój ze ślubami.

A jednak Aśka słuchała, bo wzmianka o szaleńcu wyraźnie ją zaintrygowała.

– Opowiesz, Lucy? – poprosiła słodkim głosem.

Lucy? Lucy?! Jak długo ja spałam?!

– Mogę opowiedzieć, ale to nie będzie miła historia. – Lucyna zerknęła na mnie, jakby obawiała się, że znów wybuchnę, ale trwałam w stuporze, oszołomiona i niezdolna do odstawiania kolejnych szopek. – Domi, podaj kieliszek.

Wyciągnęłam rękę z naczyniem, do którego Lucyna z wprawą nalała burgundowy płyn i uklękłam obok Aśki. Czułam się trochę jak w filmie Almodóvara, ale jeszcze nie potrafiłam zdecydować, czy to dobrze, czy źle.

– Szaleniec, o którym wspomniała Dominika – zaczęła matka – miał na imię Andrew i na początku wcale nie wydawał się szaleńcem. Był uroczy, szarmancki, troskliwy. Starał się o mnie, jakbym była co najmniej Heleną Trojańską. No, ale wtedy faktycznie wyglądałam jak Helena Trojańska.

Lucyna upiła łyk wina, uśmiechając się do swoich myśli.

Rzeczywiście była wtedy pięknością. Nawet wśród tych wszystkich amerykańskich laleczek wyróżniała się urodą. Jasne, długie włosy w kolorze lnu, wielkie błękitnoszare oczy, ślicznie skrojone usta, pociągła twarz z wyraźnymi kośćmi policzkowymi. Kobiety płaciły fortunę, żeby wyglądać jak ona, ona tymczasem fortunę zawdzięczała owej urodzie. Nie była kościotrupem, więc nie zrobiła kariery w modelingu, ale zapraszano ją do największych

produkcji filmowych i serialowych. Wystąpiła nawet u boku Davida Hasselhoffa w *Słonecznym patrolu*, a to było coś. Przynajmniej w Stanach.

– Andrew był wdowcem, jego żona zginęła w wypadku samochodowym, osierociła dwoje prawie dorosłych dzieci – kontynuowała matka. – Od początku wiedziałam, że ja nie nadaję się na macochę, i mówiłam mu, że na żaden poważny związek nie może liczyć. I chyba właśnie to tak na niego podziało, że się zaparł. Tak długo łąził, urabiał, czarował, aż w końcu się zgodziłam. – Lucyna zerknęła na mnie, jakby szukała potwierdzenia, ale ja pozostałam obojętna. – Do ślubu wszystko było w porządku, ani razu nie pomyślałam, że coś może być z nim nie tak. A po ślubie zaczęło się z grubej rury.

– Bił cię? – W oczach Aśki błysnęło współczucie.

– A gdzie tam! Oddałabym mu – zaśmiała się Lucyna. – On stosował o wiele gorsze metody. Szpiegował mnie, kontrolował, odcinał od znajomych. Robił awantury, gdy tylko jakiś facet na mnie spojrzał. A ja byłam aktorką!

– Zazdrosny mąż to większe nieszczęście niż niewierny – rzuciła Aśka i nagle zdając sobie sprawę z popełnionej gafy, zakryła usta dłonią. – O rany, wybac, Domi!

– Wielkie dzięki... – burknęłam, zaciskając zęby.

– O czymś nie wiem? – Lucyna uniosła brwi i przemknęła wzrokiem po twarzach kolejno Aśki, mojej i babci. Ta ostatnia wyglądała na wyraźnie skonsternowaną. – Mamo?

– Wybac, Lucynko, ale to była decyzja Dominiki – odparła babcia i łypnęła na mnie. – Tylko ona może ci o tym powiedzieć, jeśli zechce.

Lucyna znów spojrzała na mnie, a ja dostrzegłam na jej twarzy troskę.

– Córciu, o czym one mówią? – zapytała miękko.

– O niczym. Nie chcę o tym rozmawiać – ucięłam ostro. – Zdaje się, że mówiłaś o sobie.

– Rozumiem – odparła. – Nie ma sprawy. Rozwiodłam się z Andrew tak szybko, jak się dało, i od tamtej pory rzeczywiście już nie myślałam o ślubie. To była dobra nauczka.

– A jednak zamierzasz wyjść za...? – podchwyciła Aśka.

– Za Sławka – potwierdziła Lucyna, a kąciki jej ust uniosły się bezwiednie.

Zanim do mnie dotarło, co powiedziała moja matka, Aśka zdążyła już wyciągnąć właściwy wniosek:

– Czyli że Polak? To dlatego przyjechałaś do Polski? Zostajesz tu?

Poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy, a żołądek wywija hołubce. Zostaje? Jak to: zostaje?! Tak już na zawsze?

Byłam tak oszołomiona, że nie potrafiłam nawet tego okazać. Widziałam rozanielony uśmiech na twarzy babci, słyszałam radosne piski Aśki, a mnie samą opanowało odrętwienie. Jakbym wyszła w środku.

– Myślę, że już pora na powrót do domu – oceniła Lucyna. – I bardzo bym chciała, żebyś została moją świadkową, Domi.

Co ona powiedziała? Świadkową?

– Chyba mam plany na ten dzień – odparłam zimno.

– Ale przecież jeszcze nie powiedziałam kiedy.

– Nieważne, na pewno mam plany.

Podniosłam się z podłogi, odstawiłam kieliszek z niedopitym winem na stół i wyszłam z salonu. W uszach mi szumiało, jednak nie miało to żadnego związku z alkoholem, w którym

ledwo zamoczyłam usta.

Po chwili drzwi do mojego pokoju się uchyliły i Aśka wsadziła rudą głowę przez szparę.

– Trzymasz się? – zapytała niemal szeptem. – Muszę lecieć, późno już.

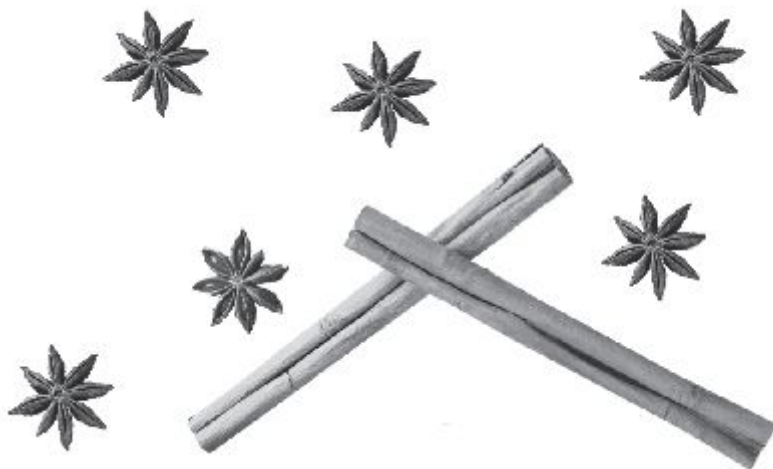
– Uhm.

– Nie złość się, mała, twojej mamie naprawdę na tobie zależy.

– Przestań! – fuknęłam na nią. – Idź już. Dobranoc.

Posłała mi buziaka, a za moment usłyszałam zamykające się za nią drzwi wejściowe.

Adrenalina wciąż buzowała w moich żyłach, a ja musiałam znaleźć dla niej ujście. Ubrałam się w pogniecioną koszulkę i dżinsy, chwyciłam bluzę, klucze i również opuściłam mieszkanie, nie zapominając o dostatecznie głośnym trzaśnięciu drzwiami. Miałam szczerą nadzieję, że matka podskoczyła ze strachu.



Rozdział 9

Kiedy wyszłam z bramy, poczułam przyjemny chłód wieczoru. Zatrzymałam się na chwilę i wzięłam kilka głębokich wdechów. Powietrze pachniało wilgotnymi liśćmi i stygnącym asfaltem. W ciągu dnia musiało być bardzo gorąco.

Aśka nie zdążyła jeszcze odjechać, jej groszkowozielony opel odcinał się na tle ciemnych samochodów. Stała oparta tyłem o drzwi pasażera i paliła papierosa, ze wzrokiem utkwionym w ekranie smartfona.

- Zamierzasz prowadzić po pijaku? – rzuciłam, zbliżając się do niej.
- O, Domi, a ty dokąd? – odpowiedziała, zaskoczona. – Właśnie zamawiałam ubera.
- Muszę przewietrzyć głowę.
- Chcesz towarzystwa?

Wzruszyłam ramionami i schowałam dłonie w kieszeniach spodni. Tak naprawdę nie miałam pojęcia, co ze sobą zrobić, chciałam jedynie oddalić się od Lucyny. Dlaczego ona mi to robiła? I dlaczego zupełnie nie rozumiała, że mi to robi?

- No to chodźmy – zdecydowała Aśka, gasząc niedopałek o chodnik. Wyjęła z torebki chusteczkę higieniczną, zawinęła w nią papierosa i ruszyła przed siebie, a ja podreptałam za nią.

Przez chwilę słyśmy w milczeniu, ale żadnej z nas to nie przeszkadzało. Znałyśmy się tak długo, że potrafiłyśmy godzinami milczeć w swoim towarzystwie i przychodziło nam to zupełnie naturalnie. W końcu jednak Aśka przerwała ciszę, jakby zdążyła już przemyśleć temat, który zamierzała poddać pod dyskusję.

- Wiesz, trochę ci zazdroszczę – oznajmiła z zaskakującą miękkością w głosie.
- Czegoś konkretnego czy znowu odezwały się jakieś twoje kompleksy?

– Tego, że możesz poznać swoją matkę.

Zatrzymałam się gwałtownie i spojrzałam na przyjaciółkę z niedowierzaniem.

– Serio? Serio zazdrościsz mi TAKIEJ matki?

– Wiesz, ja nie mam żadnej i tyle samo szans, żeby mieć jakąkolwiek.

Złapałam ją za ramię i zatrzymałam, zmuszając, żeby na mnie popatrzyła.

– Tak szczerze mówiąc, to wołałabym być na twoim miejscu i tęsknić za kobietą, która NIE MOGŁA mnie wychować niż przez całe życie zastanawiać się, dlaczego NIE CHCIAŁA – wycedziłam z jadem. – Dobrze wiesz, że dla mnie Lucyna nie jest matką, nigdy nią nie była, nigdy nie będzie. Traktuję ją jak... – urwałam, bo zabrakło mi słowa.

– Znajomą? – podpowiedziała Aśka, odrobinę wstrząśnięta moim oświadczeniem.

– Jak surogatkę. Wyhodowała mnie, urodziła i część pieśni. Czy tak zachowuje się matka?

– Niektóre po urodzeniu wciskają noworodki do komina...

– No i sama widzisz: stawiasz ją na równi z bezwzględnyimi dzieciobójczyniami.

– Nie! – zaoponowała moja przyjaciółka, a jej wielkie oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej. – Nie to miałam na myśli, to był sarkazm. Pomyśl o tym, że ona przez te wszystkie lata jednak utrzymywała z tobą kontakt; to nie tak, że zupełnie cię porzuciła. Rozmawiałaś z nią co tydzień.

– Jak z daleką ciotką – odparłam kąśliwie. – I jeśli o mnie chodzi, tak powinno zostać. To jest dla mnie niemal obca baba!

– Ale jej perypetie uczuciowe znasz. Wiesz, co się u niej dzieło, a ona wie, co dzieje się u ciebie.

– Gównu wie! – zirytowałam się. – Wie to, co powie jej babcia, ja jedynie wymieniałam z nią uprzejmości. I także dzięki babci wiem o tych wszystkich lowelasach. To Eleonora z nią rozmawia, nie ja. Ja tylko słuchałam babci, z grzeczności.

Aśka położyła dłonie na moich ramionach i spojrzała mi głęboko w oczy.

– Musisz z nią porozmawiać – oznajmiła poważnie. – Nie wszystko jest czarno-białe i nie zawsze jest takie, jak nam się wydaje.

O, doprawdy?

– A co to ma niby znaczyć? – Strząsnęłam jej rękę. – Za dużo wypijaś?

– Głupia jesteś, nawet jednego kieliszka nie wychyliłam, zaledwie łyżek. Może dwa.

– Czyli moja matka cię urobiła? Potrafi być przekonująca, lata praktyki w show-businessie.

– A nie przyszło ci do głowy, durna kozo, że być może ona miała ważny powód, żeby zostawić cię z babcią? I że gdybyś jej nie obchodziła, nie kontaktowałyby się z tobą?

Poczułam wzbierającą we mnie złość. Czy ona nie powinna stać po mojej stronie? I co to za, do cholery jasnej, nagła abolicja dla wyrodných matek?

– Gdybym ją obchodziła, zabrałaby mnie ze sobą.

– Przecież wiesz, że nie mogła! – zaprotestowała Aśka i wyrzuciła ręce w górę. – Miała siedemnaście lat i pojechała do Hollywood. Co miała tam zrobić z niemowlakiem?

– Przestałam być niemowlakiem.

– Jezu, ale ty jesteś uparta! Porozmawiaj z nią, ja nie jestem niczym adwokatem. I może zapytaj o dziadka.

Rzuciła mi ostatnie, pełne złości, spojrzenie i ruszyła przed siebie. Chciałam pójść za nią, ale dostrzegłam uniesioną rękę oznaczającą, że nie życzy sobie mojego towarzystwa. Odwróciłam się na pięcie i poczłapałam do domu.

bbPo moim wyjściu impreza musiała szybko się zakończyć, bo w domu panowały egipskie ciemności, a drzwi do obu sypialni były zamknięte.

Zdjęłam buty, poszłam umyć zęby i położyłam się do łóżka, jednak sen nie nadchodził. Nie dość, że wyspałam się w ciągu dnia, to nie mogłam wyciszyć umysłu. Nie pomagało liczenie baranów, bo każdy, jak na złość, miał twarz pana idealnego. Kiedy spróbowałam wyobrazić sobie owce, te szczyrzyły do mnie białe zęby Lucyny.

Sięgnęłam po czytnik i uruchomiłam aplikację z e-bookami. Kliknęłam cokolwiek, nie zastanawiając się nad wyborem książki. Padło na kryminał, ale zupełnie mnie nie zaciekał. Kiedy chciałam wybrać inny tytuł z katalogu, przypomniałam sobie o książce leżącej na ławie w salonie.

Cichutko, niczym leśna driada, powędrowałam do salonu, oświetlając sobie drogę latarką z telefonu, chwyciłam książkę i na palcach wróciłam do pokoju. Bez trudu znalazłam miejsce, w którym skończyłam lekturę, i zagłębiłam się w opowieści o tragicznym romansie.

Strony przewracały się niemal same, a im bliżej znajdowałam się zakończenia, tym bardziej nie chciałam, żeby ów koniec nastąpił. Po niespełna dwóch godzinach poczułam dojmujący smutek.

– Ale jak to? – szepnęłam, patrząc na okładkę, która należała do tych najgorszych. – Pani Patricio, jak tak można? To już nie ma prawdziwej miłości? Gdzie happy end?

Z ciekawości zajrzałam na stronę redakcyjną, chcąc sprawdzić, czy oficyna wydała inne tytuły autorki, i ze zdziwieniem odkryłam, że nie wymieniono nazwiska tłumacza. Postanowiłam wystosować do wydawnictwa oburzony apel, ale nie chciało mi się wstawać po komputer.

– Jutro – obiecałam sobie. – Jutro się tym zajmę, bo teraz język w myślach mi się plącze.

Zasnąłam natychmiast, gdy tylko zgasiałą lampkę. Śniłam o romantycznych spacerach, ukradkowych spojrzeniach, tajnych schadzkach. Obudziłam się z przerażeniem, gdy pan idealny składał mi propozycję małżeństwa.

– To tylko sen. Tylko sen! – uspokoiliłam samą siebie, czując, jak serce dudni mi w piersi.

Sięgnęłam po telefon i ze zdumieniem zauważyłam powiadomienie o czterech nieodebranych połączeniach od nieznanego numeru. Mógł dzwonić każdy, ale mój szalony umysł podpowiadał, że to był on. Dlaczego w ogóle przychodziło mi to do głowy?!

Po trzech sygnałach w słuchawce rozległ się damski głos:

– Pani Dominika? Już się bałam, że pani nie oddzwoni. Wyśle mi pani prędiutko ten skan?

Skan? Ach, no przecież!

– Tak, tak, bardzo przepraszam, zupełnie o tym zapomniałam. Już wysyłam.

Wygramoliłam się z łóżka, odszukałam paszport i zeskanowałam go za pomocą aplikacji. Bardzo przydatna funkcja.

Organizatorka kursu pisarskiego, poza tym, że dzwoniła do mnie cztery razy, wysłała mi także maila z prośbą o dokument, odesłałam jej więc plik w odpowiedzi i poszłam się umyć.

W mieszkaniu nikogo nie było, co stwierdziłam po wsadzeniu głowy do sypialni zajmowanej przez Lucynę. O dziwo, panował w niej niemal idealny porządek. W kuchni także zastałam perfekcyjny błysk, co zdumiało mnie jeszcze bardziej.

Dopiero gdy napiłam się kawy, dotarło do mnie, że powinnam przygotować się do wyjazdu. Od lat nie myślałam o pisaniu, choć wciąż uważałam je za swoje wielkie marzenie i upychałam w komputerze kolejne rozpoczęte historie. Każda z nich mogła być przyszłym kandydatem do Nike albo – to by dopiero był sztos! – do Bookera czy Pulitzera. Babcia zawsze mi powtarzała, że marzyć należy z rozmachem, bo wszystkie mniejsze cele da się zrealizować bez trudu. Wystarczy zacząć.

Zdjęłam z lodówki pudełko z korespondencją i rozłożyłam na stole list od organizatorów kursu. Poza uprzejmą informacją dotyczącą zakwalifikowania mnie do udziału w warsztatach znajdował się również program i wytyczne wraz z listą materiałów, jakie każdy uczestnik powinien przygotować.

– Konspekt, opowiadanie, nowela, dwa dialogi – czytałam na głos. – Fragment dłuższej formy prozatorskiej, minimum arkusz wydawniczy.

Arkusz wydawniczy. Czterdzieści tysięcy znaków ze spacjami. Dwadzieścia stron tekstu. Solidne opowiadanie albo spory rozdział powieści.

– „Wszystkie materiały muszą zostać umieszczone przez uczestników na dysku sieciowym, do którego adres znajdzie państwo w e-mailu, maksymalnie na trzy dni przed wylotem”.

Jasna cholera! I skąd ja teraz to wytrzasnę?

Napiszesz, kretynko – odpowiedział głos Aśki w mojej głowie.

– Pewnie, co to dla mnie – pocieszyłam się. – Kilka godzin i z głowy.

Jasne – szepnął złośliwy rudzielec. – Obyś zdążyła w terminie.

bbLucyna z babcią wróciły wczesnym popołudniem, ale żadna z nich nie paliła się do rozmowy ze mną, z wzajemnością zresztą, więc mogłam zająć się karierą pisarską. Szło mi doskonale. Napisałam trzy zdania. W pół dnia.

Oczywiście, wyszłam z wprawy, czy też właściwie nie miałam dotychczas okazji jej nabrać, a studia polonistyczne skończyłam dekadę temu. Niemniej jednak talent nie powinien zniknąć, przynajmniej taką miałam nadzieję. W przeciwnym razie dwa tysiące euro mogłyby nie wystarczyć...

Coraz bardziej zrezygnowana, chwyciłam za telefon, żeby zadzwonić do Aśki, jednak w ostatniej chwili przypomniałam sobie, że jesteśmy pogniewane. Przynajmniej ja jestem, a co tam sobie myśli ta zdrajczyni, to już nie mój problem. Adwokatka diabła się znalazła. I o co jej chodziło z moim dziadkiem?

Od siedzenia przy biurku zdrętwiały mi pośladki, zdecydowałam więc, że należy mi się przerwa. Z ulgą wstałam z krzesła, rozciągnęłam się, wykonałam kilka skłonów i ruszyłam do kuchni.

– Głodna? – zapytała babcia, podnosząc głowę znad krzyżówki.

– Nie mam apetytu... Gdzie byłaś?

Staruszka zawahała się na moment, albo wyobraźnia mnie ponosiła.

– Musiałam załatwić kilka spraw, a później byliśmy z Lucynką dopiąć sprawy urzędowe.

– Chyba jej tu nie zameldowałeś? – wystraszyłam się nie na żarty.

Babcia zerknęła na mnie jak na kosmitkę.

– Przecież nigdy jej nie wymeldowałam – odparła.

Otworzyłam usta, żeby się wyzłośliwić, ale babcia mnie ubiegła:

– Dominisiu, twoja mama zapłaciła za to mieszkanie, to my jesteśmy tu lokatorkami.

Co takiego?

Przepraszam, co takiego?

– Żartujesz? Przecież to mieszkanie kupiłaś z dziadkiem, zanim mama się urodziła.

Przez twarz babci przemknął cień. Tym razem byłam pewna, że to nie złudzenie.

Wzmianka o dziadku wyraźnie sprawiła jej ból.

– Wcale nie żartuję, twoja mama jest właścicielką mieszkania, a ty odziedziczysz je po niej.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie wiedziałam, co myśleć. Wszystkie moje przekonania zaczynały sypać się w posadach.

– O, cześć – usłyszałam za sobą.

Odwróciłam się i zobaczyłam Lucynę, wystrojoną, jakby szła na jedną z tych wielkich medialnych gal, stanowiących rewię mody i targowisko próżności.

– Jak wyglądam? – To pytanie zostało skierowane do mnie.

– Jakby luksusowo – palnęłam bez zastanowienia, krzywiąc się lekko.

Jedwabna suknia w kolorze wrzosu opływała pełne kształty mojej matki, ale – ku mojemu zdumieniu – wcale ich nie uwydatniała. Bujny biust skrywało misterne drapowanie, a lejący się dół zawijał się na podłódze.

– Jeszcze butów nie znalazłam – wyjaśniła tonem usprawiedliwienia. – Może chciałybyś pójść ze mną jutro na zakupy?

– Nie mogę – odrzekłam natychmiast, ale widząc, jak opadają jej kąciki ust, dodałam szybko: – Muszę przygotować materiały na kurs, a idzie mi jak po grudzie.

– No jasne, rozumiem. – Uśmiech powrócił na jej usta i wyglądała teraz wprost olśniewająco. – Ale jak uważasz: może być?

– Wyglądasz pięknie, Lucynko – powiedziała babcia i musiała faktycznie tak myśleć, bo uśmiechała się szeroko, a w jej oczach widziałam dumę.

– Pasuje do ciebie ten kolor – bąknęłam.

– Pomyślałam, że ty również mogłabyś mieć sukienkę w tym kolorze.

O Boże, a ona dalej swoje...

– Mówiłam już, że mam plany.

Kątem oka zauważyłam, że babcia wykonuje jakiś ruch głową, a Lucyna skinęła do niej na znak porozumienia. Nie skomentowała mojej odpowiedzi, uśmiechnęła się tylko i wyszła z kuchni.

– Czyli jedziesz? – odezwała się do mnie babcia, jakby poprzednia scena w ogóle nie miała miejsca. – To dobrze, to dobry czas, a o marzenia trzeba walczyć.

– Wiesz, że oddam jej te pieniądze? Nie zamierzam być niczym dłużnikiem.

– Oczywiście, kochanie, oczywiście. Ale żelazo trzeba kuć, póki gorące, bo kolejnej szansy od życia możemy nie dostać.

Ileż razy słyszałam to zdanie. I jak wiele razy o nim zapomniałam! Gdyby tylko człowiek wiedział, że się przewróci, zanim postawi nogę na lodzie...

Smoknęłam babcie w policzek i wróciłam do swojego pokoju. Dopiero teraz zauważyłam książkę, leżącą obok poduszki. Podniosłam ją i zaniósłam z powrotem do salonu.

– I jak? – zagadnęła mnie Lucyna, już przebrana w bawełniany dres.

– Pytasz o książkę? Bardzo dobrze napisana, choć naiwna.

– I smutna. Nie wydaje ci się?

– Rzeczywiście, to dość nietypowe dla tego gatunku. Powinno być „i żyli długo i szczęśliwie, amen”.

Lucyna roześmiała się perliście, a jej niebieskie oczy zaśniły.

– Oj, dziecko, gdyby tylko każda historia kończyła się happy endem. Widocznie autorka ma więcej gorzkich doświadczeń.

Wspomnienie o autorce przypomniało mi, że miałam wysłać wiadomość do wydawnictwa. Mruknęłam coś do matki i wróciłam do laptopa. Znalazłam stronę wydawnictwa, skopiowałam adres do sekretarza redakcji i wysmarowałam oburzoną wiadomość o okradaniu tłumacza z jego praw autorskich. Po dziesięciu minutach patrzyłam na tekst liczący niemal dziesięć tysięcy znaków ze spacjami.

– No tak, paszkwile wciąż potrafię pisać... Cholerna korporacja.

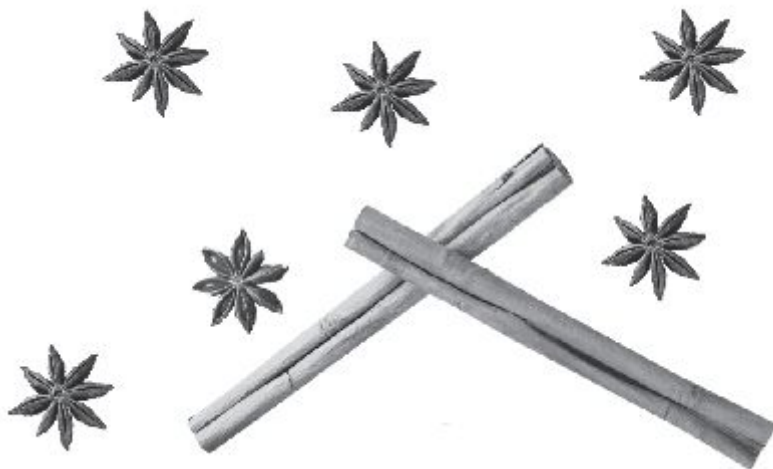
Wysłałam wiadomość i zamierzałam wyłączyć komputer, kiedy w kliencie poczty pojawiła się odpowiedź.

– „Szanowna pani, dziękujemy za czujność i spieszmy poinformować, że Patricia McKnight to pseudonim literacki. Książka powstała w języku polskim”.

A to dopiero. Słyszałam o autorach piszących pod pseudonimem, bo uważali, że ich nazwisko nie nadaje się do drukowania na okładkach, albo byli emerytowanymi szpiegami. Zdarzały się autorki publikujące pod wymyślnymi amerykańsko brzmiącymi nazwiskami, pisarze kryminałów nadawali sobie skandynawskie pseudonimy, ale zwykle, prędzej czy później, wiadomo było, kto jest kim. Tymczasem Patricia McKnight nie pokazywała twarzy, nie udzielała wywiadów własnym głosem, w ogóle niewiele było o niej wiadomo, poza tym, że jej książki sprzedawały się w setkach tysięcy egzemplarzy i okupowały listy bestsellerów. W dodatku, co przyznawałam z niechęcią, ona naprawdę potrafi pisać. W odróżnieniu od tych innych. Dlaczego więc chowa się za pseudonimem?

Poszperałam w sieci, przejrzałam setki artykułów, w których pojawiało się to nazwisko, ale nic mi z tego nie przyszło, a jedynie zaskoczył mnie wieczór. Do wyjazdu pozostawało coraz mniej czasu, a ja wciąż miałam trzy zdania. Trzy zdania.

Z tą, niezbyt optymistyczną, myślą zasnęłam, licząc na to, że następny dzień przyniesie wenę.



Rozdział 10

Wena to wyjątkowo kapryśna istota. Nie odwiedziła mnie ani nazajutrz, ani następnego dnia, ani też w żadnym kolejnym. Za to prokrastynacja... O, tak. Tej było w nadmiarze. Sama nie wiem, kiedy minął tydzień, a do wyjazdu na kurs zostały zaledwie godziny. Identyczność następujących po sobie dni sprawiła, że złały mi się w jedno, jedynie narastająca panika zdawała się coraz mocniej chwytać mnie za gardło.

Lucyna znikwała rano, wracała późnym wieczorem, po czym siadała z babcią w salonie i rozprawiły o czymś godzinami. Przygotowania do ślubu zdominowały rozmowy, ale ja nie miałam ochoty w tym uczestniczyć, a poza tym musiałam użerać się ze swoimi sprawami.

Z Aśką, rzecz jasna, pogodziłyśmy się naturalnie: jak gdyby nic się między nami nie wydarzyło. Żadna z nas nie lubiła chować urazy, a na fochy i unoszenie się honorem byłyśmy stanowczo za stare.

Ostatniego wieczora, kiedy *reisefieber* paraliżowało już nawet moje mieszki włosowe, przyjechała do mnie, twierdząc, że musimy się nagadać przed rozłąką, ale ja wiedziałam, że przede wszystkim chciała skontrolować moją walizkę.

– Tylko jedna sukienka? – zdumiała się, przeglądając równo poskładane ubrania.

– A tobie się wydaje, że ja tam jadę się lansować? Przecież to będzie grupa bab, zamknięta ze sobą w jakimś domiszczu. Dla kogo mam się stroić?

– Dla siebie, baranku! Stroimy się zawsze dla siebie i dla swojego dobrego samopoczucia.

Podeszła do szafy i zaczęła przeglądać wiszące na wieszakach sukienki. Mruczała, mlaskała, cmokała i kręciła głową. W końcu wybrała cztery kolorowe kiecki i dołożyła je do walizki.

– Teraz bielizna – zażądała. – Koronki, satyny i seksowna piżamka.

– Zdurniałaś? – No serio, zdurniała?

– Posłuchaj mnie, bejbo. – Usiadła obok mnie na łóżku i chwyciła za dłoń. – Ty sobie musisz uświadomić, że jeśli zamierzasz zostać pisarką, to od samego początku będziesz mieć jakiś imiędz. Oczywiście mozesz wyglądać jak ciotka Wiesia zza miedzy, ale nie sądzę, żeby ci to pomogło. Każdy pisarz to dzisiaj marka. Każdy jest „jakiś”. Oczywiście „jakiś” jest pojęciem bardzo pojemnym i mieszczą się w nim zarówno tatuaże od stóp do głów, broda leśnego dziadka, jak i garnitury szyte na miarę czy sukienki z zasłon. Ważne jest jednak, żeby twoi potencjalni czytelnicy rozpoznawali ciebie jako spójny produkt.

Słowo „produkt” wzbudziło we mnie wewnętrzny opór, który uzewnętrznił się w postaci grymasu niezadowolenia.

– Nie krzyw się, tylko posłuchaj mądrzejszej. W tym świecie pisarz jest takim samym produktem jak jego książka. Po domu, z dala od oczu i uszu ludu, mozesz się szwendać w barchanowych gaciach. Ale publicznie ani mi się waź!

– Przerażasz mnie... – jęknęłam głucho. Naprawdę mnie przeraziła!

– I bardzo dobrze – odparła z powagą. – Lepiej, żebyś od początku poznała wszystkie strony tego biznesu, i wiedziała, z czym będziesz się mierzyć. A konkurencja na rynku jest najmniejszym problemem, o wiele bardziej powinnaś bać się tego, że wystawiasz się na nieustającą krytykę. Każdy będzie mógł o tobie mówić, każdy będzie mógł cię oglądać. A im milej będzie się ciebie oglądać, tym szybciej pojawisz się w mediach o dużych zasięgach.

– O Boże, to ja już nie chcę być pisarką, jeśli to oznacza, że muszę świecić bielizną.

– Co? – Aśka wyglądała, jakbym palnęła coś wybitnie głupiego. – A, nie! Bielizna i piżama to na wypadek, gdybyś poznała jakiegoś fajnego faceta.

Trochę mi ulżyło, ale wciąż czułam dysonans. Jak to: pisarz jest produktem? Pisarz jest twórcą, artystą, w najgorszym razie rzemieślnikiem słowa.

– A te wszystkie piszące pod pseudonimami? One raczej nie martwią się o swój imiędz – odparowałam, przypominawszy sobie niedawne rozmyślenia.

– One mogą sobie na to pozwolić, bo ich wydawcy wykładają wielką kasę na promocję. W nikomu nieznanego debiutanta nikt nie zainwestuje kroci, chyba że miałabyś milion obserwatorów na TikToku.

– Oesu, TikToka też muszę mieć?! – Myśl o założeniu konta w tym zupełnie niezrozumiałym dla mnie medium przyprawiła mnie o palpacje serca.

Aśka spojrzała na mnie badawczo i po namyśle odpowiedziała:

– Nie, nie musisz. Wymyślimy coś innego. A teraz podmieniaj bieliznę, wrzuć parę sandałów na szpilce i kładź się spać.

Oszołomiona usłyszonymi radami, nawet nie zaprotestowałam przeciw szpilkom. Wykonałam zadanie, zapiełam walizkę i dopiero wtedy poczułam prawdziwy stres.

– A co, jeśli się zbłąźnię? Wiesz, tam będą prawdziwe pisarki, autorki bestsellerów. – Panika zaczynała przejmować kontrolę nad moim głosem. Niewiele brakowało, a wybuchłabym płaczem.

– Skoro zakwalifikowali cię do programu pisarskiego, to znaczy, że masz talent – argumentowała rozsądnie Aśka. – I tym lepiej, że będziesz mogła porozmawiać z ludźmi, którzy znają ten rynek jak zły szeląg. Przekonasz się, że wszędzie małuje się trawę na zielono, nie tylko w Mordorze.

Nie była to zbyt pocieszająca wizja, a z całą pewnością nie miała wiele wspólnego z moim romantycznym wyobrażeniem na temat zawodu pisarki.

Aśka pożegnała mnie silnym uściskiem, ale zanim pojechała do domu, zajrzała jeszcze do salonu i zamieniła kilka zdań z babcią i Lucyną. Wydawało mi się, że usłyszałam: „powinnyście to zrobić, zanim wyjedzie”, ale równie dobrze mogło chodzić o coś innego. Śledzie na przykład. Albo to było „rozwieźcie”, co pasowałyby do mojej matki jak ulał.

Mimo rosnącej w gardle guli zasnąłam bez problemu, a dzwoniący w opół do czwartej budzik wyrwał mnie z głębokiego snu, pozostawiając przez chwilę w oszołomieniu. Kiedy zdałam sobie sprawę, że muszę wstawać, odechciało mi się gdziekolwiek wyjeżdżać, miałam ochotę zawinąć się w kołdrę i spać, aż mi się znudzi. Usłyszałam skrzypienie otwieranych drzwi i ciche kroki. Krocząca osoba minęła mój pokój, po czym otworzyła drzwi do łazienki i zamknęła się w niej.

Zgarnęłam z krzesła przygotowane dzień wcześniej ubranie i ziewając niczym krokodyl, czekałam, aż osoba opuści łazienkę, żebym mogła się umyć i ubrać. Po kilku minutach drzwi skrzypnęły.

– A, to ty! – Stałam jak wryta w przedpokoju na widok mojej matki odzianej w dres i w pełnym makijażu. – Zamierzasz uprawiać jogging w środku nocy?

– Ciii, nie budźmy babci – szepnęła. – Zawożę cię na lotnisko, Sławek pożyczył mi samochód.

– Chyba na dworzec? – zdumiałam się.

– Na lotnisko, do Warszawy – odparła bez mrugnienia okiem. – Kawy?

Odruchowo skinęłam tylko głową i bez słowa weszłam do łazienki. Z lustra spoglądała na mnie oszołomiona dziewczyna.

– Do Warszawy? – zapytałam swojego odbicia. – Czy ja się przesłyszałam?

Gdy wyszłam z łazienki, poczułam zapach kawy i już samo to dodało mi energii. Nie ma nic piękniejszego niż powietrze pachnące espresso.

– Czy ty powiedziałaś, że zamierzasz zawieźć mnie do Warszawy? – zapytałam, siadając na krześle.

– Dokładnie to powiedziałam i dokładnie taki mam zamiar – odrzekła Lucyna.

Upiłam łyk czarnej ambrozji i przez chwilę napawałam się jej smakiem w milczeniu. Tykanie zegara działało na mnie kojąco.

– Ale wiesz, że z Wrocławia mam pendolino? – upewniłam się.

Matka skinęła głową, nie odrywając wzroku od mojej twarzy.

– Bardzo jesteś do mnie podobna, wiesz?

Hę? Ona tak serio?

– Sławek też tak uważa – dodała ni stąd, ni zowąd.

– A on niby skąd może o tym wiedzieć? – zaatakowałam ją. Zdałam sobie sprawę, że nawet nie wiem, jak wygląda narzeczony mojej matki. Nie, żebym jakoś szczególnie zabiegała o jego poznanie, ale wciąż: on wiedział, jak wyglądam i jaka jestem, a mnie pozostawała jedynie wyobraźnia.

– Miałam nadzieję, że poznacie się przed twoim wyjazdem, ale okoliczności nie pozwoliły – kontynuowała Lucyna, jakby nie zauważyła mojego nieuprzejmego pytania. – Gdy wrócisz, idziemy na obiad. We czwórkę.

I co jeszcze? Poza tym: dlaczego we czwórkę? Rozumiem, że Lucyna z babcią utrzymują dość bliskie relacje, ale chyba nie musi jej ciągać na randki?

Stres zaczął mnie dopadać i byłam zbyt niewyspana, żeby jakkolwiek zareagować na ten niezgodniony ze mną plan. Miałam nadzieję, że podczas mojej nieobecności babcia wyperswaduje jej ten pomysł. A jeśli nie, to i tak nie zamierzałam nigdzie iść. Na razie cieszyłam się wizją dziesięciu dni na rajskiej wyspie i ekscytowałam na myśl, że właśnie robię pierwszy krok do zrealizowania największego marzenia. Fakt, że bez pomocy Lucyny nigdy by do tego nie doszło, taktownie zignorowałam.

Ruszyłyśmy przed świtem, a ja po raz pierwszy w życiu miałam okazję być wieziona przez własną matkę. Okazała się świetnym kierowcą – opanowanym i uważnym – oraz jeszcze lepszym towarzyszem podróży: w ogóle się nie odzywała. Słuchałyśmy radia i jechałyśmy przed siebie. Dopiero za Sieradzem, gdzie musiałyśmy zatrzymać się po paliwo, Lucyna nieśmiało rozpoczęła rozmowę. Właściwie powinnam powiedzieć: monolog, bo po zadaniu dwóch czy trzech pytań na początku zamilkłam, słuchając jej opowieści, a z każdym padającym słowem czułam coraz szybsze bicie serca.

Pod koniec podróży z trudem hamowałam łzy: złości, żalu, bezsilności, pretensji. Czułam się jak Truman, który nagle zorientował się, że jego świat nie istnieje, a każdy jego element jest kłamstwem i ułudą. Wreszcie też zrozumiałam, dlaczego Aśka mówiła o dziadku.

– Przykro mi, Domi – powiedziała Lucyna, kiedy wyjmowałyśmy walizkę z bagażnika na parking lotniska Chopina. – Wiem, że tego nie rozumiesz, ale nie mogłam powiedzieć ci prawdy wcześniej. Nie, dopóki żył dziadek. Obiecałam to babci.

Przełknęłam łzy spływające mi wzdłuż gardła i rozszlochałam się jeszcze bardziej. Piękna Lucyna stała naprzeciwko mnie z rękami bezwładnie wiszącymi wzdłuż tułowia, a jej niebieskoszare oczy wyrażały równocześnie smutek, radość, miłość i skrucę.

Podniosłam na nią wzrok i z trudem zapanowałam nad chęcią przytulenia się. Nie, za wcześniej, nie teraz.

Chwyciłam walizkę i ruszyłam w stronę terminala, wycierając łzy rękawem bluzy. Czułam na sobie wzrok Lucyny, a gdy się odwróciłam, ona wciąż stała w tym samym miejscu.

– Masz rację, nie rozumiem! – krzyknęłam spod wejścia. – Ale może kiedyś zrozumiem.

Automatyczne drzwi rozsunęły się, wypuszczając ze środka ciepłe powietrze. Skierowałam się prosto do miejsca zbiórki, wyznaczonego przez organizatorów w mailu. Oprócz mnie nikogo jeszcze nie było, ale przyjechałyśmy z dużym zapasem czasu. Usiadłam na krzeselku, wyprostowałam nogi i zamknęłam oczy. Od nadmiaru adrenaliny wcale nie czułam się śpiąca, ale kręcący się po terminalu podróżni działali mi na nerwy. Jak w Mordorze – hałas, ruch, okrzyki. Siedziałam tak przez chwilę, myśląc o niczym, kiedy usłyszałam dźwięk zbliżającej się walizki. Ucichł kilka kroków ode mnie, a ja otworzyłam jedno oko, żeby zerknąć, kto zacz. Ledwo je uchyliłam, a serce zaczęło mi walić tak mocno, że omal nie zemdlałam. Na siedząco chyba też się da?

Zerwałam się jak oparzona, chwyciłam walizkę i odbiegłam z nią za pierwszy znajdujący się po drodze filar. Zatrzymałam się za nim, złapałam kolan i oddychałam tak, jak uczą w szkołach rodzenia. Wdech, wydech, wdech, wydech, wdech, wydech. Nie pomagało. Sięgnęłam do kieszeni bluzy, z której wyjęłam telefon, i wybrałam numer Aśki.

– Jezusmarianieuwierzyszcotusiedzieje – wysapałam jednym tchem.

– Eeee? Gdzie ty jesteś?

– Na lotnisku, w Warszawie – syczałam.

– No i fajnie. Jak droga?

– Rewelacja, lepiej być nie mogło, pięć godzin z matką, historia życia, dziadek był idiotą i takie tam.

– O! Czyli wreszcie porozmawialiście? – Aśka była wyraźnie ucieszona.

– Można tak powiedzieć. Ale ja nie o tym! – wycedziłam.

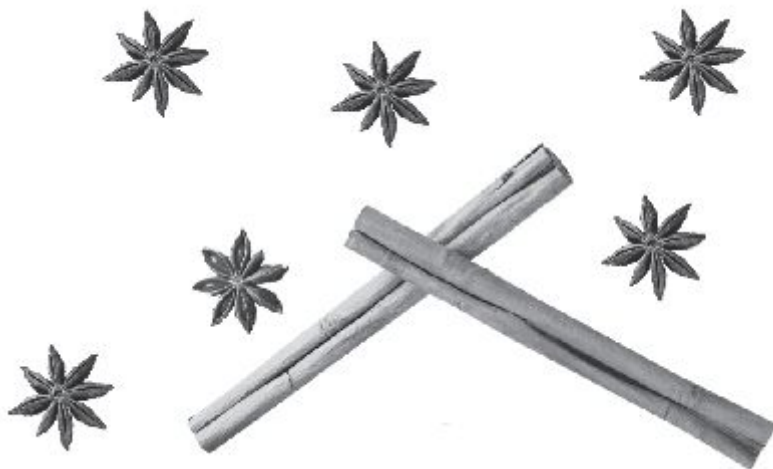
– Co ty tak dziwnie gadasz do mnie?

– Bo on tu jest!

– Kto?

Nie zdążyłam odpowiedzieć na pytanie, bo nogi się pode mną ugięły, gdy męski głos zza mojego ramienia oznajmił:

– Tak myślałem, że to ty.



Rozdział 11

– Oddzwonię – mruknięłam do telefonu głosem, którego nawet ja nie poznawałam, i rozłączyłam się. – O, hej! – rzuciłam do stojącego naprzeciwko mnie pana idealnego, usiłując unieść kąciki ust. Tymczasem mięśnie nie słuchały mnie wcale.

– No hej – odparł on, uśmiechnięty od ucha do ucha i tryskający tą swoją urodą, od której stawy w kolanach zamieniały się w galaretkę, a wnętrzości płażały w rytmie samby. – Nie widziałaś mnie?

Nie, skądże...

– A, wiesz, tak mi się właśnie wydawało, że to możesz być ty, ale musiałam pilnie oddzwonić do przyjaciółki przed wylotem – kłamałam bez mrugnienia okiem i nawet głos mi nie drgnął.

– Rozumiem, spoko. Ty też lecisz na kurs pisarski?

Właśnie się nad tym zastanawiam. Jeszcze jest szansa, żeby wrócić...

– Yyy, no, chyba. – Ja pierdziele, królowa elokwencji. – Znaczy: tak, ale nie miałam pojęcia, że mogę cię tu spotkać.

– I wzajemnie. Niezły numer.

Czy on się skrzywił? Czy uznał to za parszywe szczęście? Był wkurzony? Skrępowany? Myślał o epickim seksie?

– Istotnie, niezły... – bąknęłam, nie mogąc odpędzić sprzed oczu obrazu jego brzucha.

O matko, znów zrobiło mi się gorąco. – Kto by pomyślał?

– Ja właściwie miałem nadzieję, że to ty... – wyznał i błysnął zębami.

– Nie rozumiem... – Naprawdę nie rozumiałam.

– No, wiesz, mam taki odruch, że zawsze sprawdzam adresy mailowe, jeśli wiadomość kierowana jest do wielu odbiorców – tłumaczył z zacięciem. – I miałem nadzieję, że Dominika Cynamon to będziesz ty.

O masz ci los. Skąd on wiedział, jak się nazywam?

– Zapamiętałeś? – wydusiłam z siebie, zawstydzona do granic możliwości. Boże, którykolwiek boże, jeśli istnieje, przywróć mi pamięć. Choćby w zakresie jego imienia! Coś na „pe”. Paweł? Piotrek?

– Patryk Zawisza – przedstawił się i wyciągnął do mnie rękę. – Nie zapamiętałem, tylko zapytałem Michała. Mam nadzieję, że się nie gniewasz?

Gdyby ziemia rozstała się teraz przede mną, skoczyłabym w otchłań na główkę, bez zastanowienia. Tego mi jeszcze brakowało.

– Miło mi poznać... ponownie – rzuciłam i oblałam się pąsem. – Nie, wcale się nie gniewam, jestem tylko zaskoczona. Nie wiedziałam, że znasz Michała. Ani że Michał zna ciebie. Nigdy o tobie nie wspominał.

Na jego miejscu ja też bym nie wspomniała, że mam kolegę wyglądającego jak Keanu Reeves, tyle że z prostymi, zgrabnymi jak cholera nogami.

– Zdaje się, że go poznałem po tym, jak ty... jak wy... – urwał, jakby poczuł dyskomfort.

– Aha, jak z nim zerwałam – dokończyłam. – To wiele wyjaśnia. – Poza tym, dlaczego pytał go o moje nazwisko.

– Słuchaj... – Jego głos nagle zmienił barwę. Usłyszałam w nim miękkość, głębię, skrzępowanie. – Wiem, że nie chciałaś, żebym się z tobą kontaktował, ale czułem się z tym fatalnie. Ja tak nie potrafię, ja nigdy...

Reszty nie usłyszałam, bo zagłuszył go tubalny głos wzmocniony megafonem.

„Uwaga, uwaga! Pisarze i pisarki, proszę o zebranie się w celu omówienia spraw organizacyjnych!”

Poczułam ulgę. Samba w trzewiach zamieniła się w skoczny oberka, a im dłużej Patryk patrzył na mnie tymi swoimi roziskrzonymi oczami, tym bardziej marzyłam o rozstępującej się ziemi.

Posłałam mu błądy uśmiech i ruszyłam ku miejscu zbiórki, taszcząc walizę, która nagle zaczęła się ruszać z zadziwiającą lekkością. Spojrzałam w bok i zobaczyłam, że zgrabniejsza wersja Keanu trzyma jej rączkę. Uniosłam brwi.

– Nie mów, że jesteś tak sfeminizowana – rzucił wesoło. – Pozwól, że ci pomogę.

Pozwoliłam, głównie z powodu zaskoczenia.

Wokół masywnego faceta trzymającego w prawej ręce megafon stało kilka kobiet, w bardzo różnym wieku, i każda z nich na widok zbliżającego się Patryka wyprostowała się odruchowo.

– Oho, chyba będziesz miał branie – bąknęłam półgębkiem.

Skwitował to uśmiechem.

– Jest i nasz rodzynek – oznajmił gość od megafonu.

Wyróżniał się nie tylko posturą, ale również strojem – miał na sobie oczojebny T-shirt w odcieniu fuksji, udekorowany kolorowymi piórkami. Na jego szyi wisiała smycz, do której przypięty był identyfikator z napisem „ORGANIZATOR”. Nazwiska nie było, ale zdjęcie się zgadzało.

Rodzynek, czyli Patryk, uśmiechnął się niepewnie. Widocznie on także dostrzegł zachłanne spojrzenia wianuszka kobiet. Po chwili owe spojrzenia nabrały ostrości i wbiły się we mnie jak szpilki.

– Czekamy jeszcze na kilka osób, ale mogę już rozdać wam identyfikatory – powiedział organizator i odłożył megafon na krzeselko. Na drugim stał karton wypełniony po brzegi ulotkami, mapkami, identyfikatorami i czymś, co wyglądało na bawełniane koszulki. Wszystko w barwach idealnie pasujących do wywołania wściekłości mózgu. Neonowe róże, zielenie i fiole. W sam raz dla Patryka.

– Jezus, chyba nie będziemy musieli tego nosić? – jęknął Zawisza, a ja zachichotałam.

– Prawdziwy mężczyzna różu się nie boi – odparłam scenicznym szeptem. – Magenta to zdecydowanie twój odcień.

Patryk spojrział na mnie z wyrzutem, ale zaraz roześmiał się wesoło. Podeszliśmy do faceta, który odhaczał na liście kolejne nazwiska.

– Dominika Cynamon – przedstawiłam się, gdy jego wzrok padł na mnie.

– A, to pani! – Grubasek uśmiechnął się i odszukał plastikową plakietkę. Widniało na niej zdjęcie z mojego paszportu, a podpis głosił „KURSANTKA”.

– Dziękuję. Co to znaczy „to pani”? – zapytałam, dopinając do identyfikatora smycz w kolorze kanarka.

– Pani materiały tak się spodobały naszej głównej redaktorce, że kazała wszystkim przeczytać – wyjaśnił z szerokim uśmiechem. – I miała rację, świetne teksty!

O ile wcześniej pozostałe uczestniczki wbijały we mnie wzrokiem szpilki, o tyle teraz ciskały wata szklaną i uklepywały ją, żeby równo się rozłożyła.

– Gratulacje – szepnęła Patryk, dotykając niemal mojego karku.

Przeszedł mnie dreszcz, nie tylko od tej bliskości: jego głos brzmiał dokładnie tak jak tamtej nocy, kiedy mówił mi, jaka jestem piękna. Wtedy mu nie uwierzyłam, teraz nie wiedziałam, co myśleć.

Odwróciłam się i spojrzałam w jego czarne oczy. Nie było w nich kpiny ani złośliwości. On mówił szczerze! Poczułam, jak zalewa mnie fala wstydu, a policzki zaczynają palić.

– Dzięki – mruknęłam, usiłując pokryć zażenowanie. – Świetny start, jeszcze się nie zaczęło, a już mam łatkę kujona i ulubienicy nauczycieli...

Roześmiał się miękko i odgarnął czarny pukiel z czoła. O wszyscy bogowie, jaki on był piękny!

– Panie Zawisza, to dla pana – odezwał się grubasek od megafonu. – O, jest już szefowa imprezy, zaraz dostaniecie wszystkie dokumenty i możecie się ustawiać do odprawy bagażowej.

Za plecami faceta dostrzegłam zbliżającą się do nas różnym krokiem elegancką kobietę, na oko w okolicach czterdziestki. Była wysoka, niemal o głowę wyższa ode mnie, ciemne włosy dyndały w wysoko upiętej kitce, a zgrabną figurę opływała długa, bawełniana sukienka w kolorze krwistej czerwieni. Zanim znalazła się obok nas, poczułam zapach kwiatowo-owocowych perfum.

– Dzień dobry państwu – odezwała się głębokim, niskim głosem. – Nazywam się Grażyna Ambrozik i jest mi bardzo miło powitać państwa w roli gospodyni kursu dla przyszłych zdobywców największych nagród literackich.

Babskie towarzystwo zaszumiało, achowało i echowało, aż miło. Brakowało jedynie, żeby rzuciły się do stóp Grażyny i jęły te spoty całować.

Grażyna Ambrozik była bowiem gwiazdą. Nie celebrytką, influencerką znaną z tego, że jest sławna. To była prawdziwa artystka. Scenarzystka, pisarka, autorka znakomitych felietonów, dziennikarka i redaktorka naczelna jednego z największych polskich wydawnictw. I właśnie z tego ostatniego powodu bardzo chciałam poznać ją osobiście. Kilka lat wcześniej ja oraz dziesiątki mnie podobnych pisarzy in spe, wysłuchaliśmy prelekcji jednej z najpoczytniejszych autorek kryminałów, która na pytanie: „jak zrobić w tym fachu karierę?” odpowiedziała: „współpracować z najlepszymi”. Świetna rada, pani Kasiu, biorę ją sobie do serca i za jakiś czas spotkamy się na tym samym festiwalu w roli równorzędnych gwiazd.

W odróżnieniu od kobiet Patryk wydawał się zupełnie niezainteresowany osobą, a raczej: osobistością, szefowej wycieczki. Wyglądał na znużonego i odebrawszy identyfikator, wycofał się z tłumu.

Mnie także nie bawiło bałwochwalcze wzdychanie, cofnęłam się za nim i staliśmy z boku, patrząc na to przedziwne zbiegowisko.

– Muszę cię pilnować – powiedziałam, zaskakując tym także siebie. Brwi Patryka uniosły się lekko, a usta drgnęły w uśmiechu. – Przed tymi babonami, które z całą pewnością nie dadzą ci spokoju. Nie masz obrączki.

– Ty też nie.

– I co, uważasz, że powinnam obawiać się zalotów pana megafonisty?

– W programie kursu są warsztaty prowadzone przez mężczyzn.

– Phi! Kto by się na mnie położył, kiedy ma pod ręką taką... – Rozejrzałam się po twarzach uczestniczek. – O, taką słowiańską nimfę jak ta w zielonych spodenkach.

– To są spodenki? – Patryk wybałuszył oczy. – Myślałem, że to dół od bikini...

Spojrzałam na niego z naganą, ale zauważyłam, że się śmieje.

– No, sam widzisz, gdzie mi tam do Barbie w gatkach. Jestem bezpieczna.

Tłumek zgęstniał nagle, kolejne uczestniczki odbierały identyfikatory, a ja przyglądałam się z uwagą temu kolorowemu towarzystwu. Grube, chude, brzydkie, śliczne, blond, rude, czarne, farbowane i naturalne. Każda inna, każda z tym samym marzeniem: zobaczyć swoje nazwisko na okładce książki.

– Proszę o uwagę! – rozległ się głos Grażyny Ambrozik i zapadła cisza. Względna, rzecz jasna, w końcu byliśmy na bardzo ruchliwym terminalu lotniczym. – Będę państwa wywoływać po nazwisku, proszę odbierać karty pokładowe i udawać się prosto do stanowiska check-in. Odprawa zostanie uruchomiona za osiem minut.

Podczas gdy kolejne osoby odbierały dokument i udawały się do stanowiska, ja podejmowałam najważniejszą w życiu decyzję: zwiać czy nie zwiać. Jeśli zwieję, szansa się nie powtórzy. Jeśli zostanę, będę przez dziesięć dni obcować z facetem, którego widok doprowadzał mnie do wrzenia. Zwiać czy nie zwiać, spieprzyć czy zos...?

– Dominika Cynamon!

Nogi same ruszyły się z miejsca, głowa nie miała z tym nic wspólnego, bo złośliwie dokonywała przeglądu wspomnień z najwspanialszej nocy w ostatnim dziesięcioleciu mojego życia. Cztery, cztery, CZTERY – ta liczba tłukła mi się po czaszce, a ja nie mogłam – ni cholery! – jej odgonić. I prawdę mówiąc, wcale nie chciałam, jak wiele osób może pochwalić się takim wynikiem?

– To ja – oznajmiłam trzymającej w ręce karty pokładowe Ambrozik. Była naprawdę wysoka, metr siedemdziesiąt pięć najmarniej.

– Bardzo mi miło, pani Dominiko. I gratuluję. – Uśmiechnęła się do mnie promiennie, przez co poczułam się jak mała dziewczynka. A przecież byłam od niej młodsza zaledwie o kilka lat.

Bez słowa odebrałam papier i skierowałam się do stanowiska. W połowie drogi obejrzałam się za siebie. Patryk patrzył na mnie z zagadkowym uśmiechem błąkającym mu się po ustach.

Kolejne kilkadziesiąt minut nie należało do najprzyjemniejszych. Lotnisko niespodziewanie zamieniło się w ul, ludzie tłoczyli się, przepychali, a gigantyczne kolejki do odprawy przypominały te, które widziałam na zdjęciach z lat osiemdziesiątych. W dodatku dziewczyna obsługująca nasz lot musiała zbyt wiele razy obejrzeć *Zwierzogród* i bez wątplenia upodobała sobie leniwca. Miałam ochotę wyciągnąć ją zza kontuaru i sama zająć się sprawnym odprawianiem ludzi.

Przy odprawie celnej oczywiście wszystkie bramki piszczały, zostałam więc przeszukana, obejrzana i sprawdzona na okoliczność materiałów wybuchowych na dłoniach. Szkoda, że psów nie przyprowadzili...

Gdy wreszcie znalazłam się w sali odlotów, miałam już serdecznie dość tej przygody, a pobudka w środku nocy zaczynała mocno mi doskwierać.

– Dominika? – usłyszałam za sobą.

Odwrociłam się, zaskoczona, po czym moje zaskoczenie jeszcze wzrosło.

– Sabina? Hej! – Rzuciłam się na szyję siostry Michała, której nie widziałam od wielu lat. – Co tu robisz? Odwiedzałaś rodziców?

– Tak, posiedziałam z nimi trochę, a teraz lecę na urlop. A ty?

– A ja... – zawahałam się. Z jakiegoś powodu nie miałam ochoty nikogo informować o tym, że biorę udział w kursie pisarskim. Być może była to forma asekuracji, na wypadek gdyby jednak mi się nie powiodło. – Ja też na urlop. Na Teneryfę.

– Tu jesteś! – Patryk wjechał właśnie ruchomymi schodami i machał do mnie, szczerząc się dziko. – Już się bałam, że buszujesz po butikach.

Sabina otaksowała go uważnym spojrzeniem, w którym błysnął podziw.

– No, no, nieźle – wyszeptęła. – Bawcie się dobrze, ciasteczka.

CMoknęła mnie w policzek i ruszyła w stronę sklepów.

– Kawa? – zaproponował Patryk, jakby czytał w moich myślach.

– O bogowie, tak! Byle mocna i dużo!

Pan idealny chwycił moją rękę, nie pytając mnie nawet o zdanie, i pewnym krokiem skierował się ku kawiarni. Dreptałam za nim jak przykładna żona, zastanawiając się, czy przypadkiem nie trafiłam do jakiejś równoległej rzeczywistości. Zaskakujące mnie niemal z każdą chwilą zdarzenia nie dały mi szansy na przemyślenie tego, co właściwie się działo. Rozmowa z matką, spotkanie pana idealnego, zadziwiające wyróżnienie moich prac. Czyżbym zapadła w śpiączkę w prawdziwym życiu i właśnie śniła najpiękniejszy ze snów?

Uszczypnęłam się w przedramię i skrzywiłam z bólu. Bzdura, to jeszcze o niczym nie świadczy. Coś tu jest wybitnie nie w porządku, mój Matrix wygląda inaczej...

Zamówiliśmy dwie czarne kawy, ja dodatkowo skusiłam się na rogalika z czekoladą – w końcu ustaliłyśmy z Aśką, że w modelingu kariery nie zrobię – i zajęliśmy miejsce przy

stoliku na uboczu. Poczekalnia zaczynała się zapełniać, a po chwili dookoła nas panował nieznośny rwetes. Słowiańska nimfa w szortach długości majtek minęła nas, rzucając pełne zawodu spojrzenie, po czym kupiła dietetyczną colę i dosiadła się do dwóch kobiet konsumujących kanapki.

– I to tyle, jeśli chodzi o zawarcie nowych przyjaźni – mruknęłam do Patryka.

– W tej branży nie ma przyjaźni, nie łudź się – odparł on i poszedł odebrać nasze kawy.

– Wydajesz się sporo wiedzieć o „tej branży” – zagaiłam, gdy stawiał przede mną kubek. Kawa była mocna i smaczna, od razu poprawiła mi samopoczucie.

– Trochę wiem, reszty się domyślam – odparł enigmatycznie.

– A jednak tu jesteś i zamierzasz zostać kolejną Tokarczuk.

– Wolałbym zostać nowym Cobenem – roześmiał się. – Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma, a różę bez kolców nie istnieją.

– Mhm, tak słyszałam. Gorzej niż w korpo nie będzie.

Spojrzał na mnie z rozbawieniem i pokręcił głową.

– Tego ci życzę, Dominiko Cynamon.

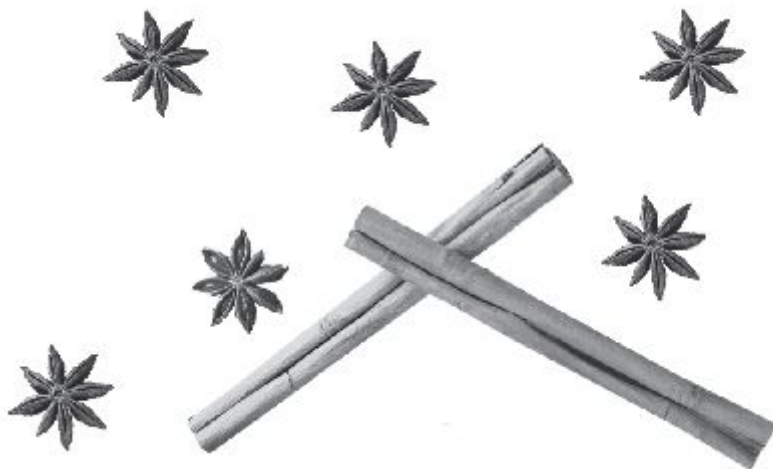
Miałam ogromną ochotę zapytać go, o co mu właściwie chodzi i o wiele innych rzeczy, ale nagle nad naszymi głowami wyrosła Grażyna Ambrozik.

– Fajnie, że was złapałam, gołąbeczki – zaczął mówić. – Słuchajcie, idę po kawę i ruszamy do naszego gate’a, mam dla was kilka informacji organizacyjnych, a później może nie być czasu. Pijcie kawkę i widzimy się za chwilę pod ósemką.

Obróciła się na pięcie z taką werwą, że jej czerwona sukienka zafurkotała, podeszła do stolika, przy którym siedziała amatorka krótkich spodenek z koleżankami, powtórzyła im to, co usłyszeliśmy przed chwilą, po czym udała się do baru i zamówiła latte na odtłuszczonym mleku.

– Myślisz, że będzie fajnie? – zapytałam Patryka.

– O, z pewnością. Fajerwerków nam nie zabraknie.



Rozdział 12

– Szybciućko, szybciućko, czekamy na was! – Ambrozik machała do nas rękami, a w każdej z nich powiewał kolorowy folderek. – Za chwilę zaczną nas wpuszczać na pokład.

Zjawiliśmy się ostatni, tak bardzo pochłonęło nas obgadywanie Barbie w zielonych gatkach, a później rozmowa zesłała na tak zwanych celebrytów. Temat rzeka, i pewnie siedzielibyśmy tam dalej, gdyby Patryk nie zorientował się, że nasze współtowarzyszki zniknęły.

– Przepraszamy – bąknęliśmy unisono, ani trochę nie czując skruchy. Czuliśmy natomiast, a przynajmniej ja czułam to każdą komórką swojego ciała, że stajemy się bardzo nie lubiani. Kujonka i mister uniwersum, mający w poważaniu obowiązujące zasady.

– Słuchajcie, kochani, niestety jesteśmy rozsadzeni po całym samolocie, wobec czego musicie pilnować się wzajemnie po wylądowaniu – grzmiała Grażyna. – Proszę, żeby każdy założył swój identyfikator i nie zdejmował go nawet, gdyby poszedł rzygać. Wepchnijcie pod bluzkę.

Parsknęłam głośno, a Patryk skrzywił się wymownie. Nastąpiło gremialne zawieszanie identyfikatorów na szyjach, a gdy każdy już mógł się pochwalić dyndającą ozdobą, Ambrozik kontynuowała:

– Lot będzie trwał nieco ponad pięć godzin, lądujemy na Reina Sofia, w największym i najbardziej ruchliwym porcie Teneryfy. Ludzi tam od groma i ciut-ciut, dlatego musicie pilnować się nawzajem i przede wszystkim – zrobiła pauzę i podniosła rękę, w której trzymała mapkę – przyjrzyjcie się mapie, którą zaraz dostaniecie. Miejsce zbiórki po odebraniu bagażu zostało zaznaczone takim białym tegesem. Widzicie?

Postukała paznokciem w ów teges, który wyglądał trochę jak żarówka, ale okazał się piórem.

– Jak już dotrzecie do miejsca zbiórki, czekajcie na mnie – zakończyła i sięgnęła do kartonika z mapami. – Proszę podchodzić do mnie albo do pana Radka i możecie ustawiać się do odprawy na pokład.

Zerknęłam na kartę pokładową, to samo zrobił Patryk.

– Co masz? – zapytał.

– Trzynaście przy oknie. A ty?

– Czterdzieści dwa też przy oknie.

– Szkoda, że wcześniej nie sprawdziliśmy, może moglibyśmy się z kimś zamienić. – Nie ma to jak logicznie pomyśleć w ramach musztardy po obiedzie...

Odebraliśmy mapki od pana Radka i ustawiliśmy się w kolejce, która wydłużała się z każdą sekundą. Zaczęłam odczuwać dyskomfort, kiedy jakieś babsko niemal położyło mi się na plecach. Skrzywiłam się z obrzydzeniem, a Patryk z trudem stłumił wybuch śmiechu.

– To do później – rzucił, gdy dotarliśmy na płytę lotniska.

Skinęłam głową i ruszyłam do przedniego wejścia, podczas gdy on już wspinał się po schodkach. Zerknęłam tęsknie na te proste nogi, które bez spodni wyglądały jeszcze lepiej, i poczapałam do drzwi.

Mijając uśmiechnięte stewardesy, po raz kolejny zastanowiłam się, czy nadrzędnym kryterium przyjęcia do pracy w liniach lotniczych jest atrakcyjność. Mama mojego kolegi z podstawówki pracowała w Polskich Liniach Lotniczych LOT. Pamiętam tylko tyle, że była wysoka, ale czy atrakcyjna? Dla mnie wówczas każda mama była atrakcyjna.

Środkowe miejsce w moim rzędzie było zajęte. Siedziała na nim okrągłutka blondynka o wydatnym biuście, wielkich jak lalka oczach i uśmiechu naiwnego dziecka.

– Mogę panią przeprosić? Mam miejsce przy oknie – wyjaśniłam przeproszającym tonem.

– Jasne, jasne, momencik.

Dziewczyna odpięła pas i wygramoliła się do przejścia. Usłyszałam za sobą pomruki niezadowolenia, jakby te trzy sekundy korka komukolwiek aż tak bardzo przeszkadzały.

– Dzięki. – Uśmiechnęłam się do niej. – Dzisiaj w ludziach ani krztyny cierpliwości.

Cisnąca się za mną starsza kobieta sapnęła głośno, widocznie jako komentarz do mojej arogancji. Usiadłam na swoim miejscu, a pulchna blondyneczka wskoczyła obok i natychmiast zapięła pomarańczowy pas.

– Strasznie boję się latać – wyznała, choć nie pytałam. – Pani się nie boi?

– Nie, ale nie lubię lądowania – odparłam. – Mam uszkodzoną błonę bębnekową i okropnie bołą mnie uszy przy gwałtownej zmianie ciśnienia. To czemu pani lata? Skoro się boi?

Dziewczyna sięgnęła pod dekolt bawełnianej koszulki i wyjęła spod niej kolorowy identyfikator, taki sam jak mój.

– Czego się nie robi dla marzeń, prawda? – Roześmiała się dźwięcznie.

– Najprawdziwsza.

– Monika jestem. – Dziewczyna wyciągnęła pulchną rączkę. – Piszę obyczajnie. Ale chyba nie tak dobre jak twoje, sądząc po tych pochwałach od pana Radka.

O jeżu w jeżynach, zaczyna się...

– Domi. – Ucisnęłam jej dłoń, która w odróżnieniu od mojej była ciepła. – E tam, przesadzał. Obyczaje, powiadasz?

– Mhm, głównie o ciemnej stronie życia i ludzkiej natury, wiesz: kłopoty w małżeństwie, problemy psychiczne, trudne decyzje.

– Brzmi... intrygująco – oceniłam. Wcale nie brzmiało, ale przecież jej tego nie powiem.

– A ty? – zapytała, najwyraźniej zachęcona moją nieszczerą uprzejmością.

– Ja? W sumie to niczego od dawna nie napisałam. Do zgłoszenia dołączyłam teksty, które powstały wiele lat temu i z całą pewnością nie były doskonałe.

– Nikt nie pisze doskonale – zapewniła mnie z zaskakującą żarliwością i dodała ciszej:

– Tak naprawdę to ci najbardziej poczytni w ogóle nie potrafią pisać.

Uniosłam brwi i spojrzałam w jej wielkie orzechowe oczy.

– Serio, wiem to od znajomych redaktorów. Taki Matuszewski to nawet kropek nie potrafi stawiać we właściwym miejscu, ale ma najlepszego redaktora w branży.

– Ale jak to? – Moje zdumienie było autentyczne. Jak to: autor, który nie potrafi pisać?

– Słuchaj, Domi. – Monika poluźniła klamrę pasa i odwróciła się do mnie. Dotykała teraz mojego ramienia, ale ja byłam tak ciekawa, że zupełnie mi to nie przeszkadzało. – Zdradzę ci sekret. Wydałam już trzy książki, z małym wydawnictwem, więc pewnie dlatego o mnie nie słyszałaś, ale mam dużo znajomych w branży. Każdy, kto choć trochę liźnął tego tortu, powie ci, że tu nic nie jest prawdą. Pisarz wcale nie musi potrafić pisać, bo dobry redaktor poprawi jego książkę, choćby miał nad nią płakać. Bo za to mu płacą. Wydawnictwo, które inwestuje kasę, zależy na tym, żeby jak najwięcej zarobić, więc owiną gównem złotkiem, napiszą, że to „najbardziej oczekiwany debiut tego roku” i interes zaczyna się kręcić. A kto, powiedz mi tak szczerze, czeka na debiut?

Ja? Na swój?

– Yyyy... – zająknęłam się. – No wiesz, słyszałam o tych laskach z Wattpada...

– O, widzisz, i tu masz kolejny przykład patologii – oznajmiła z uśmiechem. – Taki debiut – Monika wykonała gest oznaczający cudzysłów – to żaden debiut, przecież te dziewczyny miały miliony fanów. Wydawnictwo wyczuło żyłę złota, i tyle.

– To nie brzmi zachęcająco – skwitowałam. – Zawsze słyszałam, że jak się ma talent, to się wypłynie...

– A dobry tekst się obroni – dokończyła za mnie. – Tak, tak, to jest prawda. Tyle że najpierw ktoś musi ten talent rozpoznać i uznać tekst za dobry, prawda? Wiesz, ile książek wychodzi co roku?

Cholera, ewidentnie nie byłam przygotowana do tej rozmowy!

Pokręciłam głową, spodziewając się jakiejś dużej liczby.

– Trzydzieści tysięcy. Trzydzieści!

– Serio?! – Matko jedyna, nie potrafiłam nawet sobie wyobrazić, jak ta liczba wygląda w postaci książek.

– Serio. I teraz postaw się w roli czytelnika. W jaki sposób spośród tych trzydziestu tysięcy wybierzesz pięćdziesiąt, które przeczytasz w ciągu roku?

Dobre pytanie. W jaki? Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się nad tym, wrzucałam na czytnik to, co wpadło mi w oko, albo kolejną książkę z rozpoczętej serii. Czytałam też laureatów nagród, czasem Aśka coś mi poleciła.

Monika przyglądała się mojej minie, która musiała zdradzać to, co działo się w głowie. Uśmiechnęła się szeroko.

– O, właśnie – rzekła. – I tu wchodzi przekaz podprogowy, który wykorzystują wydawcy. Mamia okładkami, polecajkami autorytetów, opisem, który czasem nijak ma się do treści, ale nade wszystko starają się, żebyśmy zwrócili uwagę na ich produkt i jego wybrali spośród całej masy.

Słowa dziewczyny natychmiast przypomniały mi te usłyszane poprzedniego wieczora od Aśki. Produkt. Książka to produkt. Autor to produkt. Do lamusa z romantyczną wizją artysty.

– To bardzo niesympatyczna wizja – uznałam ze smutkiem. – Czuję się, jakbyś zgwałciła mnie przez uszy.

Monika roześmiała się wesoło, ale urwała natychmiast, gdy rozległ się sygnał oznaczający zakończenie abordażu. Zaciśnęła pas i wyprostowała się, a po chwili poczułam, że ściska moją dłoń.

– Mogę? – szepnęła. Czy miała zaciśnięte, a usta blade.

– Jasne, wszystko będzie dobrze.

bbGdyby człowiek miał latać, Pan Bóg dałby mu skrzydła i ogon – zwykła mawiać moja babcia i przez całe życie odmawiała podróży samolotem. Głównie z tego powodu nigdy nie poleciałyśmy do Stanów, mimo że matka wiele razy nas namawiała. Samej babcia nie mogła mnie puścić, a gdy już byłam dorosła, moje zainteresowanie odwiedzeniem Lucyny spadło do zera. Wtedy już nie była mi potrzebna, nauczyłam się żyć bez niej, a za rodziców wystarczali mi dziadkowie. Właściwie babcia, bo dziadek zamieszkał w specjalnym ośrodku, kiedy miałam zaledwie trzynaście lat. Prawie go nie pamiętałam, ale babcia wiele opowiadała mi o jego burzliwym życiu, niespokojnym duchu. Zupełnie jak u Lucyny.

Gdy samolot oderwał się od płyty lotniska, poczułam ekscytację, odrobinę strachu i coraz mocniejsze ściskanie dłoni, która spoczywała w pulchnej ręce Moniki. To musiało być straszne – pokonywać swoje największe lęki, żeby zrealizować jeszcze większe marzenia. Straszne i odważne jednocześnie. Podziwiałam ją. Ja za Chiny Ludowe nie wzięłabym do ręki tarantuli, nawet gdyby miało mi to zagwarantować Pulitzera. Za Nobla mogłabym się zastanowić, ale raczej wątpię.

Samolot wyrównywał położenie, ciśnienie w kabinie się normowało, a moja współpasażerka wyglądała jak woskowa lalka. Spod zaciśniętych powiek popłynęły łzy.

– Hej, już dobrze – szepnęłam do niej. – Zaraz wszystko się uspokoi, obsługa zacznie łączyć z katalogami, nic się nie bój.

– Boże, za jakie grzechy – pisnęła Monika. – Pięć godzin w tej puszcze, bez powietrza, bez możliwości wyjścia. Zejdę na zawał.

– Nie zejdziesz, będzie dobrze! Poopowiadaj mi jeszcze o branży, chętnie dowiem się, co jeszcze mnie czeka.

Chwilę trwało, zanim przekonałam ją do otworzenia oczu, ale uspokoiła się dopiero, gdy zamówiłam nam po kieliszku wina. Wiedziałam, że musi być jakiś sposób i na szczęście dość szybko udało mi się go odkryć.

– Wszyscy o was gadają – oznajmiła ni stąd, ni zowąd. – Wiesz: o tobie i tym przystojniaku.

Nie zakrztusiłam się tylko dlatego, że wcześniej już to podejrzewałam.

– Nie ma o czym gadać, jesteście tylko... znajomymi – odparłam sucho. – A co gadają?

– A, nie przejmuj się, ludzie są zawistni, zwłaszcza babki.

Taaa. Dwanaście lat w korpo. *What's new?*

– Przecież one nawet mnie nie znają! – A jednak trochę mnie to zirykowało.

– Jesteś dla nich zagrożeniem: śliczna, zdolna. Trochę je nawet rozumiem. Też bym chciała, żeby ktoś na forum powiedział, że zachwycił się moim pisaniem.

Śliczna? Czy ona widziała Barbie, która zapomniała założyć spodnie?

– Jeśli chodzi o Patryka, to niech go sobie biorą – zachnęłam się. – A szanse na wydanie książki każde z nas ma takie same, nie moja wina, że akurat mnie zapamiętali. To pewnie przez nazwisko. Chyba raczej o ciebie powinny być zazdrosne, masz trzy wydane powieści.

Monika machnęła ręką, bagatelizując mój argument.

– Tu prawie każdy jest już po debiucie, ale nikomu nie udało się wybić. – Znowu mnie zaskoczyła.

– Naprawdę? Każdy?

– Prawie. Widziałaś tę czarnowłosą lalunię w sukience w kwiatki? To znana blogerka, recenzentka książkowa. Podobno czeka właśnie na wydanie. A taka starsza, otyła babka, wydała już kilka książek, tylko ze współfinansowaniem, i popłynęła na tym biznesie na dwadzieścia tysięcy.

– Dwadzieścia tysięcy? Na co? – Brzmiało to jak jakaś kiepska anegdota.

– Są takie wydawnictwa, które biorą od autorów kasę, mówią, że na pokrycie części kosztów druku – wyjaśniała cierpliwie Monika. – Ale to bujda jest. Po pierwsze: te kwoty bardzo przekraczają koszty druku, magazynowania i dystrybucji, a po drugie: autor dostaje ochłapy i nigdy nie wyjdzie na zero.

– Boże, kto się na to godzi?

– Zdziwiłabyś się, jak wiele osób. Potrzeba ujrzenia swojej książki jest silniejsza niż racjonalne myślenie. A debiutanci rzadko kiedy są cierpliwi.

Wciąż nie mogłam uwierzyć w to, że takie rzeczy naprawdę się dzieją. Jeszcze bardziej szokowała mnie świadomość, jak niewiele wiem na temat mechanizmów rządzących tą branżą.

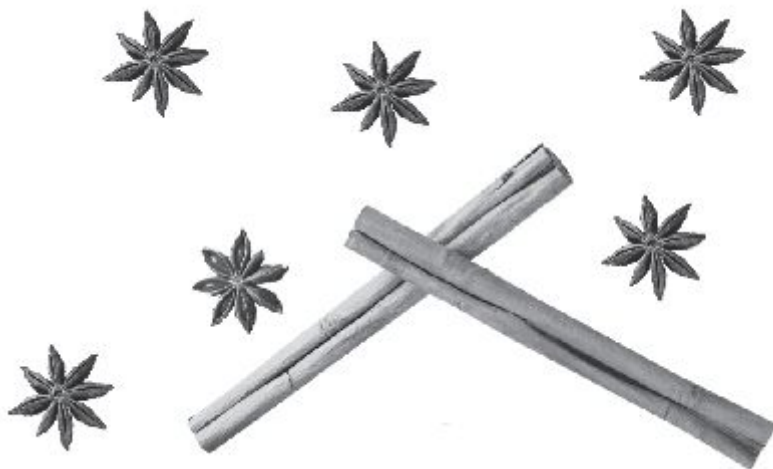
– Skąd ty tyle wiesz? – zapytałam z podziwem i lękiem jednocześnie. – O tej blogerce na przykład.

– Kochana, jeśli poważnie myślisz o wydawaniu książek, powinnaś jak najszybciej zajrzeć do darknetu wydawniczego. Ile w nim jest tematów na książki! Jeśli chcesz, to opowiem ci o kilku ciekawych osobkach, na przykład zamężnych instagramerkach romansujących z autorami, tylko po to, żeby sobie przetrzeć szlak do wydawcy. Albo o grupkach wsparcia, kanibalizujących się wzajemnie. A może chcesz posłuchać o tym, jak niektórzy wydawcy faworyzują autorów?

Zrobiło mi się słabo. Owszem, przyznaję, że Mordor pochłaniał większość mojego czasu i uwagi, a do zgłębienia pisarskiego światka jakoś nigdy nie miałam okazji, ale nawet mnie, cyniczną i wychowaną przez korporacyjne gierki, zniesmaczyło to, czego właśnie się dowadywałam.

– Jeszcze jeden kieliszek wina? – zaproponowałam ochryplym głosem. – Na trzeźwo chyba tego nie przyjmę.

– Obawiam się, że jeden wciąż nie wystarczy...



Rozdział 13

Monika okazała się nie tylko skarbnicą wiedzy, ale przede wszystkim niepoprawną gadułą. Pięć godzin lotu minęło, nawet nie wiem kiedy. Jedynie nadmiar informacji, z jakim opuszczałam samolot, solidnie mnie przytłoczył. Knucie, zawiść, plotki, wieczny wyścig szczurów. Czy przypadkiem nie to zostawiłam za sobą? Gdzie się podziała literacka bohema, dyskutująca wieczorami w kawiarni Kalambur? Gdzie pasja, artyzm, gdzie sztuka przez wielkie „Sz”?

Wymęczeni podróżą pasażerowie wylali się z samolotu, z radością witając pachnące solą i słońcem powietrze. Na widok palm i ogromnych kaktusów poczułam, jak zachwyt zalewa mi ściśnięte z emocji serce. Byłam w raju. Od tak dawna nie potrafiłam znaleźć czasu na weekend w Ustce, a teraz byłam w raju! Do pełni szczęścia brakowało mi jedynie...

– Domi! Hej, Domi!

Nie, nie Moniki, która wydzierała się, jakby ktoś przypalał jej stopy podgrzewaczem. Udałam, że jej nie słyszę, i sunęłam dalej, otoczona przez nieznanym, których obecność paradoksalnie dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Oni nie zwracali na mnie uwagi, byli anonimową, pozbawioną twarzy masą, a dzięki temu ja też stałam się panią Nikt.

Pięć i pół godziny w jednej pozycji, bez możliwości ucieczki i zmiany towarzystwa choć na chwilę, to aż nadto czasu, żeby rozprawić się z własnymi myślami. Co prawda Monika trajkotała niemal bez przerwy, ja jednak potrafiłam wyłączać uwagę, czego nauczyłam się w trakcie licznych narad, spotkań i tym podobnych korporacyjnych pomysłów na marnowanie czasu pracowników. Podczas gdy pulchna pisarka opowiadała mi o nieetycznych zachowaniach w branży (zapamiętałam jedynie, że pewien znany autor dostał od wydawcy samochód w ramach „zachęty” do skończenia książki), mój przesycony informacjami umysł rozpoczął

intensywną pracę nad uporządkowaniem świata wewnętrznego. A, trzeba to powiedzieć głośno, stanowczo było co porządkować.

W tym całym chaosie na pierwszy plan z uporem maniaka wysuwała się poranna rozmowa z Lucyną. Wcałe o nią nie prosiłam, zupełnie nie miałam ochoty właśnie teraz zaprzętać sobie głowy sprawami, których zrozumienie wydawało się niemożliwe. Jakby nie wystarczyło to, co już i tak podrzucił mi złośliwy los. Bo jak inaczej nazwać wysłanie mnie do rajy z facetem, któremu podziękowałam za upojną noc słowami: „to się nie może powtórzyć”?

Poczułam nagłą potrzebę zadzwonienia do Aśki. Właściwie powinnam była oddzwonić jeszcze z lotniska w Polsce, ale przy Patryku nie mogłam tego zrobić. Sięgnęłam do torebki – szlag ciężki! Telefon się rozłądował. Pięknie.

Humor popsuł mi się już całkiem. W dodatku jakiś facet notorycznie deptał mnie po piętach, a ja z coraz większym trudem hamowałam się, żeby nie posłać mu łokcia w brzuch.

– Hej! Prymusie! – usłyszałam z przodu.

Podążyłam wzrokiem za głosem i dostrzegłam Patryka machającego do mnie nad tłumem. Stał już niemal przy stanowisku celników.

– Domi, przepchnij się, trzymam dla ciebie miejsce! – krzyczał, zupełnie niepomny na niezadowolonych z tego faktu ludzi.

– Przepraszam, *entschuldigung, scusi, excuse me, excusez moi* – powtarzałam jak nakręcona, lawirując między wkurzonymi turystami. – Przepraszam panią, dziecko mi się zgubiło. Halo, miejsce! Rodzę! – Dopiero to ostatnie podziałało, możliwe, że nawet aż za dobrze, bo ludzie rozstępowali się przede mną z obrzydzeniem. Cel uświęca środki, czyż nie?

– Hej – przywitałam uśmiechniętego Patryka. Wyglądał na zmęczonego, ale nawet to nie przyćmiło jego urody. – Jak podróż?

– O, znakomicie! – parsknął. – Obok mnie siedział jakiś gościu, który najpierw żarł kanapki z konserwą i jajkiem, zdaje się, że z całego bochenka, a później zasnął.

– To chyba nie najgorzej? – zauważyłam. Wolałabym jajko niż nieustający słowotok.

– Do tej pory nie było najgorzej – zgodził się. – Ale później zaczął chrapać, dławić się, a w końcu oślinił mi cały rękaw!

Mimowolnie spojrzałam na rękaw jego koszulki i skrzywiłam się paskudnie.

– O fujka. Faktycznie, wygrałeś.

– U ciebie jak?

– Ujdzie w tłoku. Mam nową koleżankę, jest z nami na kursie.

– O! To zdecydowanie lepiej, ja ze śliniącym się amatorem jajek nie zamierzam się kolegować.

Też bym nie zamierzała.

Celnik kilka razy porównywał moje zdjęcie w paszporcie z facjatą, czemu w sumie trudno się dziwić. Ten, kto wymyślił zdjęcia biometryczne, na których człowiek wygląda jak egzemplifikacja teorii Lambroso, mówiącej o tym, że brzydota fizyczna odzwierciedla brzydotę duszy, powinien za karę uczyć się na pamięć książek Blanki.

Minęłam bramkę i zatrzymałam się, żeby zaczekać na Patryka. Sama nie wiem, jakim cudem zaczęłam uznawać to za naturalne: on czeka na mnie, ja na niego. A że znamy się raptem kilka godzin? Nie bądźmy małostkowi.

Kiedy do mnie dołączył, ruszyliśmy po bagaże. Mimo ostrzeżenia Grażyny poczułam zawroty głowy na widok tłumy, jaki zgromadził się wokół taśm. Można było dostać

klaustrofobii i lęków społecznych jednocześnie. Na całe szczęście nasz samolot został rozładowany jako pierwszy i już po chwili otwór wypływał walizki.

Rozglądałam się wokół, raz za razem dostrzegając kolorowe identyfikatory na piersiach kobiet. Zielone gatki udające szorty też dostrzegłam, z satysfakcją odnotowując, że po idealnie ułożonej koafiturze rusałki nie pozostał nawet ślad.

– To moja! – krzyknęłam na widok turkusowej walizki.

Patryk rzucił się do taśmy i po chwili postawił przede mną sakwojaż.

– Jezu, coś ty tam napakowała?

A czego ja nie napakowałam!

– Słuchaj, dziewczyna musi mieć wybór – odpowiedziałam z zalotnym uśmiechem, który zgąsł, kiedy przypomniałam sobie o seksownej bieliźnie włożonej tam przez Aśkę.

– Nie no, rozumiem, książki trochę ważą...

Książki? Jakie książki? Mieliśmy zabrać książki?

Na widok mojej przerażonej miny, roześmiał się głośno.

– Żartuję przecież! Tak się składa, że mam cztery siostry i nieraz widziałem, jak szykowały się do wyjazdu.

– Cztery siostry? – Uniosłam brwi tak wysoko, że niemal mnie to zabolowało.

– I to młodsze – dodał z dumą. – Podpaski, tampony, płyny micelarne, peelingi i maski do włosów nie mają przede mną tajemnic. Czemu tak na mnie patrzysz? – zapytał, uchwyciwszy moje spojrzenie, w którym zawarłam bodaj wszystkie swoje myśli.

– Zaskoczyłeś mnie – wyznałam. – Jakoś mi nie wyglądasz na starszego brata. Ani na znawcę tamponów.

– Fakt, żaden ze mnie empiryk, ale ktoś musiał im pomagać – zażartował. – Kiedyś zrobiliśmy test podpasek i okazało się, że żadne nie wytrzymują próby wiadra wody.

Na szczęście nie usłyszała złośliwego komentarza, jakim skwitowałam to wyznanie, bo wystrzelił pod taśmę, a po chwili wrócił z czarną walizką.

– Chodźmy na miejsce zbiórki – zaproponował.

Znów chwycił moją walizkę, nie pytając mnie o zdanie, po czym torował sobie drogę między grupkami wypatrującymi swoich bagaży.

Drobiał za nim jak gejsza, a w uszach wciąż pobrzmiwało mi echo jego słów. Cztery siostry! Jako jedynaczka nie potrafiłam nawet wyobrazić sobie, co znaczy mieć jedną, a cztery? Można by pomyśleć, że chłopak miał przechlapane, ale on nie wydawał się nieszczęśliwy. Przeciwnie: odniosłam wrażenie, że rola starszego brata dawała mu powody do dumy. I pozwalała na dziwaczne eksperymenty, ale – umówmy się – kto jest tak całkiem normalny?

W hali przylotów wcale nie było lepiej, ludzie tłumnie przemieszczali się ku wyjściu, niektórzy rozglądali się z szalem w oczach – ci pewnie rzeczywiście zgubili dziecko. Albo męża. Czerwoną sukienkę Grażyny Ambrozik widać było z daleka, niczym totem.

Podeszliśmy do niej, ale zajęta była rozmową prowadzoną w języku hiszpańskim. Pomyślałam z podziwem, że po powrocie zapiszę się na kurs. Na studiach liźnęłam podstawy – dwa semestry na drugim roku – ale znudziło mnie łożenie na lektoraty wieczorami, więc zapisałam się na angielski, zdałam egzamin końcowy i na więcej języków nie starczyło mi zapła. Człowiek jednak jest durny. Zwłaszcza dwudziestoletni.

Grupa powoli się kompletowała, zmęczone twarze z coraz mniejszym entuzjazmem spoglądały w stronę parkingu. Jedynie Monika wyglądała jak naładowana energią

niewiadomego pochodzenia.

– Tu jesteś! Hej, jestem Monika, koleżanka Domi. – Wyciągnęła rękę do Patryka i uśmiechnęła się szeroko.

– Patryk, miło mi. – Odwzajemnił uśmiech i delikatnie potrząsnął pulchną rączką dziewczyny.

Poczułam ukłucie żalu, że nie dodał „kochanek Domi” albo „chłopiec Domi do zadań specjalnych”, szybko jednak odsunęłam od siebie tę absurdalną myśl. Bredzisz, Dominiko, za dużo emocji, za dużo wrażeń i za mało seksu. Jasna cholera, snu za mało!

Nagle, ni stąd, ni zowąd, obok nas pojawiły się kolejne uczestniczki kursu i jedna za drugą zaczęły przedstawiać się Patrykowi. Przyglądałam się temu w oniemiałym zdumieniu, a z miny Patryka wnioskowałam, że i on czuje się odrobinę skonfundowany. Rusałka bez portek podeszła do mnie i wyciągnęła chudą, zakończoną różowymi szponami rękę.

– Sylwia jestem – przedstawiła się. – Miło cię poznać.

– Domi – mruknęłam – i wzajemnie. – A gównu tam, wcale nie było mi miło i wcale nie chciałam jej poznawać.

Grażyna skończyła rozmawiać przez telefon i przesunęła wzrokiem po naszej gromadce.

– Wszyscy już są? Znakomicie!

– Nie ma pana Radka – poprawiła ją Monika.

– A, tak, tak, Radek jest już na parkingu, razem z przewodniczką. Możemy iść?

W jej głosie wyczułam zdenerwowanie, którego wcześniej na pewno nie było. Mimo że uśmiechała się szeroko, jej oczy pozostawały skupione. Coś się stało.

Miałam nadzieję, że tym razem uda mi się usiąść z Patrykiem, ale Monika miała inne plany. Jakimś cudem wepchnęła się na początku i radośnie poinformowała, że trzyma dla mnie miejsce. Spojrzałam na Zawiszę wzrokiem pełnym skruchy, ale on tylko się uśmiechnął i rzucił:

– Każdy chce się przyjaźnić z prymuską, taka cena sławy.

Sławy, srawy – pomyślałam cierpko. Jakbym chciała być gwiazdą, to byłabym... swoją matką? Otrząsnęłam się na to wyobrażenie. Nigdy, przenigdy nie chciałabym pracować w szołbiznesie. Zaraz jednak pojawiła się refleksja: a czy wejście do świata pisarzy nie jest równoznaczne z wkroczeniem do szołbiznesu? Gdyby wziąć na serio wszystko to, o czym przez kilka godzin perorowała Monika, należałoby wysnuć właśnie taki wniosek. Na wszystkie świętości, przecież wcale nie o to mi chodzi!

Z tych przykrych rozmyślań wyrwało mnie piskliwe „Domi, tutaj!”. Monika siedziała przy oknie, w drugim rzędzie foteli w autobusie i machała do mnie radośnie. Klapnęłam obok niej i wsunęłam swoją podręczną torbę pod siedzenie.

– Ależ jestem podekscytowana! – Moja współpasażerka niemal podskakiwała na fotelu. Wyglądała przy tym tak naiwnie, że wizja obrzydliwego świata celebrytów uciekała w głąb mojej podświadomości. Może wcale nie będzie tak źle?

Patryk minął nas z zagadkowym uśmiechem i usiadł za nami, a właściwie za Moniką. Na siedzeniu obok postawił plecak, dając znać wszystkim ewentualnym chętnym, że to miejsce jest zajęte.

Po kilku minutach autobus ruszył. Grażyna zajęła miejsce za kierowcą, po przeciwnej stronie siedział pan Radek, tym razem bez megafonu, a obok niego filigranowa, opalona na

złocisty brąz platynowa blondynka, ubrana w kwieciste szorty i biały T-shirt. Przeglądała jakieś papiery, po czym chwyciła mikrofon. Rozległ się mrozący krew w żyłach dźwięk sprzężenia, a po chwili z głośników popłynął aksamitny głos przewodniczki.

– Dzień dobry państwu, ¡hola!

– *Hola!* – odpowiedział jej chór.

– Nazywam się Lena Aguera, jestem przewodniczką po przepięknej Teneryfie i będę miała przyjemność objąć państwa opieką w ciągu waszego pobytu w Adeje.

Ktoś zaczął klaskać, ale szybko zrezygnował.

– Znajdujemy się w południowej części wyspy, do hotelu ulokowanego w miejscowości Adeje, w najciekawszym pod względem turystycznym rejonie Teneryfy, mamy pół godziny drogi. Postaram się opowiedzieć państwu co nieco o klimacie i atrakcjach w trakcie naszej podróży, ale spoglądajcie państwo przez okna, bo widoki dziś są przepiękne. Jeśli wytyżycie wzrok, to po lewej stronie dojrzycie zarys wyspy Gomera.

Wszystkie głowy natychmiast odwróciły się we wskazanym kierunku, a Monika niemal przykleiła się do szyby.

– Za chwilę po prawej stronie dojrzą państwo wzniesienie – kontynuowała przewodniczka. – To masyw wulkanu Teide, prawdziwego serca Teneryfy.

Jak w kreskówce wszyscy odwrócili się w prawo. Płaska jak naleśnik droga skręciła lekkim łukiem i już po chwili zza gęsto rosnących plantacji bananów wyłonił się zapierający dech w piersiach widok.

– Teide o wysokości trzech tysięcy siedmiuset osiemnastu metrów nad poziomem morza jest trzecim co do wielkości wulkanem na świecie – referowała Lena.

– Ten wulkan jest czynny? – padło pytanie gdzieś z końca autobusu.

– Wszystkie wulkany na Wyspach Kanaryjskich są aktywne – odparła przewodniczka – jednak nie ma czym się przejmować. Są państwo bezpieczni.

– Jak na polu minowym – burknęła starsza kobieta, siedząca kilka rzędów za mną.

Masyw Teide robił wrażenie nawet z okien autobusu, nie mogłam oderwać od niego wzroku i żałowałam, że nie mam pod ręką aparatu, a telefon przecież zdechł bezczelnie. Ucieszyła mnie informacja, że w planie pobytu znajduje się wycieczka dla chętnych. Ja byłam chętna jak mało kto!

Odwrociłam się i wsadziłam oko między fotele, żeby zerknąć na Patryka. Spodziewałam się, że on także będzie z zachwytem oglądał widoki, rozpościerające się wzdłuż drogi, tymczasem siedział pod jakimś dziwnym kątem, z jedną nogą opartą o wolny fotel, i grzebał w telefonie.

– Hej, a ty co? Nastolatek łapiący Pokemony?

Parsknął wesoło i spojrzął na moje oko.

– Już wszystkie złapałem – odparł, szczerząc się.

– Nie podoba ci się tu? – pytałam zdumiona. – Ja najchętniej wyskoczyłabym z autobusu i biegała jak wściekła wśród tych bananowców.

– Pięknie tu jest, to prawda – przyznał. – Ale wiesz, ja to już widziałem. To moja czwarta wizyta na Kanarach.

Fiu, fiu – zagwizdałam. Proszę, proszę, monsieur burżuj.

– A, to przepraszam, zwracam honory i wracam do zwiedzania przez okno.

Przewodniczka przywoływała historię wyspy, opowiadała o Gauczach, przytaczała wielobarwne i działające na wyobraźnię obrazy karnawału świętowanego na ulicach Santa Cruz, a moja głowa aż parowała od scen, które domagały się opisanego. Och, jakże chciałabym opowiedzieć historię tragicznej miłości tancerki i chłopaka pracującego w porcie. Albo surfera, który stracił życie na Los Gigantos, a jakaś bystra pani komisarz z determinacją poszukuje zbrodniarza, który jest wciąż krok przed nią. Już sam przyjazd na Teneryfę podsyłał moją literacką wyobraźnię, a co się wydarzy w ciągu dziesięciu dni pracy z najlepszymi twórcami, redaktorami i nauczycielami pisania?

Poczułam wielką ekscytację i przypomniałam sobie słowa babci, które powtarzała mi od dzieciństwa: każdy dostał od losu jakiś dar, a najwyższą formą wdzięczności jest właściwe jego wykorzystanie. Moim darem, choć przez lata starałam się o tym nie myśleć, było opowiadanie historii. Nie wymyślanie, bo one same wskakiwały mi do głowy, a ja służyłam jedynie za narzędzie: mózg był fotoplastykonem, a ręka piórem, z którego stalówki spływały słowa przepoczwazone z obrazów.

Przewodniczka zamilkła, a po chwili autobus skręcił w uliczkę i zatrzymał się na parkingu pod hotelem. Po pojeździe rozeszły się głośne „achy” i „ochy” na widok rajskiego ogrodu widocznego ponad pięknym żywopłotem. Wśród kwitnących tropikalnych roślin, kaktusów, agaw i drzewek cytrusowych migotały promienie słońca odbijające się w nieckach basenów. Na kilku leżakach opalali się turyści, przy pokrytym trzciniowym dachem barze kilka osób popijało drinki.

– O mamuniu, jestem w niebie! – pisnęła Monika, a jej oczy błyszczały z podniecenia.

– Istotnie, jest pięknie – szepnęłam zachwycona.

– Nie cieszcie się za bardzo – usłyszałam zza oparcia. – Nie wszystko złoto, co się świeci.

– A jemu co? – zapytała Monika bezgłośnie.

Wzruszyłam ramionami.

– A bo ja wiem? Może on z tych zimnolubnych. Albo kiepsko wygląda w bikini?

Pulchniutka blondynka zachichotała i zrobiła pocieszny minę. Może naprawdę nie będzie źle?

Drzwi autokaru się otworzyły i kierowca wysiadł, żeby wyładować bagaże. Grażyna, Radek i przewodniczka wyszli pierwsi, a za nimi z wnętrza pojazdu wysypała się cała reszta wycieczki. Czułam, że moje nogi, spuchnięte od podróży, domagają się odpoczynku. Najchętniej w tym basenie, który kusił turkusowym dnem i fikuśnym kształtem.

– Proszę odbierać bagaże i kierować się do recepcji – grzmiała Grażyna, wydmuchując dym z papierosa. – Za półtorej godziny spotykamy się w restauracji przy basenie na uroczystym obiedzie. Mam nadzieję, że mają ze sobą państwo odpowiednie ubrania, w szortach nie wchodzi.

Jęknęłam z wdzięczności. Jak to dobrze, że moja przyjaciółka postanowiła sprawdzić zaopatrzenie walizki. Dopiero miałabym się z pyszną, gdyby nie wpuścili mnie na obiad. Przecież zaraz padnę z głodu!

W recepcji przewodniczka wręczała każdemu z nas złożoną na czworo ulotkę, która po bliższym rozpoznaniu okazała się harmonogramem kursu. Zgodnie z nim rozpoczynaliśmy pobyt obiadem, po nim następował pierwszy blok zajęć, a wieczorem, po kolacji serwowanej do dwudziestej drugiej, mieliśmy czas dla siebie.

– Idziemy w miasto! – ucieszyła się Sylwia, której na pewno nie spodobał się zakaz wstępu w szortach do restauracji.

– Mhm, na pewno. Ja idę spać – mruknęłam i ruszyłam do swojego pokoju. Modliłam się jedynie, żeby okazał się jednoosobowy.

– Całkiem rozsądnie – usłyszałam za sobą głos Patryka. – Zważywszy na to, że jutro zaczynamy o ósmej, a naszym prowadzącym jest szacowny W...

Nie musiał kończyć, bo właśnie szacowny Wojciech Luboń minął nas, obrzuciwszy mało przyjaznym spojrzeniem.

– O matko, o matko, czy to był...? – Monika omal nie pękła z ekscytacji, dołączając do nas w korytarzu.

– Mhm, był. I nie wydaje się szczególnie sympatyczny – odparłam.

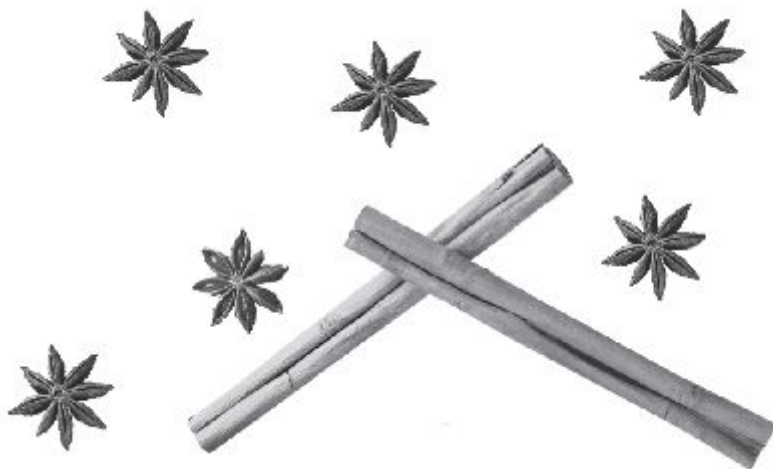
– No wiesz, to jest GWIAZDA! On zdobył już chyba wszystkie możliwe nagrody kryminalne! – podniecała się dziewczyna.

– I zachowuje się, jakby je wszystkie wetknął sobie w zadek – wycedził Patryk. – Zadufany buc. Do zobaczenia.

I ruszył dalej, a my patrzyłyśmy za nim, zdumione.

– Mamy razem pokój! – zaszczebiotała Monika.

– Hurra – bąknęłam i otworzyłam drzwi. Zaiste: hurra. Niech to szlag.



Rozdział 14

Uroczysty obiad zaczął się od przemowy Grażyny, która ledwo uszła z życiem, bo już po pięciu minutach jej radosnej paplaniny miałam wizję rodem z *Madagaskaru* (kiedy Alex zobaczył w swoim przyjacielu Martym soczysty udziec). Byłam tak głodna, że niewiele brakowało, abym rzuciła się na tę Grażynę jak wygłodniały lew. Powstrzymał mnie jedynie impuls niepokoju, gdy zdałam sobie sprawę, że nigdzie nie widzę Zawiszy.

– Patryka nie ma – szepnęłam do Moniki, wpatrującej się rozanielonym wzrokiem w Ambrozik.

– Może nie jest głodny.

Może.

A może ma to coś wspólnego z jego mrukliwym nastrojem? Ewidentnie coś się stało między lotniskiem a hotelem.

– Życzę państwu smacznego i widzimy się za godzinę na pierwszym warsztacie – dotarły do mnie słowa Grażyny. – Nie zdradzę państwu, kto go poprowadzi, ale będziecie zadowoleni, gwarantuję. Proszę o zabranie laptopów i koszulek, które możecie odebrać w recepcji.

Przed oczami stanęły mi neonowe T-shirty, które widziałam na lotnisku w Warszawie, i z przerażeniem pomyślałam, że będziemy musieli je nosić. Ale kiedy wyobraziłam sobie Patryka w oczojebnym fiolecie, humor mi się poprawił.

Wbrew rozsądkowi i zaleceniom Grażyny napchałam się tak, jakbym miała nie jeść przez kolejny tydzień. Jedynie koźliny i krewetek nie tknęłam, jakoś nie mogłam się przemoc. Tymczasem Monika spróbowała wszystkiego i wydawała się zachwycona.

– To co, sješta? – zapytała, opróżniwszy szklanke soku.

Byłam tak obzarta, bo inne słowo nie oddałoby tego stanu, że ledwo udało mi się wykrzesać z siebie błady uśmiech. Resztką silnej woli, z głuchym jękiem podniosłam się z krzesła. Monika tymczasem skakała jak gazela i skubnęła jeszcze dwa banany „na zaś”. Gdzie ona to wszystko mieściła?

Człapałam za nią, stękając przy każdym kroku, i nagle na jednym z leżaków dostrzegłam znajomą sylwetkę.

– Idź sama, ja legnę na leżaku – rzuciłam do niej.

– Na pewno? – Monika zatrzymała się i popatrzyła na mnie badawczo. – Tylko nie włącz do wody, bo utoniesz.

Zrobiłam minę zbitego psa, po czym moja współlokatorka ruszyła rażno do budynku, a ja odbiłam w lewo, wzdłuż basenu.

– Weź dla mnie koszulkę! – krzyknęłam za nią, a ona uniosła kciuk.

Patryk wyglądał, jakby spał. Leżał spokojnie, wystawiając twarz do słońca. Miał na sobie lniane spodnie i cienką koszulkę z krótkim rękawem.

– Będzie ci przeszkadzać moje towarzystwo?

– Nie, skądże – odpowiedział, nie otwierając oczu. – Jak obiad?

– Oesu, nawet nie pytaj. Łakomstwo to grzech, teraz to wiem.

Zaśmiał się wesoło, a mnie od razu zrobiło się lżej. Przynajmniej na duszy, bo ciało z całą pewnością właśnie dorobiło się kilku dodatkowych kilogramów.

Położyłam się na leżaku i poczułam błogość. Słońce rozkosznie muskało moją bladą skórę, delikatny wietrzyk chłodził ją całusami, ptaszki śpiewały. Życie nie umierać!

– A ty nie jesteś głodny? – zapytałam.

– Nie mam apetytu – odparł dziwnym tonem.

– Stało się coś?

Nie odpowiedział od razu, jakby szukał właściwych słów.

– Życie się o mnie upomniało, muszę przemyśleć kilka spraw.

Zabrzmiało poważnie. Otworzyłam jedno oko i zerknęłam na niego.

– Chcesz o tym pogadać? – zaoferowałam. Z jakiegoś powodu naprawdę chciałam mu pomóc.

– Nie, dzięki. Sam muszę się z tym uporać.

– Rozumiem – szepnęłam. Ja także miałam sprawy, z którymi musiałam się uporać, mimo że starałam się je zbagatelizować. – Moje życie też ostatnio dostało pierdolca.

– Mhm.

– Jakbyś chciał pogadać, to wiesz, jak mnie znaleźć.

– Mhm.

Zamilkliśmy oboje, pozwalając chwili trwać. Tu, w tym rajku na ziemi, nasze życia wydawały się tak odległe. Jakby inna lokalizacja mogła cokolwiek zmienić. A może mogła? Może wystarczyłoby już nie wracać do świata, w którym nieobecna matka nagle materializuje się na progu, człowiek z dnia na dzień zostaje bez pracy i bez pomysłu na przyszłość. Byliśmy tylko ja, on i cuda natury. Na kozłinę i krewetki można ostatecznie przymknąć oko, z całą pewnością są gorsze paskudztwa.

– O czym zamierzasz pisać? – wyrwał mnie z zadumy.

Zaskoczył mnie. Nawet nie samym faktem, że zapytał, tylko treścią pytania.

– Hmm... Nie zastanawiałam się nad tym – odparłam zgodnie z prawdą. – Nigdy nie wiem, jak potoczy się moja historia, ona dzieje się sama.

– A te supermateriały, które wysłałaś na kurs? O czym były?

No właśnie: o czym?

– Głównie o mnie. I o mojej babci, mojej matce, o naszym życiu. Chociaż powinnam powiedzieć: życiach, bo moja matka prowadzi osobne życie, dziesiątki tysięcy kilometrów ode mnie. Przynajmniej tak było do tej pory.

Usłyszałam, że się poruszył. Materiał leżaka zaskrzypiał delikatnie. Podniosłam głowę i zobaczyłam, że usiadł, splótłszy ręce na brzuchu.

– Zazdrościsz ci – powiedział tym swoim spokojnym, głębokim głosem. – Ja nie potrafię pisać o prawdziwym życiu. Moje historie zawsze są zmyślone, tak jakbym musiał odrywać się od rzeczywistości. Rozumiesz, co mam na myśli?

I rozumiałam, i nie rozumiałam. Zawsze mi się wydawało, że nie da się tworzyć opowieści w oderwaniu od naszych doświadczeń. Nie da się stworzyć wiarygodnej postaci, nie obdarzając jej cechami prawdziwych ludzi.

– Czyli piszesz... fantastykę?

– Można tak powiedzieć – roześmiał się, ale nie było w tym śmiechu wesołości. Raczej gorycz.

– Ja chciałam kiedyś napisać kryminał. Taki rasowy, z supercharakterystycznym bohaterem, z mocną warstwą obyczajową i świetną intrygą – wyznałam. – Ale gdy tylko zaczynam obmyślać biografię protagonisty, od razu ładuję tam swoje własne przeżycia. Nawet w scenie erotycznej, którą kazali nam przygotować na warsztaty, odwołam się do... – zamilkłam natychmiast, kiedy zdałam sobie sprawę, do czego się odwołam. O Chryste Panie, ale ze mnie idiotka.

– Nic dziwnego, że tak cię wychwalają – skwitował Patryk. – To ważne, żeby pisarz potrafił sprawić, że czytelnik zawiesza niewiarę i żyje historią.

Wypuściłam powietrze. Ufff.

– Mam nadzieję, że bohaterka twojej sceny erotycznej była usatysfakcjonowana – dodał z szelmowskim uśmiechem. – Bo bohater był z całą pewnością.

O. Mój. Boże.

Gdyby to zależało ode mnie, zrobiłabym dziurę w leżaku i wtopiła się w podłogę.

– Patryk, ja...

– Wiem, wiem, to się nie powtórzy – zapewnił, a jego głos nabrął dziwnej ostrości. – Nie martw się, nie zamierzałem cię przekonywać, że zdecydowanie warto by to powtórzyć, choć tak właśnie uważam. Niestety teraz już z całą pewnością nie może się powtórzyć.

Poczułam ucisk w żołądku. Ścisnął się tak mocno, że na chwilę odebrało mi oddech. Serce rozpoczęło dziwną goniwę, a ja czułam jego uderzenia aż w skroniach. Co się ze mną działo?

Nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa, a nawet gdybym odzyskała tę możliwość, co mogłam odpowiedzieć? „Nie, myliłam się, jesteśmy dla siebie stworzeni!”? Przecież to ja postawiłam granicę. A teraz on wzniósł dodatkowy mur.

Zapadła niezręczna cisza, choć może tylko ja czułam się niezręcznie. Modliłam się, żeby ktoś mnie uratował, żeby przerwał to pełne napięcia milczenie.

– Domi! Domi!!!

Zerwałam się jak oparzona, zupełnie zapominając o tym, że faza trawiącego węża wciąż trwa. Stęknęłam jak stara baba z lumbago.

– Monika? Co się stało?

Pulchna blondyneczka, ubrana w żarówiastą różową koszulkę, biegła w moim kierunku, a w jej wzniesionej ręce błyszczał jakiś przedmiot.

– Telefon! Twój telefon cały czas dzwoni!

Zatrzymała się przede mną, sapiąc jak nieboskie stworzenie, a na jej pogodnej twarzy widać było troskę.

– O cholera, jedenaście połączeń – oznajmiłam, spoglądając na ekran smartfona.

Trzy od Aśki, siedem od matki i jedno od Michała. Od Michała? A temu co się stało? Nie dzwonił do mnie, odkąd się rozstaliśmy, i tak powinno zostać.

– Zapomniałam się zameldować – bąknęłam w ramach wyjaśnienia. – Dzięki, Monia, muszę je uspokoić.

– Tak właśnie sobie pomyślałam. – Wyszczrzyła się radośnie. – I jego też musisz, nie?

A to wścibski prosiaczek! Bałam się odwrócić i spojrzeć na Patryka, ale byłam pewna, że usłyszał uwagę Moniki.

– To do zobaczenia za chwilę – usłyszałam za plecami. Minął nas i skierował się do budynku, zanim odpowiedziałyśmy.

– Mam dla ciebie koszulkę. – Blondynka wyjęła z przewieszzonej przez ramię torby wściekle żółty przedmiot. – Nie mogliśmy wybierać, kolory były z góry narzucone przez organizatorów – wyjaśniła przeproszającym tonem. – To... ja już pójdę na zajęcia, widzimy się w środku.

– Tak, dzięki – mruknęłam, nie odrywając wzroku od listy połączeń. Siedem od matki? To trochę za dużo jak na zwykły niepokój. „Brak wieści to dobre wieści”, mówiła babcia. – Zadzwoń i zaraz przyjdę, OK?

Monika skinęła głową i uśmiechnęła się ciepło. Ona także musiała uważać, że uparcie dzwoniący telefon nie zwiastuje niczego dobrego. Odwróciła się i ruszyła w stronę lobby.

Korciło mnie, żeby najpierw zadzwonić do Aśki, miałam jej tyle rzeczy do opowiedzenia, jednak jakiś głos kazał mi wybrać numer Lucyny.

Po trzech sygnałach w słuchawce rozległ się jej aksamitny głos, w którym bez trudu rozpoznałam ogromne napięcie.

– Domi, córeczko, jak dobrze, że nic ci nie jest!

– Yyy, cześć, przepraszam... Telefon mi się rozładował, a potem było zamieszanie, organizacja, obiad... – tokowałam, tłumacząc się jak dzieciak.

– Ważne, że jesteś cała – przerwała mi z wyraźną ulgą. – Ale mam dla ciebie złe wieści, chciałam ci powiedzieć od razu.

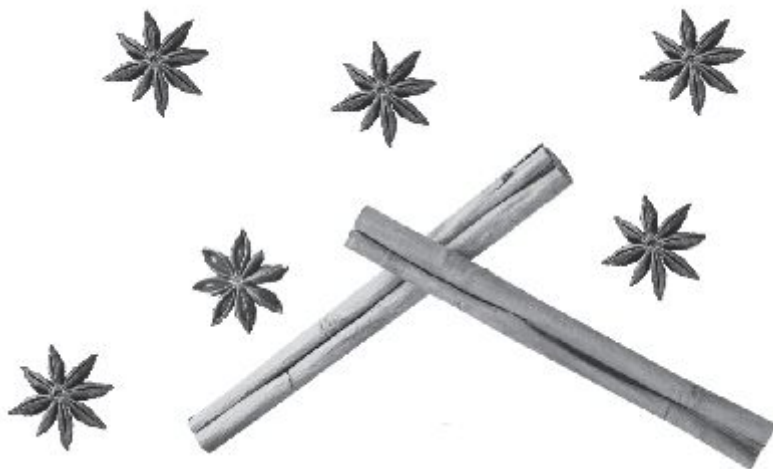
Gula w gardle podskoczyła aż pod ślinianki. Po krzyżu przeleciał lodowaty prąd, a krew z twarzy zupełnie mi odpłynęła.

– Co? – zapytałam nie swoim głosem.

– Chodzi o babcie – odparła miękko Lucyna. – Zasłała na ulicy i zabrała ją karetka. Jest w szpitalu, przytomna, ma dobrą opiekę.

Nie mogłam ruszyć żadnym mięśniem. Największy koszmar, najstraszniejszy lęk, który pojawiał się w moich myślach, właśnie się zmaterializował.

To tyle, jeśli chodzi o zostawienie życia poza granicami raju. Ono zawsze nas dopadnie. Dopadnie i wycisnie z nas wszystkie soki. Tylko dlatego, że może.



Rozdział 15

Dotarłam na warsztaty jak w transie. W głowie tłukły się myśli, od których mnie mdliło. Musiałam wyglądać tak, jak się czułam, bo na mój widok Monika zrobiła przerażoną minę.

Usiadłam z tyłu, tuż obok drzwi, z daleka od reszty, nie rozglądając się po sali. Dopiero po chwili przesunęłam wzrokiem po piętnaściorgu uczestników i parsknęłam.

– O Boże, czuję się jak na obozie dla grubasów – szepnęłam.

– Tak, a to dlaczego? – usłyszałam nad prawym ramieniem.

Spojrzałam w tamtym kierunku i zamarłam. Obok mnie stała kobieta, którą doskonale znałam. Zresztą – mało kto jej nie znał, była to bowiem jedna z najznamienitszych współczesnych pisarek, obsypywana nagrodami, wskazywana jako kandydatka do Nagrody Nobla. I właśnie ona stała teraz nade mną z uśmiechem błąkającym się po ustach.

– No... wie pani, te nasze koszulki – odpowiedziałam lekko drżącym głosem. – Taka segregacja: małe grubasy, średnie grubasy, grube grubasy i hardcore, że brakuje skali.

Roześmiała się perliście, odrzucając do tyłu głowę ozdobioną burzą białych loków. Nie wyglądała na swoje niemal sześćdziesiąt lat, była piękna w nieoczywisty sposób, cała jej postać emanowała subtelną urodą.

– A pani do której kategorii została zakwalifikowana? – zapytała, unosząc brwi.

No tak, zapomniałam włożyć swoją kanarkową koszulkę. Sięgnęłam na stojące obok krzeselko i uniosłam zapakowany w folię złoty nabytek.

– Niech ją pani włoży, bo to element naszych zajęć – szepnęła, puściła do mnie oko i ruszyła na przód sali, gdzie stał przygotowany podest z biurkiem i sprzętem nagłaśniającym. Gdy mijają kolejne rzędy krzeseł, po pomieszczeniu poniosły się pełne ekscytacji szepty.

Podczas gdy ja z nieskrywaną odrazą wciskałam przez głowę bawełniany T-shirt, Joanna Piekut przedstawiła się uczestnikom warsztatów i oznajmiła:

– Dzisiejszy blok zostanie poświęcony analizie nadesłanych przez państwa materiałów. Będzie to praca indywidualna, ale w ramach grupy, do której zostali państwo przydzieleni. Proszę, żeby usiedli państwo zgodnie z kolorami waszych strojów.

O matko... Cudownie. Rozejrzałam się, próbując zlokalizować pozostałe kanarki. Starsza pani z trwałą, czarnulka w koczku i... O, niech to drzwi ścisną! Patryk Zawisza, ależ oczywiście.

Nastąpiło szuranie krzeseł, ludzie zaczęli się tasować, ktoś się cieszył, ktoś był oburzony, ktoś inny chciał się zamienić.

Z żalem i złością opuściłam swoją strategiczną pozycję i przysiadłam się do drugiego rzędu, obok Patryka.

– Chyba jesteście sobie pisani – bąknęłam do niego.

Unióś kącik ust, ale nie skomentował. Rozłożył stolik przymocowany do krzesła i postawił na nim laptop. Ja zrobiłam to samo.

– Wszystkie grupy gotowe? – Upewniła się Piekut, spacerując wzdłuż rzędów. – Świetnie. Laptopy nie będą państwu potrzebne, dziś pracujemy na tekstach wydrukowanych. Rozdam państwu kartki i czerwone długopisy.

Wsunęłam komputer pod krzesło i z ciekawością czekałam na tekst. Pisarka rozdawała je pojedynczo, zgodnie z kolorami, jakimi zostały oznaczone kartki, odpowiadającymi barwom naszych koszulek.

– Pani? – zapytała mnie, przystając przy moim krześle.

– Dominika Cynamon.

– Proszę bardzo. – Wręczyła mi dwie kartki A4 i czerwony żelowy długopis. Następnie tekst dostał Patryk, po nim czarnulka, która nazywała się Paula Borowska, i na końcu dama z trwałą, czyli Danusia Smoczyńska.

Zerknęłam na zadrukowaną kartkę. Nie było oznaczenia autora, nie było tytułu, a sam tekst wyglądał jak wyrwana z kontekstu scena.

Przeczytałam pierwsze zdanie i poczułam mrowienie w karku. O cholera! Scena erotyczna! A to oznaczało, że ktoś właśnie czyta moją!

– Dostali państwo do analizy scenę erotyczną – potwierdziła moje przypuszczenia Piekut. – Waszym zadaniem jest ich zrecenzowanie, zachowując zasady krytyki literackiej.

– Redakcję językową też mamy zrobić? – odezwał się Patryk.

– Nie, panie Zawisza, redakcją językową będą się państwo zajmować z kimś innym – odpowiedziała z uprzejmym uśmiechem. – Skupiamy się na konstrukcji, psychologii, budowaniu napięcia i malowaniu emocjami.

Oh! W mojej scenie od emocji aż iskrzyło, a napięcie dało się kroić. Matko z córką, chyba zapadnę się pod ziemię...

Odpędziłam od siebie tę myśl i skupiłam się na tekście. Czytałam go powoli, delektując się niemal każdym słowem i wyobrażając sobie scenę, którą przedstawiał. Była to ładna scena, wysmakowana, niemal eteryczna, zupełnie inna niż te, które spotyka się w literaturze nazywanej erotyczną. Gdy czytałam fragment po raz drugi, zdałam sobie sprawę, że jest w nim coś znajomego. Coś otulającego serce delikatną mgiełką. Żadne tam: chwycił mnie za włosy, zatargał do jaskini i zdominował, aż padłam z wycieńczenia. Ze zdumieniem stwierdziłam, że

w mojej głowie to ja jestem bohaterką tej sceny, to moje uda drżą, a ciało napina się w oczekiwaniu na spełnienie. Spełnienie, które daje mi... Patryk.

Poczułam pąs wykwitający na policzkach, a oddech niebezpiecznie mi przyspieszył. Delikatne włoski na rękach uniosły się, jakby siedzący obok Zawisza wytwarzał pole magnetyczne. Może właśnie wytwarzał?

Zerknęłam na jego stolik. Kartka papieru zrobiła się pstrokata od znaczków, dopisków i uwag na marginesie. Co on tam tak skrzętnie zapisywał?

– Co robisz? – szepnęłam, pochylając się lekko.

– Dostałem kiepski tekst, wszystko do poprawy.

O matko, czy to mój?!

– Ale jak to: wszystko?

– Język drewniany, dialogi jak z kreskówki dla dzieci, bohaterki są zupełnie niewiarygodne, a opis ich zbliżenia nie jest ani trochę sensualny.

Bohaterki? Ufff, czyli to nie mój! W takim razie kreśl sobie, chłopie, do woli.

– A twój jak? – zapytał, nie odrywając wzroku od swojej kartki.

– Albo się nie znam, albo to jest świetny tekst – wyznałam ze skruczą. – Tu nawet przecinki stoją tam, gdzie powinny, a opis zbliżenia jest... bardzo sensualny.

Spojrzał na mnie z błyskiem w oku.

– Zadziałał na ciebie, co? – zapytał półgębkiem.

– Spada! – Klepnęłam go w ramię, usiłując ukryć zażenowanie.

– Nie ma czego się wstydzić, przecież tak właśnie powinno być. Pokaż.

Nie zdążyłam zaprotestować, kiedy sięgnął po kartkę leżącą na moim stoliku i zaczął czytać. Przez jego twarz przemknął jakiś cień i zwrócił mi tekst zaledwie po kilku sekundach.

– Już przeczytałeś? – zdumiałam się. – Nawet z drugiej strony? Co ty jesteś, Superman?

– Powiedzmy, że tyle mi wystarczy – mruknął i wrócił do swojej pracy.

Jego zachowanie zaczynało mnie coraz bardziej zastanawiać. Wcale nie twierdzę, że człowiek musi być wiecznie zadowolony i tryskać radością jak gejzer na Islandii. Ale żeby tak nagle przechodzić od sympatycznego gościa do pierwszozigowego gburą? Dziwne.

– Słuchaj, a czym ty się tak w ogóle zajmujesz? – zapytałam z głupia frant.

– Aktualnie naprawdę słabej jakości tekstem pseudoliterackim.

– A nie aktualnie? Czym się zajmowałeś w ubiegłą środę?

– Pracowałem.

Zgrzytnęłam zębami. Patrząc go: złośliwy bystrzacha. Nie chcesz gadać, to nie.

Skupiłam się na tekście i zaczęłam wypisywać mocne i słabsze strony, przy czym tych drugich szukałam na siłę. To była naprawdę dobrze napisana scena i chętnie przeczytałabym książkę, w której się znajduje. Jednocześnie wciąż odnosiłam wrażenie, że jest w niej coś znajomego, jakbym kiedyś już się z nią zetknęła, choć nie z nią dosłownie.

Pozostali kursanci kończyli już pracę i po sali niosły się dźwięki prowadzonych szeptem rozmów. Paula i Danusia także rozmawiały, tylko Patryk gryzmołił jak natchniony.

– Jeśli się uda, to jeszcze w tym roku zadebiutuję – pochwaliła się czarnowłosa Paula. Wyglądała na jakieś dwadzieścia pięć lat, była szczuplutka i filigranowa.

– To cudownie, gratuluje. A jaki gatunek?

– Romans mafijny – odparło dziewczę z wyraźną dumą.

Czyli porno – pomyślałam. Ble.

– A ty już coś wydałeś? – zapytałam Patryka.

Rzuciłam to pytanie ot tak, z czystej ciekawości, tymczasem on wyprostował się jak struna, a mięśnie na twarzy mu stężyły. Poczułam się, jakbym rąbnęła go w splot słoneczny.

– Wiele lat temu, opowiadanie w „Nowej Fantastyce” – odparł zimno.

– Czyli tylko ja jestem w tej bandzie zupełnym żółtodziobem? – zażartowałam, żeby rozładować napięcie. O co mu chodziło? Co ja takiego powiedziałam?

– Ja też jeszcze niczego nie wydałam, a nawet nie napisałam – odezwała się Danusia. – I chyba nie wydam, bo nie mam na tyle charyzmy, żeby rozpychać się łokciami.

– Ja wynajęłam agencję marketingową – pochwaliła się Paula.

– Agencję marketingową? – upewniłam się, że dobrze zrozumiałam.

– Yhy, tak jak Bonda. No wiesz: sesje zdjęciowe, billboardy, wywiady we wszystkich ważnych magazynach – tłumaczyła czarnulka. – W tym świecie musisz być widoczna, bo inaczej twoja książka zginie.

Wydawało się, że Patryk nie słuchał naszej rozmowy, jednak odezwał się teraz, ku mojemu zaskoczeniu mówiąc:

– Paula ma rację. W tym świecie trzeba mieć twardą dupę, dużo znajomości, upór osła i wielkie ego.

– O to, to! – podchwyciła Paula. – Mój agent mówi, że najważniejsze to wierzyć w siebie, bo jeśli ty uwierzysz, to inni też uwierzą.

– A ja całe życie myślałam, że najważniejszy jest talent – bąknęłam, czując znów ten sam niesmak.

Paula i Patryk spojrzeli na mnie, po czym prychnęli.

Naiwna Domi.

– Talent nie zaszkodzi. Ale o wiele ważniejszy jest potencjał – stwierdziła czarnulka.

– A do tego szczęście, układy, znajomości i pieniądze – dodał Patryk. – Jeśli chcesz odnieść sukces komercyjny, to pieniądze na pierwszym miejscu.

– Dlatego właśnie należy debiutować z dużymi wydawnictwami. – Siedząca za mną czterdziestolatka w fioletowej koszulce włączyła się do rozmowy. – Ja zadebiutowałam w niszowym, moja książka zebrała świetne recenzje, ale co z tego, skoro zarobiłam na niej tysiąc złotych przez dwa lata?

Ile? W jakim czasie?

– Co pani mówi? – wyszeptalam pobladłymi ustami. – Jak to jest możliwe?

Kobieta uśmiechnęła się smutno i wzruszyła ramionami.

– No właśnie tak. Pani myśli, że ile autor zarabia na egzemplarzu książki? To są grosze, ochłapy, że tak powiem.

Zainteresowanie toczącą się dyskusją przyciągnęło do nas członkinie pozostałych grup.

– Ale to i tak jeszcze nic – odezwała się Sylwia, która – o dziwo! – tym razem nie zapomniała spodni. – Napisałam książkę dla dzieci i tak się cieszyłam z tego, że ktoś chciał ją wydać, że podpisałam umowę bez konsultacji z prawnikiem. A to było przeniesienie praw, za które dostałam, uwaga: pięć tysięcy złotych.

Mnie akurat niewiele to mówiło, ale pozostali jęknęli z oburzeniem.

– A wiecie, ile egzemplarzy się sprzedało? – kontynuowała Sylwia. – Dwadzieścia pięć tysięcy. Dziękuję bardzo.

Spontaniczne zgromadzenie ludowe musiało w końcu przyciągnąć uwagę Joanny Piekut, toteż zbliżyła się do nas i przez chwilę przysłuchiwała się rozmowie. Zerkalam na nią jednym okiem, ale niczego nie udało mi się wywnioskować z jej miny.

– Wiecie, ja naprawdę na poważnie rozważam pisanie erotyków pod pseudonimem – wyznała Sylwia. Właściwie pasowałyby mi do tego scenariusza. – Tam są pieniądze, wydawcy łykają każdy paździerz jak młode pelikany, a popyt wcale nie maleje.

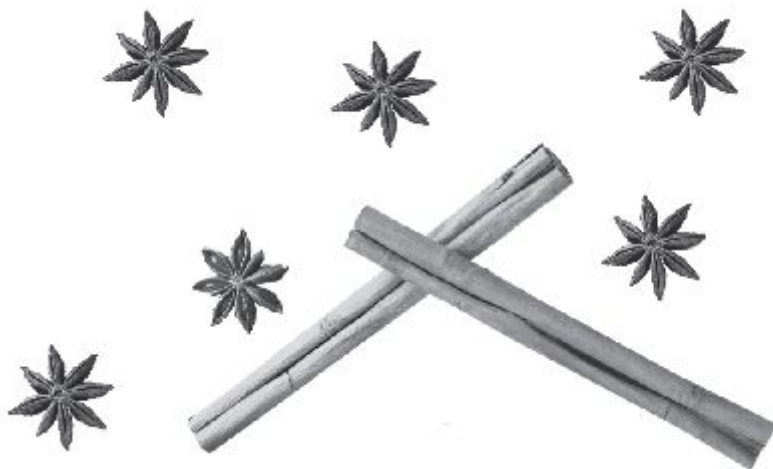
Trochę to było przerażające: myśl, że jedynym sposobem na utrzymanie się z pisania jest produkowanie kiepskiej jakości utworów pornograficznych, których wstydzą się nawet autorki, uciekając się do używania pseudonimów. Owa myśl przypomniała mi o książce Patricii McKnight, która przecież także nie istniała.

– Wiecie, jak bym się nazwała? – zawiesiła pytanie Sylwia, uśmiechając się szeroko. – Silvaine Fox. Rozumiecie: Sylwia Lis, Silvaine Fox.

Uśmiechnęłam się półgębkiem i nagle uśmiech spełził mi z ust. Spłynął, stopił się, wysublimował.

Silvaine Fox. Patricia McKnight.

A niech to szlag!



Rozdział 16

Dopiero teraz spojrzałam na Patryka, którego mina pozbawiła mnie jakichkolwiek wątpliwości. Nabrałam również przekonania, że tekst, który leżał przede mną, wyszedł spod jego ręki.

– Dobrze się czujesz? – zapytałam z jadowitą satysfakcją. Z jego idealnej twarzy odpłynęła krew, a usta zacisnęły się w wąską linię. Pokryta delikatnym zarostem szczęka pracowała nerwowo.

– Tak, tak, chyba dopadło mnie zmęczenie po podróży – zbył mnie, po czym odłożył długopis i odwrócił się do prowadzącej warsztat. – Jestem gotowy, możemy przejść do omawiania tekstów.

Joanna skinęła głową, choć z jej miny wyczytałam, że chętnie włączyłaby się do rozmowy na temat bolączek światka literackiego. Może uda się pociągnąć ją później za język.

Kolejną godzinę spędziliśmy na omawianiu dobrych i złych stron analizowanych przez nas tekstów, a co jakiś czas prowadząca prosiła o przeczytanie fragmentu. Na myśl o tym, że moje miłosne uniesienia zostaną zreferowane na forum, dostałam czegoś na kształt palpacji. Tymczasem niemal nie poznałam własnej pracy, tak obco brzmiała, gdy wymyślone przeze mnie zdania czytał ktoś inny.

– Pani Dominiko? – zwróciła się do mnie Joanna. To był już ostatni z szesnastu tekstów.

– Mówiąc szczerze, fragment, który otrzymałam, jest niemal perfekcyjny – oceniłam. – Widać, że autor lub autorka potrafi budować napięcie, znakomicie oddaje odczucia obojga bohaterów, a przede wszystkim trzyma się z daleka od wulgarności. Ta scena jest niezwykle smaczna i zaryzykuję twierdzenie, że napisała ją osoba mająca duże doświadczenie –

urwałam, a w sali rozległ się chichot. – Doświadczenie literackie – uzupełniłam z naciskiem. – Ale także doskonale wie, na czym polega idea seksu konsensualnego.

Nie zostałam poproszona o przeczytanie mojego fragmentu, bo czas zajęć dobiegł końca. Trochę szkoda, miałam nadzieję, że poznęcam się nad Patrykiem. Tak ty-ci-tyci.

Zawisza spakował się w ogromnym pośpiechu i wyszedł, jakby go gonili. Ja, swoim zwyczajem, zamarudziłam i opuściłam salę jako ostatnia.

– Dobra robota, pani Dominiko – pochwaliła mnie Piekut.

– Dziękuję, ale to był naprawdę świetnie napisany tekst.

– To prawda, podobnie jak ten, który pani przygotowała. – Uśmiechała się do mnie z sympatią. – Myślę, że pani debiut to już kwestia bardzo krótkiego czasu.

Serce podskakiwało mi z radości, a w uszach Freddie Mercury wyśpiewywał *We are the champions*. Jednak coś z tym ego było na rzeczy...

– Dziękuję i mam nadzieję, że to będą prorocze słowa.

– I powiem pani coś jeszcze, Dominiko – zniżyła głos do szeptu, niemal zrównując się ze mną. – To prawda, że ten świat jest polem walki i nieustającego udowadniania swojej wartości. Ale jeśli ma pani w sobie tę iskrę bożą, jeśli naprawdę chce pani pisać i publikować, niech się pani tym nie przejmuje. *Per aspera ad astra*, sukces w końcu przyjdzie, a naprawdę warto na niego poczekać.

Podziękowałam jej skinieniem, nie do końca rozumiejąc przesłanie, i ruszyłam przed siebie. Do kolacji pozostawało jeszcze trochę czasu, a wizja spędzenia go z nakręconą jak katarynka Moniką jakoś mnie odstraszała. Nogi same poniosły mnie do baru.

Na mój widok śniady barman zatrzymał się w bezruchu, po czym błysnął białymi zębami.

– *Nice T-shirt. It suits you!* – rzucił z zabawnym akcentem.

Spojrzałam na siebie i zrobiło mi się gorąco. No tak, niezwykle twarzowy kolor...

– *Well, we are in the Canary Islands, aren't we?* – odparłam z uśmiechem. Grunt to nie stracić zimnej krwi.

Chłopak roześmiał się i wystawił kciuk w górę, a ja szybko zdjęłam kanarkową szmatkę, żeby przypadkiem nie odstraszać turystów. Usiadłam na wysokim stołku i zamówiłam zimne piwo.

– Wyglądasz mi raczej na amatorkę wina – odezwał się ktoś po drugiej stronie okrągłego baru.

Wychyliłam się nieco i dostrzegłam Patryka. On także popijał piwo.

– Myślałam, że jesteś zmęczony i pójdziesz spać.

Barman postawił przede mną szklanekę z „una cerveza para una chica hermosa” (miałam nadzieję, że mnie nie obrażał, dopiero później sprawdziłam w słowniku) i ruszyłam w stronę Patryka.

– Wypiję jeszcze jedno i zasnę na barze – zażartował. W jego głosie usłyszałam smutne nuty i coś jak... zrezygnowanie?

– Poczekał chociaż do kolacji – poradziłam mu. – Jedzenie jest pyszne.

– Mhm – mruknął i pociągnął spory łyk z pokrytej wodą szklanki. Było tak ciepło, że nawet szkło się pociło. – Nie przepadam za tutejszą kuchnią, jestem fanem schabowych.

– W sekcji dla dzieci są frytki i nuggetsy.

Roześmiał się, ale zabrzmiało to sztucznie.

Barman zerkał na nas, wycierając szklanki, i pewnie zastanawiał się, czy coś nas łączy. Na mój gust wyglądaliśmy jak para po rozstaniu. On, spięty i trzymający dystans, i ja, nachalnie usiłująca go rozbawić. Swoją drogą po raz pierwszy w życiu tak się czułam, jakbym walczyła o uwagę faceta.

– Widzę, że nie jesteś bardzo rozmowny, zostawię cię na straży mojego piwa i pójdę zadzwonić do przyjaciółki – oznajmiłam i podniosłam się z krzesła.

Zawisza kiwnął głową i zasalutował.

Odeszłam kilka kroków i wybrałam numer Aśki z listy ostatnich połączeń. Stojący przede mną leżak znajdował się pod parasolem i zapewniał odrobinę cienia, więc ułożyłam się na nim wygodnie.

– Nie spodziewałam się, że oddzwonisz – usłyszałam w słuchawce. Nie był to głos Aśki i z pewnością ona nie mówiłaby o sobie w rodzaju męskim.

Oderwałam telefon od ucha i spojrzałam na ekran. „Michał były”. Szlag by to trafił! Musiałam wcisnąć nie to, co chciałam...

– Cieszę się, że wciąż potrafisz cię zaskoczyć – rzuciłam zimno. – Po co dzwoniłeś?

– Podobno spotkałaś moją siostrę na lotnisku?

O jasna cholera! Wiedziałam, wiedziałam, że ta pleciuga Sabina natychmiast doniesie swojemu braciszskowi.

– Podobno – odparłam sucho. – A co, to zabronione? W kodeksie byłych?

– Słuchaj, Domi, chciałem cię tylko ostrzec. – Chyba go zirytowałam tym swoim sarkazmem. Phi.

– Dziękuję za troskę, ale całkiem nieźle sobie radzę.

– Taaa, słyszałem właśnie. Myślałem, że nie bawisz się w zajętych facetów.

Zrobiło mi się niedobrze. Resztką silnej woli powstrzymałam się przed spojrzeniem na Patryka.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Znowu coś ćpiesz? – wysyczałam.

– Nie bądź złośliwa, ja naprawdę się o ciebie martwię. Myślałem, że po tym, co cię spotkało, będziesz miała więcej zrozumienia dla zdradzanych kobiet.

– Pierdol się, Michał! – krzyknęłam, czując, jak łzy wściekłości napływają mi do oczu. Rozłączyłam się i natychmiast zablokowałam jego numer.

Nie byłam w stanie zadzwonić do Aśki, nie chciałam się rozkleić. Nie tu, nie teraz.

Wyłączyłam telefon, wzięłam kilka głębokich wdechów i otarłam łzy. Nie rozkleję się, mowy nie ma! Niech go piekło pochłonie!

Wróciłam do Patryka, który zdążył już wypić swoje piwo i właśnie zaczynał kolejne.

– Poczekaj na mnie, ja też mam ochotę się upić – rzuciłam z uśmiechem.

– Na smutno czy na wesoło? – zapytał, odsuwając szklankę od ust.

– To zależy. Jeśli uda ci się mnie rozbawić, to na wesoło.

– Okej, *challenge accepted!*

Stuknęliśmy się szklankami i wypiliśmy zawartość swojej niemal jednym haustem. Bardzo chciało mi się pić, to po pierwsze, a po drugie: naprawdę czułam potrzebę zapicia wrażeń.

– Zagrajmy w dziesięć pytań – zaproponowałam. – Musimy udzielać szczerych i prawdziwych odpowiedzi.

Zawahał się.

– Nie wydaje ci się to lepsze niż nudne *small talk*? Poza tym – kusiłam – istnieje duża szansa, że jutro nie będziemy tego pamiętać.

– Zgoda – odpowiedział miękko. – Zaczynasz.

Zamówiłam kolejne piwo, zastanawiając się, od czego zacząć. Chciałam go zapytać o wiele rzeczy, ale na niektóre byłam zbyt trzeźwa. A na niektóre pewnie nigdy nie będę wystarczająco pijana...

– W skali od jeden do dziesięciu, jak bardzo chcesz być pisarzem? – To pytanie wydało mi się wystarczająco nijakie na początek. I pasowało do okoliczności.

– Jeśli chodzi o to, jak bardzo chciałbym pisać i wydawać książki, to odpowiedź brzmi: dziesięć. – Upił łyk piwa. – Ale jeśli chodzi o istnienie na rynku wydawniczym, wchodzenie w interakcje z innymi autorami, promowanie się, to moje chęci oscylują wokół zera.

– Czyli średnio wychodzi piątka – stwierdziłam. – To słaba rekomendacja dla aspirującej pisarki.

– Chciałaś prawdę, to ją masz – odparł, wzruszając ramionami. – Może ja po prostu się do tego nie nadaję, jestem zbyt ufną, naiwną albo zwyczajnie głupią.

Z całą pewnością nie nazwałabym go głupim, a jeśli chodzi o ufność i naiwność, z powodzeniem mogliśmy podać sobie ręce.

– Dobra, teraz twoja kolej – zachęciłam go.

– Dlaczego zerwałeś z Michałem?

Noooo, tego się nie spodziewałam. On chyba też nie, bo ledwo zadał to pytanie, a jego twarz oblała się rumieńcem. Jednak umówiliśmy się na szczerotę, a ja słowa dotrzymuję.

– Michał... nie miał w sobie tego, czego szukam u faceta. Był taki... Jak by ci to wytłumaczyć? Spolegliwy? Nadgorliwy? Wszystko robił „za bardzo”? Nie wiem, czy rozumiesz, co mam na myśli.

Potrząsnął głową. Z zawstydzeniem zarejestrowałam, że wpatruje się we mnie tymi czarnymi oczami, a ja marzę o tym, żeby nigdy nie przestawał.

– Na początku wydawało mi się, że jest dobrze wychowany, szarmancki. Odsuwał krzesło, żebym usiadła, całował rączki, podawał płaszczyk i robił śniadanie do łóżka. A potem... – Przed oczami stanęły mi dni, kiedy modliłam się tylko o to, żeby akurat musiał wyjechać w delegację albo zostać po godzinach. – Osaczał mnie, nie dawał oddechu, uprzedzał moje myśli i sprawiał, że czułam się jak niepełnosprawna. Wszędzie, gdziekolwiek się obróciłam, był on. To było niemal jak stalking. A potem mi się oświadczył...

– Oświadczył? – Zawisza wyglądała na szczerze zdumionego.

– I prawie zemdłał, kiedy mu odmówiłam. Oskarżył mnie wtedy, że mam kogoś innego.

– A miałaś?

– Nie – odparłam natychmiast. – Nigdy nikogo nie zdradziłam, bo za dobrze wiem, jak czuje się osoba zdradzana. Ja po prostu nie zamierzam wychodzić za mąż.

– Nigdy?

– Nigdy. Za dużo tych pytań pomocniczych, hej! Teraz moja kolej. Dlaczego ukrywasz się pod pseudonimem?

Spodziewałam się, że się wścieknie albo zemdleje, albo zwyczajnie wstanie i bez słowa mnie opuści. Tymczasem on najwyraźniej spodziewał się tego pytania.

– Co mnie zdradziło?

– Twój tekst na zajęcia. Byłam pewna, że już zetknęłam się z tym stylem, że znam ten sposób budowania napięcia. Nie wiedziałam tylko skąd. A potem Sylwia powiedziała o pseudonimie i puzzle wskoczyły na swoje miejsca. Powinłam była domyślić się już w księgarni. Kto tropi literówki w erotyku?!

– Zaskakujesz mnie – stwierdził ze śmiechem i spojrzał mi w oczy. – Nie posądzam cię o czytanie tego rodzaju literatury.

– Podziękuj mojej matce, sama pewnie nigdy bym po nią nie sięgnęła – odpowiedziałam, odwzajemniając uśmiech. – Ale masz wierną fankę w osobie mojej przyjaciółki.

– To teraz moja kolej na drugie pytanie.

– O, nie, nie, mój panie! – zaproponowałam tak ekspresywnie, że chlapanęłam piwem na swoje kolana. – Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, to był jedynie unik. Inteligentny, ale wciąż oszustwo.

Zawisza pokręcił głową, ale wydawał się szczerze rozbawiony.

– Moja siostra, jedna z moich siostr, wpadła na ten pomysł. Na początku to miał być jedynie żart, trochę zabawa, nie spodziewałem się, że ktoś to wyda. Facet piszący romanse? Karolina, ta moja siostra, powiedziała, żebym wysłał to jako kobieta. I zażarło.

– Ale? – W tonie jego wyznania czaił się smutek, jakaś gorycz, którą wyczuwałam już wcześniej.

– Ale to w zasadzie żadna frajda, żeby nie móc ujawnić się jako autor. W końcu to ja napisałem te książki, to moja praca, a nie jakiejś Patricii McKnight.

– No to się ujawnij! Kobiety oszaleją, gdy okaże się, że ich idolka jest w rzeczywistości mężczyzną o wyglądzie hollywoodzkiej gwiazdy.

– Niestety to akurat jest niemożliwe – stwierdził cicho. – Mój wydawca nie chce nawet o tym słyszeć, a w przypadku złamania przeze mnie postanowień umowy grożą mi potworne kary, o sprawach sądowych nie wspominając. Wydali mnóstwo pieniędzy, żeby wypromować autorkę widmo.

– Cholera, to trochę pat... – podsumowałam z rezygnacją, po czym mnie olśniło: – Hej, przecież możesz wydawać pod własnym nazwiskiem zupełnie inne książki, nie musisz rezygnować z tej całej Patricii.

– Myślisz, że nie próbowałem? Nie zliczę, od ilu drzwi się odbiłem, ilu wydawców mnie złało, nawet nie udzielając odpowiedzi. Dla nich jestem debiutantem, a debiutanci na rynku mają jeszcze większą konkurencję niż publikujący autorzy.

– Rozumiem, że te wszystkie bestsellery musisz przemilczeć? – domyśliłam się.

Pokiwał głową i wlał w siebie pół szklanki piwa. Barman nie czekał na zamówienie, po prostu postawił kolejne przed Patrykiem.

– Ale przecież ty świetnie piszesz! Dlaczego odrzucają twoje teksty? Czy oni są nienormalni? – oburzałam się, choć teraz już pałeczkę przejmował płynący w moich żyłach alkohol.

– To nie były dobre teksty – wyznał Zawisza. – Mówiłem ci, że nie potrafię pisać o życiu, może dlatego, że moje własne życie jest tak mało inspirujące? Jestem nudny jak flaki z olejem i jedynie te romanse pozwalały mi przenosić się do świata wyobraźni, w którym dzieją się rzeczy dalekie od rzeczywistych.

– A co właściwie chciałbyś napisać? – Było to kolejne pytanie, grałam trochę nieregularnie, ale on zdawał się tego nie zauważać.

– Czuję potrzebę opowiedzenia prawdziwej historii, o prawdziwych ludziach, prawdziwych emocjach, ale wciąż brakuje mi inspiracji. Tę scenę, nad którą dziś pracowałam, napisałem po... naszej wspólnej nocy.

Serio? O mój Boże! Jeśli on tak zapamiętał te nasze szaleństwa, to ja chcę być bohaterką całej serii jego książek!

– Wow. – Tyle udało mi się wydusić.

– Dlatego właśnie zgłosiłem się na ten kurs: miałem nadzieję, że mnie zainspiruje. I kto wie, może tak właśnie będzie.

Łamaną angielszczyzną barman powiadomił nas, że zaczęła się kolacja. Ja wciąż czułam obiad w każdej komórce swojego ciała, ale Patryk musiał być bardzo głodny. Dopiliśmy piwo i umówiliśmy się na dokończenie gry po kolacji. Ja poszłam się przebrać, bo wraz z zachodem słońca zrobiło się chłodno, a Zawisza skierował się do restauracji po drugiej stronie kompleksu.

Czekałam na niego niemal dwie godziny, a gdy wciąż nie zjawiał się w barze, postanowiłam sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Recepcjonista z uporem maniaka odmawiał podania mi numeru pokoju, ale na szczęście miałam Monikę.

– Patryk? Ostatnie drzwi w naszym korytarzu – oznajmiła, jakby to była rzecz tak oczywista jak fakt, że Ziemia jest okrągła. – Ale na twoim miejscu raczej bym tam nie szła.

– Dlaczego? – zapytałam zdumiona. Przecież rozstawaliśmy się w świetnych nastrojach!

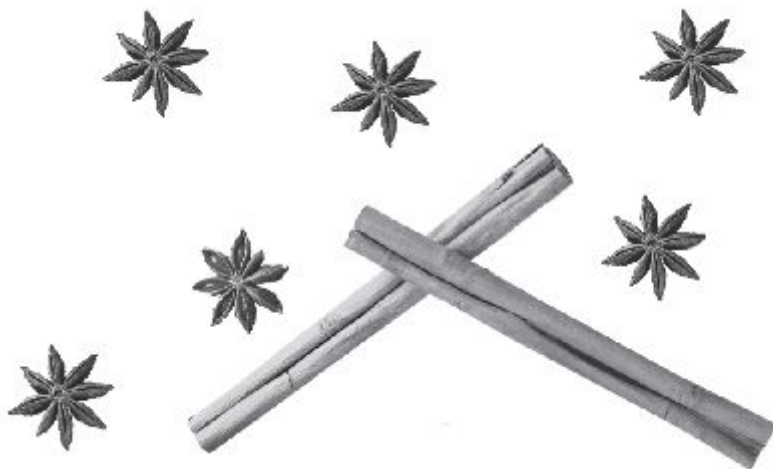
– Blanka, ta blogerka, strasznie się z nim pozarła. Niezła była awantura, Grażyna musiała interweniować.

Pał licho, że nie miałam pojęcia, jaka Blanka, ale awantura? Patryk i awantura?

Co tu się, u diabła, działo?

Pognałam korytarzem do pokoju, który według wiedzy Moniki miał zajmować Patryk, i zaczęłam walić pięściami w drzwi.

– Patryk! Zawisza! To ja, Domi! Otwieraj!



Rozdział 17

- Odejdź – usłyszałam przez drzwi.
- Otwieraj! – powtórzyłam ze złością.
- Odejdź, Domi, proszę...
- Jeśli nie otworzysz, to wejść oknem – zagroziłam. – Przypominam ci, że to jest parter, a z przodu mamy taras.

Każdy głupi by się zorientował, że wystarczyłoby zamknąć okno i wtedy mogłabym kwitnąć na tarasie do uśmiechniętej śmierci, ale Zawisza, choć głupi przecież nie był, przejął się moim blefem i otworzył drzwi. Albo po prostu chciał mi oszczędzić wstydu, a sobie przy okazji.

- Włóż – rzucił głosem tak zimnym jak moje stopy w temperaturze poniżej dwudziestu stopni.

Zamknęłam za sobą drzwi i zrobiłam krok do wnętrza pokoju identycznego jak ten, który dzieliłam z Moniką. Tu również stały dwa łóżka, ale tylko na jednym widać było ślady czyjejś wcześniejszej obecności.

Patryk stał do mnie tyłem, naprzeciwko okna, a wpadające przez nie światło ogrodowych latarni tworzyło dookoła jego sylwetki złotawą aureolę.

- Co się dzieje? Czekałam na ciebie dwie godziny, wydoiłam chyba cały zapas lemoniady ogórkowej.

- Przepraszam. Nie byłbym dobrym kompanem.

Krew mnie załała.

- Zdaje się, że to ja powinnam to ocenić – warknęłam mało sympatycznie. – Monika powiedziała, że coś się stało w trakcie kolacji. Z jakąś Blanką?

– Nie powinno było do tego dojść, poniosło mnie – odpowiedział cicho. – Naprawdę wolałbym zostać sam, Domi.

– Pójdę sobie, jeśli mnie przekonasz, że wszystko z tobą w porządku. – Nie wiem, dlaczego to powiedziałam, bo nie miałam najmniejszego zamiaru zostawiać go samego.

– Będzie w porządku. Obiecuję.

– Patryk! – krzyknęłam, tracąc resztki opanowania. – Powiedziałeś mi o swoim literackim alter ego, a nie możesz powiedzieć, co zrobiła jakaś kretynka? Co z tobą, Patricio McKnight, do cholery?!

Odwrócił się do mnie i zbliżył tak szybko, że aż mnie wystraszył. Jego twarz, ta piękna, zachwycająca twarz, wyglądała jak maska pośmiertna – blada, zapadnięta, smutna.

– Jezu, ty płaczesz? – wyszeptalam, odruchowo wyciągając rękę, żeby dotknąć jego policzka. Nie zrobił uniku, nie cofnął się. Pozwolił mi pogłodzić tę szorstką szczecinę.

– Przepraszam. Chłopaki też płaczą. Tyle że rzadko to pokazują.

– Jeśli boisz się, że uważam cię teraz za mniej męskiego, to jesteś cymbałem – odparowałam natychmiast. – Fikołki w łóżku potrafi robić każdy bezmózg, a tylko odważni i pewni siebie ludzie nie wstydzą się swoich emocji.

Uśmiechnął się do mnie, a ja poczułam dojmującą potrzebę pocałowania go. Czule, z troską, a później coraz namiętniej, intensywniej, aż do...

– Nie, Domi. Nie możemy – oznajmił z zaskakującą ostrością. – Wybacz, jeśli wysłałem ci inny sygnał, naprawdę nie możemy.

Ach, więc tak musi się czuć osoba, której ktoś wylał na głowę wiadro lodowatej wody... Niewidzialne szpilki przenikały moją skórę, a każda kolejna wywoływała większy ból niż poprzednia.

– Rozumiem – odpowiedziałam głucho. „Zostańmy przyjaciółmi”.

– Nie, nie rozumiesz, ale naprawdę tak będzie lepiej. Tak powinno być.

– Do diabła z pewnością! – krzyknęłam, zaciskając pięści. – Właśnie wykastrowałeś mnie z kobiecości, chyba należy mi się jakiegokolwiek wyjaśnienie?

Zaskoczyłam go. Zarówno wybuchem, jak i jego treścią. Nic mnie to jednak nie obchodziło, ten dzień był jedną wielką lawiną zaskoczeń, ciosów, mentalnych gwałtów i ujawniania obrzydliwych prawd. Miałam dość. Może i chciałam go pocałować, w końcu trochę szumiało mi w głowie, a on sprawiał, że podbrzusze przyjemnie mi falowało, ale, do jasnej cholery, niech ja się w końcu dowiem, dlaczego zachowuje się, jakbym była trędowata!

Stał przez chwilę przede mną, z rękami w kieszeniach lnianych spodni i wzrokiem utkwionym w podłogę, jakby godził się z trudnym wyrokiem. W końcu podniósł głowę i zapytał:

– Pójdiesz ze mną na spacer? Muszę się przewietrzyć, uspokoić myśli.

– Pójdę. W życiu nie puszcę cię samego w takim stanie. – Posłał mi błądy uśmiech i pokiwał głową. – Idę po jakieś okrycie wierzchnie, a ty czekaj pod recepcją. Ani się waz zabunkrować w tym pokoju, bo cię za kudły wyciągnę.

Wyszliśmy razem. Odczekałam, aż Zawisza zamknie drzwi, po czym ruszyliśmy w stronę recepcji.

– Zajmie mi to minutę, więc nie próbuj żadnych sztuczek!

Znów pokiwał głową, zupełnie zrezygnowany, ale nie ruszył się z miejsca. Oparł się o ścianę i włożył ręce do kieszeni.

– Zaczekam tutaj, recepcjonista działa mi na nerwy swoim „hapi, senior?”. Mam ochotę odpowiedzieć mu bardzo brzydko.

W sumie nie zaszkodziłoby odpowiedzenie mu brzydko, choćby za to, że nie chciał podać mi numeru pokoju Patryka. Przy najbliższej okazji nawrzucam mu po polsku, niech se, chłopina, sprawdza w translatorze.

Monika, zaskoczona moim nad wyraz energicznym wejściem do pokoju, podniosła zdumione spojrzenie znad książki.

Rzuciłam się na walizkę, wyjęłam z niej pogniecione dresowe spodnie i bluzę z kapturem, każde z innej parafii. W tempie nadekspresowym zrzuciłam z siebie sukienkę i wciągnęłam spodnie, o mało nie rozrywając ich w kroku. Zdaje się, że musiały skurczyć się w praniu. Zdecydowanie...

– Idziesz na imprezę w barze? – spytała moja współlokatorka, ale po otaksowaniu mojego stroju sama sobie odpowiedziała: – Nie, w takich szarawarach to można iść jedynie topić smutki.

– Nie czekaj na mnie! – rzuciłam, wychodząc.

– Oho, czyli dużo smutków... – skostatowała i wróciła do lektury.

– Gotowa. Idziemy! – wydałam rozkaz Patrykowi, który stał w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiłam.

Zawisza zerknął na moje spodnie i uśmiechnął się szczerze.

– Bardzo ładna stylówka – zakpił.

– Odwal się. Na randkę nie idę.

Miał być żart, tymczasem na jego twarzy znów pojawił się ten tragiczny wyraz, na który moje ciało reagowało potrzebą przytulenia go.

Ruszyliśmy żwawo, bez słowa minęliśmy recepcjonistę, nawet nie zaszczycając go spojrzeniem, za to jego spojrzenie czułam na swoich plecach nawet po wyjściu z hotelu.

– Teraz gdzie? – zapytałam, bo orientację w terenie miałam znakomitą, w stopniu identycznym ze znajomością trygonometrii.

– W prawo, idziemy na plażę.

Podał mi ramię, a ja ochoczo się go uchwyciłam, licząc na to, że ujrzenie mnie pod rękę z takim ciachem odrobinę złagodzi niesmak, jaki niewątpliwie musiały wywoływać moje pogniecione i sprane spodnie, używane najczęściej do wykonywania prac domowych.

Szliśmy wzdłuż nabrzeża, składającego się w przewodze z kamiennych klifów. Ocean szumiał w dole, stanowiąc przyjemne tło dźwiękowe dla roztaczającego się krajobrazu. W odróżnieniu od Patryka ja zachwycałam się wszystkim: rosnącymi co krok drzewkami cytrynowymi, kaktusami o średnicy dębu Bartek, równiutko ułożonymi płytami chodnikowymi, ślicznymi śródziemnomorskimi domami porośniętymi kwitnącymi pnączami, a w końcu zobaczyłam plażę i omal nie padłam z wrażenia.

– To piasek przywieziony z Sahary – poinformował mnie Zawisza. – Ale całkiem niedaleko znajduje się czarna plaża, tylko po ciemku raczej nie zrobi właściwego wrażenia.

Piasek z Sahary, o mamuniu! To jakby być w dwóch miejscach równocześnie!

– Aśka pęknie z zazdrości, kiedy jej o tym wszystkim opowiem.

– Aśka to twoja przyjaciółka? – domyślił się.

– Tak, i Anki. Była ze mną na tej imprezie, z której wyszliśmy razem. Taka ruda piękność, musiałeś ją zauważyć.

– Nie patrzyłem na inne kobiety – wypalił, ale chyba tego nie przemyślał, bo zamilkł nagle.

Podziękowałam opatrności, że było ciemno, nie mógł więc zauważyć rumieńca, jakim momentalnie się pokryłam.

– Słuchaj, Patryku – zaczęłam, przełamując wewnętrzny opór. – Trochę się gubię w tej naszej sytuacji. Z jednej strony zachowujesz się, jakbyś chciał...

– Nie kończ – przerwał mi ostro. Szybko jednak złagodził swój ton i dodał: – Żałuję, że nie poznaliśmy się wcześniej. Gdybym miał możliwość cofnięcia czasu, zrobiłbym to bez wahania. – Zatrzymał się i delikatnie wyjął moją rękę spod swojej, po czym uniósł moją twarz, chwytając ją delikatnie pod brodą. – Jesteś cudowną dziewczyną i nigdy nie było mi z nikim lepiej w łóżku. Ale są pewne okoliczności, o których nie mogę ci powiedzieć, a które sprawiają, że między nami nie może być niczego poza przyjaźnią.

– Chciałbyś cofnąć czas, żeby... żebyśmy nie poszli ze sobą do łóżka? – Na podłogę, na fotel, na biurko.

– Nie, głuptasie! – Zaśmiał się cicho. – Chciałbym cofnąć czas, żebyśmy mogli chodzić do niego regularnie.

Zdarzało mi się już czuć mdłości mentalne. Zdarzało mi się płakać, bo zobaczyłam plamę na ulubionej sukience. Nigdy jednak nie zdarzyło mi się płakać ze wzruszenia. Nie przy facecie.

– Nie rozumiem. Nic z tego nie rozumiem! – wyszeptałam i łzy same popłynęły rwałym strumieniem.

Patryk przyciągnął mnie do siebie i przytulił. Tak jak przytula się kogoś, kogo chce się zapewnić o swojej miłości. Czułam jego galopujące serce, czułam siłę jego ramion, a przez to ryczałam jeszcze bardziej. Choć właściwie nie wiedziałam, co opłakuję.

– Chcesz wiedzieć, co się wydarzyło na kolacji? – zapytał szeptem, tuż nad moją głową.

– Mhm.

– To obiecaj, że przestaniesz płakać.

Obiecałam, ale skrzyżowałam palce na plecach. Skąd miałam wiedzieć, czy znów nie doprowadzi mnie do łez?

Zeszliśmy po schodkach, Patryk oświetlał drogę latarką w telefonie, i usiedliśmy na leżakach. Nie byliśmy jedynymi amatorami nocnego plażowania, jednak wciąż było miło.

– Blanka Nowacka to znana blogerka książkowa – zaczął, ułożywszy się wygodnie na leżaku. Ręce splótł pod głową i patrzył w rozgwieżdżone niebo. – Nasze drogi zawodowe przecięły się wiele lat temu, krótko po moim debiucie. Wymieniliśmy kilka wiadomości na Instagramie...

– Czekaj, jako ty? Czy jako Patricia? – przerwałam mu. No musiałam, prawda?

– Jako ja, ustaliliśmy z wydawcą, że będę występował jako impresario Patricii i odpowiadał za kontakty z mediami. W ten sposób mam wpływ na to, co się dzieje. Wydawało mi się, że mamy ze sobą dobry kontakt, spotkaliśmy się przy okazji kilku edycji targów, raz nawet poszliśmy na kawę: nic zobowiązującego.

Na razie brzmiało normalnie. Nie ma o co się awanturować...

– Przy okazji mojej ostatniej premiery – kontynuował – poprosiłem ją o kilka dodatkowych działań, oczywiście za dodatkową zapłatą. Nie zgodziła się od razu,

zapropowała wspólny obiad. Nie byłem do tego przekonany, ale mój wydawca się uparł i musiałem iść. – Zrobił przerwę i unosił oparcie leżaka. Teraz siedział, a ręce splótł na piersiach. Oho, zaczyna się robić poważnie. – Poszedłem więc na ten obiad, w trakcie którego okazało się, że Blanka wymarzyła sobie kolację. Ze śniadaniem.

Wciągnęłam powietrze z głośnym świstem. A to bładź! Chociaż, może nie powinnam jej surowo oceniać, wcale nie jestem lepsza, a już na pewno moje marzenia nie są lepsze...

– Próbowalem bardzo delikatnie jej to wyperswadować: kontakty służbowe, etos zawodowy, blablaba.

– Ona raczej z tych mniej etycznych? – domyśliłam się.

– No widzisz, byłem przekonany, że udało mi się przemówić jej do rozsądku, że rozumiała. Ale po kilku tygodniach zaczęły do mnie docierać dziwne plotki.

– Ojej!

– Ojej, żebyś wiedziała. Z różnych źródeł dowiadywałem się, jak to biedna Blanka została przeze mnie omamiona, zbałamucona, a następnie porzucona. Mało tego: zaczęła rozpowiadać, że mam jej nagie zdjęcia, które pokazują ludziom z branży, a nawet – zrobił dramatyczną pauzę – usiłuję tymi zdjęciami uwieść inne blogerki i autorki.

– Ale... że jak? Że jak niby golizna jednej baby ma przekonać inną babę, żeby wskoczyła ci do łóżka? – No? Jak, hę?

Patryk rozłożył ręce i prychnął.

– A bo ja wiem? Może mówię: „Patrz, kotku, kogo mogę mieć w łóżku. Nie bądź głupia, to dla ciebie komplement”.

Parsknęłam śmiechem, bardziej z zażenowania niż rozbawienia.

– Z całym szacunkiem, ale ty akurat nie musiałbyś żadnego kotka namawiać, twój problem raczej jest odwrotny.

Zawisza wzruszył ramionami i znów zapatrzył się w niebo.

– Jej się wydaje, że ty i ja jesteśmy parą, i dlatego dziś na mnie naskoczyła – wyznał. – Po raz pierwszy w życiu miałem ochotę uderzyć kobietę.

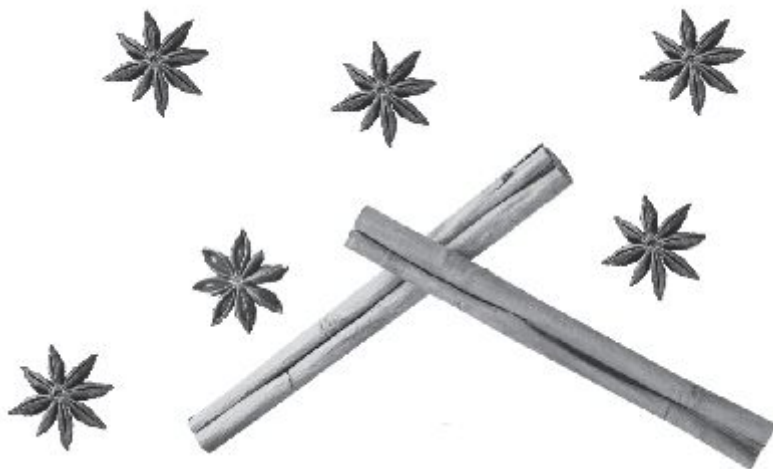
No i wcale się nie dziwię! Jak pragnę urosnąć, dowiem się, która to Blanka, i tak jej napyskuję, że jej blogerskie uszy spuchną. Głupie, zawistne babsko!

– Ale to nie przez nią... no wiesz? – zapytałam, przerażona tą myślą.

– Nie. I nie zaprzataj sobie tym głowy. Teraz twoja kolej na wyznanie.

– Hm? – Nie zrozumiałam. Żadnej Blanki w życiorysie nie miałam, gołych zdjęć także.

– Gramy w dziesięć pytań, pamiętasz? – rzucił zadziornie. – A więc powiedz mi, moja droga Domi, o co chodzi z twoją matką?



Rozdział 18

– „O co chodzi z moją matką” byłoby znakomitym tytułem na książkę – odpowiedziałam burkliwie. I już nawet nie dlatego, że akurat o matce nie miałam ochoty mówić, ale sama wciąż nie doszłam do tego, o co z nią właściwie chodzi.

– Ha! Czyli już pierwszy dzień ekskluzywnego kursu pisarskiego przyniósł efekty – zaszydził. – Ja zwykle mam problem z wymyślaniem tytułów, a raz zdarzyło się nawet, że zmieniliśmy go w ostatniej chwili przed drukiem.

– Nie żartuj sobie, ja mówię poważnie: moja matka to wdzięczny temat na jakieś ckiwe romansidło, albo i całą serię romansideł. – Teraz to ja splotłam ręce na piersiach, a do tego skrzyżowałam nogi. Łypnęłam na Patryka spode łba i zagotowało się we mnie. Drań rechotał! – Przepraszam, czy ja cię bawię?

– Trochę – wyznał z rozbijającą szczerością. – Musiałabyś zobaczyć swoją minę, wyglądasz jak naburmuszony dzieciak.

Phi!

I jeszcze raz: phi!

Ja się z niego nie śmiałam, kiedy ryczał jak baba!

– No, nie dąsaj się, obiecuję od teraz być poważny jak kat podczas egzekucji.

Parsknęłam głośno, wyobraziwszy go sobie odzianego w strój średniowiecznego kata. Szkoda byłoby zakrywać taką facjatę spiczastym kapturem.

– To jak będzie? – zapytał miękko. – Opowiesz mi tę książkę?

Westchnęłam niczym osiemnastowieczna hrabianka.

– Okej, ale ostrzegam: to nie będzie wzruszająca i ckiwa saga rodzinna, a w dodatku na happy end nie masz co liczyć. Dopiero rozprawiam się z niektórymi demonami.

– Pokaż mi rodzinę bez demonów, a zatańczę w *Jeziorko Łabędzim* – odparł całkiem poważnie.

No dobra, w rajtkach wcale nie chciałąbym go oglądać.

– Istnieje możliwość, że ta opowieść będzie odrobinę nieskładna, bo nie wszystkie jej elementy zdążyłam przyporządkować we właściwe miejsca – zastrzegłam. Miałam też nadzieję, że moje uczucia, wśród których dominowały żal, złość i nagromadzone przez lata pretensje, nie zdominują tej historii. Chociaż właściwie dlaczego nie? – Lucyna Cynamon po raz pierwszy została zaskoczona przez życie, kiedy okazało się, że seks bez zabezpieczenia może skutkować nieplanowaną ciążą. Miała wtedy zaledwie szesnaście lat.

Usłyszałam, że Patryk poruszył się na leżaku, po chwili znów opuścił oparcie do pozycji poziomej i rzucił:

– No, no, naprawdę niezły początek. Szkoda, że nie mamy piwa.

bbNawet dobrze, że nie mieliśmy tego piwa, bo nasz wieczór pod gołym niebem pewnie zakończyłby się gigantycznym kacem następnego dnia, a do tego przecież nie mogliśmy dopuścić. Pomijam już fakt, że po alkoholu w towarzystwie Patryka robiłam się całusna, co w zaistniałych okolicznościach byłoby bardzo niepożądane.

Wbrew obawom opowieść o mojej matce popłynęła gładko i tylko co pewien czas Zawisza dopytywał o jakieś szczegóły, na końcu zaś stwierdził:

– Wygląda na to, że wyrobiłaś sobie opinię bez poznania wszystkich niezbędnych faktów, a to droga donikąd, czego skutkiem jest twój niesprawiedliwy osąd.

– A nie wydaje ci się, że trzymanie mnie z dala od prawdy również było niesprawiedliwe? – próbowałam się bronić. – Może gdybym wiedziała od początku, że moja matka nie miała wyboru, ja sama dokonałabym innych?

– Z całym szacunkiem, Domi, ale kilkuletni dzieciak nie jest w stanie zrozumieć, że jego dziadek był idiotą, hazardzistą i pijakiem, przez co stracił dom, w którym żyła jego rodzina – tłumaczył, jakbym rzeczywiście była kilkuletnim dzieciakiem. – Ta propozycja wyjazdu do Stanów była jak łut szczęścia, nie sądzisz?

Wcale tak nie sądziłam. Czy opuszczenie dziecka można nazwać łutem szczęścia? Od kotłujących mi się w głowie myśli zaczynałam odczuwać mdłości.

– A tak z ciekawości: ty myślałaś, że gdzie jest twój dziadek, kiedy naprawdę siedział w więzieniu?

– Babcia mówiła, że jest w „zakładzie” – mruknęłam. – A ja wyobrażałam sobie, że to jakaś klinika albo hospicjum. Pod koniec życia faktycznie trafił do hospicjum, a mnie nigdy nie zastanowiło, w jaki sposób babcia ze swojej emerytury jest w stanie za to płacić.

– Był dla ciebie dobry? Kiedy jeszcze z wami mieszkał?

Musiałam głęboko się zastanowić, nim odpowiedziałam na to pytanie. Moje wspomnienia o dziadku wyglądały jak pojedyncze, nigdzie niezakotwiczone sceny, w których on się uśmiechał albo opowiadał dowcipy. Zapamiętałam dziadka jako bardzo pogodnego faceta, w nieokreślonym wieku, z błyskiem w jasnoniebieskich oczach i kochającego mnie ponad wszystko.

– Był najlepszy – odpowiedziałam po namyśle. – Kiedy byłam bardzo mała, wszyscy myśleli, że jest moim ojcem. Chodził ze mną na place zabaw, jeździł na rowerze, uczył grać w karty... Teraz już wiem, dlaczego tak świetnie grał w karty.

– A twój prawdziwy ojciec? Biologiczny?

– Jakiś gnojek z klasy Lucyny, który strzelił gola i nie udźwignął odpowiedzialności – wyjaśniłam gorzko. – Babcia mówiła, że po spotkaniu z nią i dziadkiem rodzice tego chłopaka spakowali się w nocy i wyprowadzili do innego miasta.

Patryk wydał z siebie dźwięk przypominający warknięcie, po czym zaklął paskudnie.

– Nie masz racji, Domi – odezwał się po chwili. – Moim zdaniem to bardzo wzruszająca historia o kochającej cię kobiecie. Właściwie o dwóch kobietach, które kochają cię tak bardzo, że poświęciły swoje życia, żebyś ty była szczęśliwa. Myślę, że wkrótce ty też to dostrzeżesz.

– Łatwo ci mówić – burknęłam. – Ty nie musiałeś całe życie czuć się jak sierota, tyle że ze świadomością, iż twoja matka robi karierę w Hollywood, a ciebie ma w dupie.

– Wiesz, że wcale tak nie było.

– Wiem – zgodziłam się. – Ale przez tyle lat pozwoliła mi tak właśnie myśleć. Babcia też nie była lepsza! – Nagle zdałam sobie sprawę, że przecież ona też była częścią tego spisku. Cały czas wiedziała, że Lucyna poświęca się, żeby naprawić błędy swojego ojca, i ani słówkiem nie pisnęła. – Przynajmniej wreszcie zrozumiałam, dlaczego babcia nigdy nie miała do niej pretensji i nie pozwalała mi źle mówić o matce.

– Czuję, że i happy end się znajdzie – podsumował Zawisza.

– O, dla Lucyny na pewno – zakpiłam. – Nie powiedziałam ci jeszcze, po co wróciła. Otóż, mój drogi, moja mamusia postanowiła wyjść za mąż. W Polsce.

– I bardzo dobrze, ciesz się jej szczęściem! – odparł wesoło. – Uporała się z przeszłością i wróciła. Odzyskałaś matkę, nie tego chciałaś?

A co on taki mądry? Znawca ludzkich charakterów, psycholog i trener życia? Czy ja prosiłam o terapię? Nie przypominam sobie, żebym prowadziła rekrutację na stanowisko terapeuty.

– Chciałam, ale dwadzieścia lat temu – warknęłam wściekła. Oczywiście byłam wściekła na siebie, ale wiadomo, jak jest. – Chciałam, żeby przyjechała na mój ślub, na pogrzeb mojego męża, żeby mnie przytuliła, kiedy dowiedziałam się, że ten skurwiel prowadził podwójne życie... – Znów się rozplakałam, ale tym razem szlochałam tak głośno, że zwróciłam na siebie uwagę ludzi.

Patryk podniósł się z leżaka, usiadł na nim bokiem i wyciągnął do mnie rękę.

– Płacz, dziewczynko, wypłacz to wszystko, pozbądź się złości – przemawiał do mnie czule, głaszcząc moje przedramię. – Przykro mi, że cię to spotkało, ale teraz już wszystko się ułoży, obiecuję.

Nagle zrozumiałam, skąd w nim tyle empatii, cała ta czułość, wewnętrzny spokój. Cztery siostry. Wychowywanie się z nimi musiało mocno wpłynąć na sposób widzenia i oceniania świata. W dodatku był artystą, twórcą obdarzonym znakomitym zmysłem obserwacji i ogromną wrażliwością. Dlatego te jego książki były tak prawdziwe, tak bliskie kobiecej duszy.

– Kochany jesteś – zachlipałam. – Dziękuję. Nie powiedziałam ci jeszcze, że babcia dziś rano zasłabła i trafiła do szpitala. Czy znasz kogoś innego, komu nagle cały świat się rozpada? Cegła po cegle?

– Znam – wyszeptał. – Jednak po każdej burzy zawsze wychodzi słońce i wszystko się jakoś ułoży. Kiedyś na pewno.

Przez kilka minut nie zmienialiśmy pozycji: on nachylał się do mnie i głaskał moją rękę, a ja gapiłam się w niebo, przeżykając łyzy. Milczeliśmy, ale było to dobre milczenie, potrzebne i przynoszące ulgę. Tak milczy się tylko z ludźmi, którym bezgranicznie się ufa.

Niebo wyglądało tak zachwycająco, że nie mogłam oderwać od niego wzroku. Nie miałam pojęcia, czy patrzę na gwiazdozbiory, czy gdzieś tam jest jakaś ważna gwiazda – wystarczyło mi napawanie się widokiem milionów iskierek, które mrugały do mnie, jakby mówiły: będzie dobrze, wszystko się ułoży.

Patryk ścisnął mi rękę i wrócił do pozycji horyzontalnej. Podłożył sobie ręce pod głowę i także wpatrzył się w nieboskłon.

– Myślisz, że gwiazdy pachną? – zapytał znieca.

– No pewnie! – odparłam bez zastanowienia. – Niektóre Diorem, inne Chanel, a część pewnie whisky.

Roześmiał się wesoło, po czym zwrócił głowę w moją stronę.

– Ale tak serio pytam – rzekł miękko.

– Tak serio, to gwiazdy pachną cymentem – odpowiedziałam bez wahania. – Tak przynajmniej twierdziła moja babcia, a ja nie miałam powodu, żeby jej nie wierzyć. Wiesz, miałam wtedy pięć lat – dodałam.

– Czyżby wiązała się z tym jakaś historia?

– Owszem, ale teraz twoja kolej – przypomniałam mu. – Możesz opowiedzieć, o czym chcesz. Byle było wesoło.

– Wesoło, powiadasz... – Podrapał się po brodzie. – Ze mnie jest strasznie nudny gość, w dodatku bez poczucia humoru...

– Jasne, jasne, tak łatwo się nie wykpiasz! – Uśmiechnęłam się do niego szelmowsko. – Opowiedz o swoich siostrach, może one okażą się ciekawe w odróżnieniu od nudnego brata.

Słuchanie anegdotek o charakternych siostrach Patryka było prawdziwą przyjemnością. Jego ironiczne poczucie humoru i nieudolnie kamuflowana miłość do rodzeństwa pozwoliły mi zapomnieć o niedawnym wybuchu. Z każdym jego słowem moje serce wypełniało się przyjemnym ciepłem.

– I ty mówisz, że nie masz tematów na książkę? – zapytałam go, uśmiechając się do swoich wyobrażeń.

– Diablicie zabroniły mi wykorzystywać jakiegokolwiek prawdziwe zdarzenia – wyznał.

– Ja ci pozwalam – zapewniłam. – Nawet chciałabym zobaczyć je przefiltrowane przez twoją literacką wrażliwość.

Być może odezwało się zmęczenie, a może było już tak późno, że poczułam gęsią skórę na rękach. Plaża powoli się wyludniała, aż w końcu zostaliśmy sami, a ja już niemal trzęsłam się od chłodu.

– Chodźmy do hotelu – polecił Patryk, wstając z leżaka. Podał mi rękę i ja również się podniosłam. – Dokończymy grę jutro, po zajęciach z arcybucem.

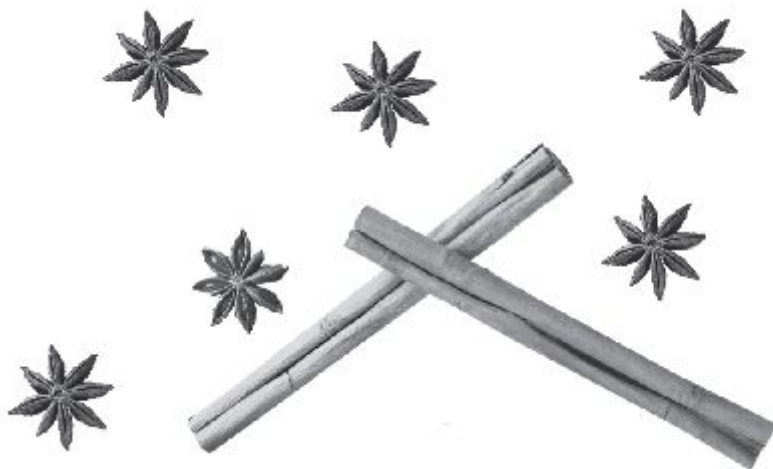
– Czemu tak o nim mówisz?

– Przekonaś się – odparł beznamiętnie.

Ruszyliśmy żwawym krokiem, żeby choć trochę się rozgrzać, poza tym powroty skądkolwiek zawsze były mniej przyjemne niż podróże w tamtą stronę. Niemal się do siebie nie odzywaliśmy, ale żadnemu z nas raczej to nie przeszkadzało.

Pożegnał mnie pod moim pokojem uprzejmym skinieniem głowy i ruszył do siebie.

Kiedy weszłam do środka, Monika spała głęboko, musiała zasnąć z książką, bo ta leżała teraz na podłodze. Nocna lampka, przy której czytała, była zapalona, zgasiłam ją więc w drodze do łazienki. Gorący prysznic rozgrzał przemarznięte nogi, dzięki czemu zapadłam w sen, gdy tylko dotknęłam poduszki.



Rozdział 19

Obudziłam się nagle, jakby coś lub ktoś wyrwał mnie na siłę z krainy sennych marzeń, ściskając mój żołądek żelaznym imadłem.

Usiadłam na łóżku i przez moment zastanawiałam się, gdzie jestem. W pokoju panował półmrok, a jedyne światło pochodziło z niewielkich przestrzeni między listwami zewnętrznych rolet, co oznaczało, że słońce już zaczęło dzień.

Monika jeszcze spała, a jej pyzata twarz wyglądała jak u lalki. Uśmiechała się, widocznie przeżywała miłą przygodę, objęta przez Morfeusza albo kogoś innego.

Niepokój tłący się w ściśniętym żołądku zaczynał przybierać coraz wyraźniejszą postać, aż w końcu pokazał mi się w pełnej krasie. Babcia.

Zerwałam się z łóżka, chwyciłam telefon i w piżamie, najciszej jak się dało, wyszłam na taras biegnący wzdłuż zewnętrznej ściany hotelu. Byłam boso, ale nagrzone porannym słońcem kafle oddawały przyjemne ciepło stopom.

– Co z babcią? – zapytałam natychmiast, gdy w słuchawce rozległ się zaspany głos Lucyny, ignorując jej pełne radości „cześć, córeczko”.

– Na razie bez zmian, śpi.

– A co mówią lekarze? Co właściwie się stało? Mam wracać?

Możliwe, że mój ton, bardzo daleki od pełnego czci i uwielbienia należących się matkom od córek, sprawił, że Lucyna poczuła się odrobinę dotknięta, bo odparła ostro:

– Jeszcze nie ma wyników badań, ale babcia jest pod dobrą opieką, nie musisz mnie sprawdzać, jakim byłam nierozumnym dzieckiem.

Touché.

– Czyli mam nie wracać? – palnęłam, choć powinnam przeprosić. Odpowiedź matki wcale nie spowodowała, że imadło poluźniło uścisk. Wciąż czułam niepokój w każdej komórce ciała.

– Nie ma takiej potrzeby, Domi. Wszystko jest pod kontrolą, po to tu jestem.

– Myślałam, że jesteś po to, żeby wyjść za mąż? – Lampka z tyłu głowy zamrugła.

– To też. Naprawdę nie musisz się martwić, korzystaj z wakacji. – Ton Lucyny zmiękł, a w jej wyćwiczonym głosie zamigotała czułość. – Wszystko u ciebie w porządku? Jak wrażenia?

O, pani, od czego by tu zacząć...

– Taaa, w porządku – bąknęłam. – Ciekawi ludzie mówią o ciekawych rzeczach. Co krok to zaskoczenie.

– To chyba dobrze?

– Znakomicie, pysznie wręcz. Zaczynam rozumieć, jak się czułaś, kiedy zaczynałaś karierę w szolbizie.

Lucyna wciągnęła powietrze, jakbym uraczyła ją czymś przerażającym. W zasadzie trochę tak było.

– To jednak niedobrze... – stwierdziła cicho. – Może tak tylko cię straszą na początku, taka selekcja naturalna.

– Może. Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami, choć ona i tak nie mogła tego zobaczyć.

– Dasz mi znać, co u babci, jak tylko się czegoś dowiesz?

– Oczywiście – zapewniła. Chciałam się rozłączyć, ale zatrzymała mnie: – Domi? Wiesz, że zawsze możesz ze mną pogadać? O wszystkim?

Nie odpowiedziałam na to przedziwne pytanie, bo za sobą usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi. Rozmawiając z Lucyną, wędrowałam wzdłuż tarasu i nie zauważyłam nawet, że znalazłam się pod oknami pokoju, w którym mieszkał Patryk.

– Muszę kończyć – rzuciłam i rozłączyłam się. – O, cześć!

– Szeeeeeseć – odpowiedział Zawisza, rozciągając się tuż przede mną. Miał na sobie lniane spodnie od piżamy i jasną koszulkę, która podkreślała śniadą karnację. – Poranny obchód?

– Yyy, tak jakby... Jak się masz?

– Jeszcze nie wiem – odparł z zadziornym uśmiechem, od którego przeszły mnie dreszcze. – Rozmawiałaś z babcią?

– Nie, z matką. Ma do mnie zadzwonić, gdy się czegoś dowie.

Zupełnie bezwiednie nadałam tym słowom smutny wydźwięk, jakbym nie wierzyła w zapewnienia Lucyny, że wszystko jest w porządku. Coś wzbudziło moją czujność i zaczynałam podejrzewać matkę o kłamstwo.

– Brak wieści to dobre wieści – oznajmił pocieszająco. Nagle ogarnęła mnie chęć, żeby przytulić się do niego, skryć w jego ramionach i... I sama właściwie nie wiem, dlaczego ani co miałyby mi to dać. Może zwyczajnie potrzebowałam czyjejs bliskości?

– Mhm, tego się trzymajmy – bąknęłam, spuszczać wzrok z jego pięknej twarzy.

Odwróciłam się, żeby ruszyć do siebie, a on chwycił mój nadgarstek.

– Będzie dobrze – szepnął, gdy spojrzałam na niego pytająco. – Wszystko się ułoży.

Zdarzało mi się czytać w książkach o galopujących sercach, stanach przedzawałowych, uderzeniach krwi do głowy, ale w tej chwili poczułam wszystkie te zjawiska naraz i niewiele

brakowało, a zemdlałabym na tej werandzie, prawdopodobnie bez gracji, za to z całą pewnością spektakularnie waląc głową o kafle. W pionie utrzymała mnie wyłącznie godność osobista, o ile kobieta ubrana w piżamę może mówić o jakiegokolwiek godności.

Kiedy Patryk puścił moją rękę, przełknęłam głośno ślinę, wykonałam gest głową i pognałam do swojego pokoju, licząc na to, że Zawisza nie odprowadza mnie wzrokiem, bo moje spodnie od piżamy krój miały raczej mało atrakcyjny, tym samym czyniąc zupełnie nieatrakcyjną część ciała, na której się znajdowały. Wpadłam do pokoju niczym furia, prosto na Monikę, która zamierzała właśnie wyrzec na zewnątrz.

– O matko, ale mnie wystraszyłaś! – pisnęła.

– Och, przepraszam, myślałam, że jeszcze śpisz.

– Niestety, zostałam obudzona w brutalny sposób – poskarżyła się. – Zadzwoił do mnie wydawca z informacją, że nie wyda mojej kolejnej książki.

– O rany... Jak to?

Monika rozłożyła ręce, a jej usta wygięły się w podkówkę.

– Takie życie: za słabo sprzedały się poprzednie i nie będzie inwestował.

Nie wiedziałam, jak ją pocieszyć, dla mnie to wszystko wciąż było nowe i odrobinę przerażające. Chwilami o wiele bardziej niż odrobinę.

– Spoko, Domi, nie przejmuj się – powiedziała wesoło, zapewne na widok mojej miny.

– Jeszcze będzie żałował tej decyzji, niech no ja tylko napiszę ten bestseller. To co, idziemy na śniadanie?

Nie byłam głodna, ale marzyłam o mocnej kawie, o dużej ilości mocnej kawy. Ubrałyśmy się w pośpiechu i już po kwadransie zajęłyśmy dwuosobowy stolik w przytulnym, odgradzonym od wzroku kącie. Nie miałam ochoty na towarzystwo, Monika wystarczała mi za cały pluton.

– Nie mogę się doczekać dzisiejszych zajęć – oznajmiła z ekscytacją, pochłaniając jajko sadzone w kształcie kwiatuszka. – Podobno Wojciech Luboń jest bardzo wymagający, ale jeśli spodoba mu się twój tekst, to już jesteś jedną nogą w dobrym wydawnictwie.

– A jeśli mu się nie spodoba?

– To cię zjedzie przy wszystkich.

– No to superperspektywa, już się cieszę – mruknęłam z niesmakiem.

– Ej, no coś ty, przecież jesteś najlepsza z grupy! Słyszałam, jak w trakcie kolacji Joanna chwaliła twoją scenę erotyczną. Podobno była jedną z dwóch „wybitnie się wyróżniających”. Moim zdaniem wyjedziesz stąd z umową wydawniczą.

Mimo że po tych słowach powinnam dostać wiatru w żagle, poczułam się nieswojo. Publiczne chwalenie nie było czymś, do czego przywykłam, a przede wszystkim nie było czymś, co stanowiło dla mnie cel. Stresowała mnie myśl o tym, że wszyscy o mnie gadają, najpewniej z zawiścią. I jak tu zdobywać nowych przyjaciół?

– Chcesz wiedzieć, kto napisał drugą? – ciągnęła wątek Monika.

– Mam nadzieję, że nie Blanka...

– Blanka? No co ty! – Moje źródło informacji odłożyło sztucce na talerz, pochyliło się w moją stronę i wyszeptalo: – Ona nie potrafi pisać, nawet jej wpisy na blogu ktoś redaguje, żeby brzmiały po polsku.

Pytanie o to, w jaki sposób zakwalifikowała się do udziału w elitarnym kursie kreatywnego pisania, cisnęło mi się na usta z całą mocą, ale obawiałam się, że odpowiedź

mnie zdenerwuje, więc wolałam go nie zadawać. Zamiast tego zapytałam:

– No więc kto?

– Patryk Zawisza! – oznajmiła z satysfakcją, jakby to ona była Patrykiem.

Powinnaś wyglądać na zaskoczoną, może nawet zszokowaną, zamiast tego uśmiechałam się z miną zwycięzcy. Najlepiej ze wszystkich wiedziałam, jak doskonała jest scena napisana przez Zawiszę, jednak zasadą naszych warsztatów była pełna anonimowość. Wyjątek stanowiły zajęcia z Luboniem, do których rozpoczęcia zostawała nam jeszcze godzina.

Rozejrzałam się po zapełniającej się falami restauracji, ale nigdzie nie dostrzegłam Patryka. Może on też schował się przed ludźmi, tak jak ja.

– Nie ma go – odezwała się Monia, przezuwając bułkę z podejrzenie wyglądającą wędliną. Wolałam nie pytać, jakie zwierzątko dokonało żywota, żeby zaspokoić jej głód.

– Hm?

– Patryka. Nie ma go jeszcze – wyjaśniła. – Może śpi po wczorajszych emocjach.

– Nie śpi, widziałam się z nim wcześniej – wypaliłam odruchowo, zanim zdążyłam pomyśleć.

– Ach tak? – W oczach Moniki zamigotał blask. – Czyżbyś spędziła noc w towarzystwie pana Zawiszy?

– Nie! – krzyknęłam przerażona. To wcale nie było kłamstwo, przecież pytała o ostatnią noc, którą grzecznie przespałam w swoim łóżku. – Nie, spotkałam go rano na tarasie.

– Mhm, mhm. – Nie spuszczała ze mnie wzroku i energicznie przeżuwała. – Słuchaj, a tak właściwie to co między wami jest? Nie obraź się, ale spędzacie ze sobą dużo czasu, chodzicie razem na plażę...

– A skąd ty wiesz o plaży?

– Chyba nie dbaliście szczególnie o dyskrecję – odparła zupełnie niespieszona. – Plaża jest publiczna i nie tylko wy poszliście tam oglądać gwiazdy. Ktoś was widział.

No i niech sobie widzi, wielkie mi coś!

– Nie dbaliśmy o dyskrecję, bo nie mamy niczego do ukrycia. Jesteśmy tylko kolegami.

– Przecież ja o nic cię nie oskarżam, jesteś dorosła. Tak tylko mówię – zapewniła, ale widziałam, że to nie koniec myśli. – A skoro tak się kumplujecie, to na pewno wiesz, że Patryk ma kobietę.

Patryk ma kobietę.

Patryk.

Ma.

Kobietę.

Na pewno o tym wiesz.

Co takiego powiedział wczoraj Michał? Że biorę się za zajętych? Ja, która brzydę się zdradą, zdradzana przez lata, wzięłam się za zajętego faceta? Jezusie z Nazaretu.

Trzęsącą się ręką odstawiłam filiżankę na spodeczek. Czułam wijący się wzdłuż linii szczęki ból, który za chwilę zamieni się w tępy ucisk skroni, następnie przepęłnie pod oko, dotrze do nasady nosa i wyłączy mnie z życia na kilka godzin. Bylebym zdążyła wziąć lek, nim nadejdą mdłości i torsje. Światłowstręt już zamajaczył na horyzoncie, miałam więc coraz mniej czasu i jeśli chciałam wziąć udział w zajęciach, musiałam szybko zareagować.

Odsunęłam krzesło z głośnym szurnięciem, wstałam raptownie i bez słowa wybiegłam z restauracji. Recepcjonista spojrział na mnie z zaciekawieniem, kiedy minęłam go, zasłaniając dłonią usta. Kawa, którą przed chwilą wypiałam, cofała się natrętnie.

Zdążyłam, choć w ostatniej chwili. Kurczący się żołądek niewiele miał do oddania, toteż po chwili padłam jak długa na łóżko, łapiąc oddech. Nie miałam nawet siły płakać; leżałam na wznak, z rękami rozrzuconymi w poprzek łóżka i czekałam na ulgę, która złośliwie nie przychodziła, a przewijające się pod powiekami obrazy wywoływały jeszcze silniejszy ból głowy.

W końcu udało mi się zwlec z łóżka, doczołgać do walizki i wygrzebać z niej słoiczek z lekiem. Po krótkim namyśle postanowiłam połknąć podwójną dawkę, w obawie, że jedna okaże się za słaba na pokonanie tej supermigreny. Popiłam tabletki i na kolanach podeszłam do zacienionej ściany, której chłód sprawił mi fizyczną przyjemność. Przyłgnęłam do niej plecami i tak oparta siedziałam, oddychając ciężko.

Szum w uszach powoli ustępował, dzięki czemu zaczynały docierać do mnie dźwięki z zewnątrz, a dokładniej – zza ściany, która dawała mi oparcie. Po chwili skupienia rozpoznałam głos Patryka, który wydawał się brzmieć ostro i nieprzyjemnie. Przytuliłam się lewym uchem do chłodnego muru i choć nie potrafiłam rozróżnić słów, nabrałam przekonania, że Zawisza z kimś się kłóci, jednak musiał to robić za pośrednictwem telefonu, bo drugiego głosu nie było słyhać. Domyśliłam się także, że w trakcie rozmowy wędruje po tarasie, jego głos bowiem słyszałam w różnym natężeniu.

– Mam nadzieję, że to ta twoja kobieta dzwoni, żeby ci powiedzieć, jakim jesteś skurkowańcem – syknęłam pod nosem. Szczękościsk ustępował, co było dobrym znakiem. – Świnia z ciebie, Zawisza. „Zostańmy przyjaciółmi”, a wal się z tą twoją przyjaźnią!

Zanim poczułam się na tyle dobrze, żeby wstać z podłogi, za ścianą rozległy się energiczne kroki, a zaraz potem głośnie trzaśnięcie drzwiami.

Żołądek znów mi się ścisnął, tym razem w nadziei, że usłyszę pukanie, ale nic takiego się nie wydarzyło. Zawiedziona i smutna podniosłam się ostrożnie, badając stan błędnika. Poprawa była niekwestionowalna, więc wzięłam głęboki oddech i omal się nie zakrztusiłam, kiedy drzwi otworzyły się z impetem.

– Matko, żyjesz! – wykrzyknęła Monika z tak wyraźną ulgą, że nawet ja ją poczułam.

– Żyje, ale było blisko. Migrena to zło!

– Migrena? Ufff, no to całe szczęście! – Serio? Czy ona w ogóle wie, co mówi?! – Myślałam, że wytrzaskałaś Patryka po mordzie, a on ci oddał i dlatego minął mnie z taką furią.

Czyli miałam rację, to była kłótnia!

– Nie wiem, dlaczego miałabym go wytrzasnąć po mordzie – odparłam urażona. – Przecież mówiłam ci, że my się tylko kolegujemy. – Gadaj zdrowa, kretynko...

Monika wzruszyła ramionami i podeszła do szafki stojącej obok jej łóżka. Wyjęła z szuflady zeszyt i długopis, po czym spojrzała na mnie wymownie.

– Jesteś w stanie iść na warsztaty? – zapytała. Skinęłam głową i sięgnęłam po swoją torbę. – Skoro się źle czujesz, może chociaż raz ktoś inny będzie lepszy od ciebie.

Byle nie ten skurkowaniec, pomyślałam z wściekłością. Wiedziałam doskonale, że owa wściekłość za kilka chwil zamieni się w rozdzierającą rozpacz, ale starałam się o tym nie myśleć. A nade wszystko chciałam zobaczyć jego minę, gdy go o to i owo zapytam.



Rozdział 20

– „Gdybym miała zapamiętać tylko jedną chwilę ze swojego dzieciństwa, były to moment, w którym dowiedziałam się, że gwiazdy pachną cynamonem. To nieprawda, że cynamon stał się zapachem roziskrzonego tysiącami światełek Bożego Narodzenia, to Boże Narodzenie pożyczyło zapach od gwiazd. A było to tak...” – Rudowłosy, łysiejący mężczyzna o przyjemnej, choć niespecjalnie przystojnej twarzy, którą zdobiła gęsta broda, oparł się o biurko, skrzyżował nogi i dźwięcznym głosem czytał moje opowiadanie. Było to zjawisko równocześnie ekscytujące i stresujące, dziwne i błogie, krępujące, a zarazem dające satysfakcję. – „Dziewczynka, zaledwie pięcioletnia, przyglądała się spracowanym dłoniom swojej babki, gdy te energicznie ugniatały ciasto. Dziwiła się, że z sypkiej mąki, odrobiny tłuszczu, cukru i jajek można zrobić coś, co ma zupełnie inną strukturę, konsystencję i zapach. Ten szczególny aromat drażnił nozdrza dziecka i poruszał sznurkami przymocowanymi do żołądka. Dziewczynka poczuła, że jest bardzo głodna. »Babciu, dlaczego ciocia umarła?«, zapytała pięciolatka, żeby odwrócić myśli od ssania w żołądku. »Bo przyszedł na nią czas«, odpowiedziała staruszka, ani na chwilę nie przestając ugniatać ciasta. »A gdzie ona teraz jest? W tej dziurze w ziemi?«. Tym razem babcia wypuściła z rąk nieforemną bryłę, wytarła dłonie w fartuch i spojrzała na dziewczynkę. »Nie, mój skarbie, w ziemi leży tylko jej ciało. Dusza zamieniła się w gwiazdę. O, taką«. Kobieta oderwała fragment masy, rozpląszczyła go dłonią, a następnie ostrym, cienkim nożykiem wykroiła kształt idealnej, pięciopromiennej gwiazdki. »Kiedy w nocy spojrzysz w niebo, zauważysz, że niektóre z nich migoczą jaśniej niż inne. To są właśnie cynamonowe gwiazdy, dusze naszych krewnych. A gdy spadają na Ziemię, w tym miejscu wyrasta cynamon, którego kora tak pięknie pachnie«. Dziewczynka słuchała z uwagą, po czym zmarszczyła zadarty nosek i zauważyła: »Czy to znaczy, że ja też będę kiedyś

gwiazdą?«. »Och, bez wątpienia!«, odparła babcia. »Kiedy nadejdzie twój czas«. Dziewczynka uśmiechnęła się radośnie i postanowiła, że odtąd uważnie będzie przyglądać się nocnemu niebu, w nadziei, że uda jej się wypatrzeć krewnych. Od tego dnia głęboko wierzyła w to, że gwiazdy pachną cynamonem, dokładnie tak jak ciastka jej babci».

Luboń odłożył kartkę na biurko, skrzyżował ręce na piersiach i powiódł spojrzeniem po uczestnikach warsztatów, starannie omijając moją twarz. Jakbym wydawała się mu wyjątkowo odpychająca. Co najmniej...

Tematem zajęć były wspomnienia; dostaliśmy zadanie stworzenia w ciągu kwadransa krótkiego tekstu – mikroopowiadania lub eseju – który będzie podejmował temat dla nas ważny i łączący się z emocjami. Nie wiem, dlaczego przyszło mi do głowy akurat to wspomnienie, być może za sprawą gnieźdzącego się w sercu niepokoju, który poza myślami o babci powodował odruch nieustannego zerkania na telefon.

– Co państwo myślą o tym tekście? – zapytał rudobrody prowadzący. – Dobry jest czy niedobry?

Twarze wpatrujących się w niego kursantek wyglądały jak zahipnotyzowane. Obłąd w oczach, wstrzymane oddechy, chyba przestały nawet mrugać, żeby – nie daj Boże! – nie uronić ani nanosekundy z roztaczającego się przed nimi zachwycającego obrazu. Żadna również nie odważyła się odezwać.

– Otóż, drogie panie, to jest tekst niedobry, infantylny, porażająco nijaki – zadudnił, aż echo rozeszło się po sali. – Niestety braki warsztatowe są aż nazbyt widoczne i choć pomysły może i mógłby się obronić, to, umówmy się, jego realizacja jest koszmarna.

Z wrażenia zabrakło mi tchu i nie mogłam się ruszyć. Kątem oka zarejestrowałam poruszenie na sąsiednich krzesłach, a do uszu doleciał szum szeptów. Nie czułam niczego poza lodowatym zimnem spływającym wzdłuż kręgosłupa, wijącym się niczym obślizgły wąż.

– Przepraszam, ale chyba się z panem nie zgadzam – usłyszałam za sobą. Nie potrafiłam przypisać głosu do twarzy, a odwrócić się nie mogłam, sparaliżowana wskutek przeżytego szoku.

– O! A to interesujące – odparł z drwiną Luboń. – Chętnie poznam pani opinię.

– Najpierw może uargumentuje pan swoją – odezwała się kolejna osoba gdzieś z tyłu.

Złośliwy uśmiech spełzył z twarzy mężczyzny, zamieniając się w grymas irytacji. Teraz zupełnie nie przypominał sympatycznego faceta, uśmiechającego się na niemal każdym zdjęciu.

– Charakter wylazł mu na gębę! – syknęła mi do ucha siedząca obok dziewczyna.

– Jakby te rude włosy nie były wystarczająco stygmatyzujące – odpowiedziałam szeptem i poczułam, że mięśnie mi się rozluźniają. Poczyszona reakcjami współkursantek zamierzałam wejść w dyskusję z zadufanym, złośliwym bucem, kiedy otworzyły się drzwi do sali i stanęła w nich Grażyna.

– Dominiko, mogę panią prosić? – zażądała. Ton jej głosu nie pozostawiał wątpliwości, że to nie będzie przyjemna rozmowa.

Wstając z krzesła, zauważyłam paskudny uśmiech pałętający się nad rudą brodą i natychmiast pomyślałam, że to musi mieć związek z Patrykiem. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że nie było go na zajęciach.

Grażyna nie odezwała się do mnie słowem, prowadząc mnie do pomieszczenia, które okazało się jakimś pokojem do narad. Stał w nim niewielki prostokątny stolik z sześcioma

krzesłami, solidne biurko i kilka niskich szafek zamykanych na klucz. Na jednym z krzesel siedział Patryk. Nie podniósł wzroku, kiedy weszłyśmy do pokoju, nie oderwał go od splecionych na stole dłoni.

– Co tu się dzieje? – zapytałam, wodząc spojrzeniem od jednej twarzy do drugiej. – Dlaczego Patryk siedzi tu jak jakiś potępieniec? I dlaczego ja znowu czuję się jak na koloniach w Darłówku w dziewięćdziesiątym siódmym, kiedy zostałam złapana na całowaniu się z kolegą?

O, „całowanie” podziałało i Zawisza drgnął. Dobre i to, przynajmniej wiadomo było, że żyje i słuch ma zdrowy.

– Proszę usiąść, Dominiko. Pani i kolega muszą mi wyjaśnić pewne kwestie i byłoby znakomicie, gdybyście zrobili to jak najszybciej. – Ambrozik zrobiła pauzę, jak gdyby spodziewała się, że właśnie teraz dokonamy ekspiacji.

Spowiedź powszechna jednakże nie nastąpiła, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem w regulaminie nie zakazano puszczenia się z nieznanym, który następnie okaże się kursantem, w dodatku z babą w życiorysie.

– Obawiam się, że nie mam pojęcia, o czym pani mówi i co mamy wyjaśniać – zaryzykowałam, powtarzając w myślach „nie wiedziałam, że ta łajza ma kobietę!”.

– Czy pamiętają państwo, że podpisali oświadczenie, że wszystkie informacje zawarte w zgłoszeniu są zgodne z prawdą? I że za oświadczenie nieprawdy grozi usunięcie z kursu?

Jasne, że pamiętałam, przecież czytam te wszystkie karteluski od deski do deski. Grażyna, weź się opanuj...

Na wszelki wypadek skinęłam głową. Patryk też skinął, zerkając na mnie spod gęstych brwi.

– Zatem są państwo świadomi, że jedno z was będzie musiało wrócić do Polski szybciej, niż planowało – stwierdziła twardo Ambrozik.

– Jak to?! – wyrwało mi się. – Dlaczego?

– Zostałam poinformowana, że któreś z was jest kimś innym, niż utrzymuje.

Zamrugałam kilka razy, gapiąc się na tę piękną kobietę, jakby na moich oczach dokonywała przeistoczenia w jakieś dziwo. W konia na biegunach, na przykład.

– Patryk, czy ty coś z tego rozumiesz? – rzuciłam do niego. – Jesteś szpiegiem albo świadkiem koronnym? Bo raczej nie chodzi o to, że masz kobietę w Polsce, co?

Szok, jaki odmalował się w jego oczach, poraził mnie swoim autentyzmem. Natychmiast po wypowiedzeniu ostatniego zdania poczułam, że zadałam mu cios. Chociaż był zdradziecką małą, takich emocji nie mógł udawać: zobaczyłam w jego twarzy ból, smutek, złość i rezygnację.

– Ktoś musiał podsłuchać naszą rozmowę – szepnęła.

– Jeśli tylko rozmowę, to palicho, gorzej by było, gdyby podsłuchał nasze harce – odparłam zimno.

– Rozmowę o książkach – dodał z naciskiem.

– O ksią... Aaaaa! O szlag... – O szlag! O jasna, jasna cholera! – To ja! – oznajmiłam niemal rykiem.

– To pani? – Grażyna chyba nie spodziewała się ryku.

– Tak, to ja. To ja jestem Patricia McKnight.

Sporunowałam Zawiszę wzrokiem, bo widziałam, że chciał otworzyć te swoje zdradzieckie, kłamliwe usta. Serce waliło mi tak mocno, że czułam je w czaszce. Co ja robię, CO JA ROBIĘ?!

Ambrozik chyba zadawała sobie to samo pytanie.

– Pani Dominiko, mówi pani poważnie? – upewniła się, a w jej głosie słyszałam niedowierzanie.

– Oczywiście, że mówię poważnie – parsknęłam ze złością. I tym razem poczułam ulgę. Tak wielką ulgę, że brnięcie w kłamstwo stanowiło przyjemność. – Czy nie uważali państwo moich tekstów za profesjonalne? Czy nie wydawało wam się, że są gotowe do wydania? No to już wiadomo, dlaczego.

– Domi... – Przerażony moim zachowaniem Patryk wyglądał, jakby trafił go piorun. Gdybym nie znała prawdy, pomyślałabym, że moje wyznanie autentycznie go zszokowało.

– Milcz – warknęłam. – Dobrze wiesz, że i tak nie wytrzymałabym tu dłużej. A po dzisiejszych warsztatach z Luboniem pewnie i tak bym wyleciała, za napaść.

– No dobrze, mamy dwa wyjścia – odezwała się spokojnie Grażyna, ignorując moją uwagę o rudym bucu. – Będzie pani musiała się ujawnić pozostałym uczestnikom warsztatów albo zrezygnuje pani z dalszego udziału, żeby zachować sprawę w tajemnicy.

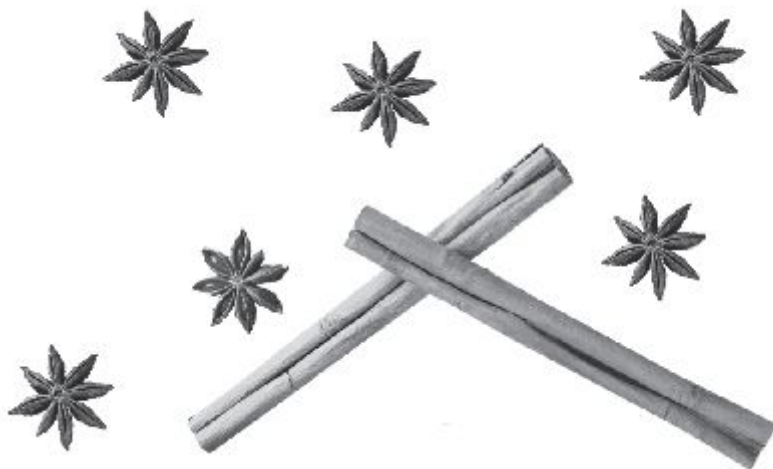
– To raczej pozorny wybór – skwitowałam cierpko. – Gdybym teraz weszła cała na biało z okrzykiem „I am Patricia!”, spaliłyby mnie na stosie.

Grażyna oparła dłonie na stole i patrzyła na mnie w milczeniu. Po kilku sekundach skinęła głową, podeszła do biurka i podniosła leżący na nim papier.

– To oświadczenie o rezygnacji z kursu bez możliwości zwrotu jego kosztów. Oczywiście pokrywamy koszt biletu powrotnego – oznajmiła z nutą zawodu w głosie.

Podpisałam papier bez wahania, unikając patrzenia w stronę Patryka. Bałam się, że gdyby znów spojrzął na mnie tym wzrokiem cierpiącego po śmierci żony Johna Wicka, rozpadłabym się na tysiąc kawałków.

– Dziękuję. Pójdę się teraz spakować – powiedziała do Ambrozik i wymaszerowałam z gabinetu, a po przekroczeniu progu wyrwałam sprintem, o mało nie gubiąc własnego cienia. Udało mi się nie rozplakać, rozszlochałam się dopiero, gdy zamknęłam za sobą drzwi do pokoju.



Rozdział 21

Aśka czekała na mnie przed wyjściem z lotniska. Udało jej się wyrwać z pracy i przyjechała do Warszawy, zapewne obawiając się o mój stan.

– Nie będziesz ryczeć przy obcych ludziach w pociągu! – krzyczała do słuchawki, kiedy oznajmiłam jej, że muszę wracać. Dam sobie rękę uciąć, że tym krzykiem zagłuszała płacz.

Fakt, ryczenie przy obcych ludziach nie było czymś, co pragnęłam dołożyć do kolekcji wspomnień z wyjazdu na Teneryfę. Zdecydowanie wystarczyły mi te, które zgromadziłam.

Gdy tylko drzwi się rozsunęły, bez słowa rzuciła się na mnie, jakbyśmy nie widziały się co najmniej miesiąc, i trzymała w uścisku tak długo, aż ktoś za nami warknął, że stoimy w przejściu.

– Chodź, biedaku, opowiesz mi wszystko w drodze, bo stoję na miejscu dla całujących – ponagliła mnie drżącym głosem.

Walizka ledwo zmieściła się na tylną kanapę jej zielonego opla, bo o bagażniku w ogóle można było zapomnieć. Oszołomiona i zmęczona wykonywałam jej polecenia jak robot, nie odzywając się, aż do chwili, gdy zapytała:

– Będziesz płakać?

– Na sto procent – bąknęłam, czując pieczenie pod powiekami.

– Na drzwiach masz chusteczki, częstuj się.

Znała mnie tak dobrze, że nie zadawała żadnych więcej pytań. Cierpliwie przeczekala pierwszy szloch, który szybko przerodził się w spazmatyczny płacz. Nim zapanowałam nad oddechem, wyjechałyśmy z Warszawy. Aśka włączyła tempomat, oparła się wygodnie i milczała.

– Ja... Ja nawet nie wiem, od czego zacząć – wychrypiałam w końcu. – Mam wrażenie, jakbym znalazła się w jakimś nierealnym śnie, jakby to wcale się nie wydarzyło.

– Zacznij od tego, dlaczego zostałam deportowana – poradziła w ten charakterystyczny dla siebie, stoicki sposób. Często myślałam o tym, że byłby z niej świetny Spartanin.

– W takim razie muszę się cofnąć do wczoraj, bo moja deportacja jest skutkiem wcześniejszego idiotyzmu.

Ruda głowa skinęła nieznacznie, wyrażając aprobatę dla retrospekcji. W trakcie relacjonowania przebiegu najdziwniejszych dwóch dni w moim życiu zdałam sobie sprawę, jak wiele zdarzyło się w tak krótkim czasie i jak dużo – o zgrozo! – dowiedziałam się nie tylko na temat branży, która dotychczas jawiła mi się niemal jako eldorado, ale także o samej sobie.

– Zdurniałas do reszty – podsumowała Aśka, kiedy zakończyłam zeznania. – Zakochałaś się w facie, z którym i tak nie możesz się związać, i poświęciłaś dla niego swoje marzenie.

– Serio tylko tyle zrozumiałas z mojej opowieści o tym zabagnionym środowisku? – zdumiałam się. – Ja wcale nie czuję, że cokolwiek poświęciłam.

– A co czujesz, poza motylami w brzuchu na widok pana idealnego, który jest kłamliwą szujką?

– Czuję ulgę – odparłam szczerze i faktycznie ją czułam. Jakby ktoś zdjął mi z barków wielki ciężar. – Aśka, to zupełnie nie dla mnie, te intrygi, te fałszywe uśmiechy, bo o wystawianiu się na publiczną krytykę nie wspomnę! Czy ty potrafisz sobie wyobrazić, jak ja się czułam, kiedy ten prostak wyżywał się na mnie nie wiadomo za co? To było straszne!

Właściwie nie miałam pewności, że Luboń wyżywał się na mnie, może rzeczywiście mój tekst był beznadziejny, ale od zawsze uczono mnie, że konstruktywna krytyka polega na merytorycznym argumentowaniu. To brzmiało jak odwet, jakaś wendeta, a nie krytyka.

– Okej, mogę się zgodzić z tym ostatnim, to rzeczywiście była chamska zagrywka i z pewnością jako pisarka musiałabyś mierzyć się z takimi trollami, które po złości robią czarny piar. Ale, do diabła ciężkiego, Domi! To była twoja wielka szansa, a z tego, co mówisz, wynika, że byłaś pierwsza na liście do podpisania umowy!

Zapatrzyłam się na drogę przed nami i pogrążyłam w myślach. Odkąd niemal bez zastanowienia wzięłam na siebie ciężar tajemnicy Patryka, czułam, że była to właściwa decyzja. Ani przez moment nie żałowałam tego ruchu, wręcz przeciwnie: z każdą chwilą nabierałam pewności, że tak właśnie powinnam postąpić. I nie, nie zrobiłam tego dla niego, nie kierowały mną romantyczne pobudki. Zrobiłam to dla siebie, bo czułam, że tak należało.

– Wiesz – odezwałam się cicho do Aśki – kiedy zapytałam Zawiszę, jak bardzo chce być pisarzem, bez zawahania odpowiedział, że to jest jego marzenie. Ja natomiast wcale nie podzielałam jego uczuć. Jasne: fajnie jest być chwaloną, miło jest wiedzieć, że to, co robię, jest doceniane. Ale uwierz mi, Jo, pisanie to tylko wierzchołek góry lodowej, a pod powierzchnią wody jest wielkie bagno, znacznie bardziej toksyczne niż korporacja.

Jo milczała wymownie, nie odrywając wzroku od drogi, ale po jej zaciętej minie wnioskowałam, że analizuje moje słowa. W odróżnieniu od większości ludzi ona doskonale potrafiła oddzielać uczucia od sfery racjonalnej, co wcale nie oznaczało, że nie była emocjonalna. Owszem, ale tylko wtedy, gdy uznawała, że jest na to właściwa pora: gdy ktoś umierał, komuś rodziło się dziecko lub działa się krzywda. Poza tymi wyjątkami zawsze potrafiła ocenić sytuację na chłodno.

– Dobrze, rozumiem twoje rozczarowanie – oznajmiła po kilku minutach. – Rozumiem, że dostrzegłaś fałszywość swoich wyobrażeń i znalazłaś najlepsze według siebie rozwiązanie tego problemu. Ale... – Zawsze jest jakieś „ale”, prawda? – Twoja decyzja spowodowała powstanie nowych problemów i nad ich rozwiązaniem musisz się zastanowić.

– Masz na myśli dwa tysiące euro, które muszę oddać Lucynie?

– Oraz to, że jesteś bezrobotna, zakochana w facecie, który zapewne teraz czuje się twoim dłużnikiem, masz na głowie wesele matki i umierającą babcię...

Zagalopowała się i dotarło to do niej zbyt późno.

– Co powiedziałaś?!

– O Jezu, ale spierdoliłam... – Wrzuciła prawy migacz, przyspieszyła i zjechała na pas prowadzący na parking. – Opanuj emocje na pięć sekund, zaraz wszystko ci powiem, tylko się zatrzymam.

W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin opanowywanie emocji wyćwiczyłam do perfekcji. Tylko dzięki temu teraz udało mi się nie wybuchnąć i nie udusić mojej przyjaciółki, choć ten plan dość wyraźnie wizualizował się w mojej głowie. Po wyrzuceniu jej ciała wsiadłabym za kierownicę i pojechała udusić własną matkę.

Aśka zaparkowała na pierwszym wolnym miejscu, wyłączyła silnik i spojrzała na mnie wzrokiem zarezerwowanym dla sytuacji z kategorii „nie czas na żarty”. I bez tego wiedziałam, że chusteczki na drzwiach jeszcze nie zeszyły ze sceny.

– Twoja mama prosiła mnie, żebym nie mówiła ci o tym, póki nie wrócisz, bo nie chciała, żebyś się martwiła – zaczęła poważnym tonem. – I ja wcale nie zamierzałam ci o tym mówić dzisiaj, wolałam, żebyś dowiedziała się od niej, ale się zesrało.

– Wróciłam, więc jesteś usprawiedliwiona – syknęłam, czując, że zaraz naprawdę ją uduszę.

– To prawda – zgodziła się, jak zawsze przychylając się do racjonalnych argumentów.

– Zanim zaczniesz obmyślać plan zamordowania swojej matki, wysłuchaj mnie do końca. Wiem, że masz tendencję do oskarżania jej o wszystko i przypisywania jedynie złych intencji, ale w tej sytuacji byłoby to zupełnie nieuzasadnione.

– W jakiej sytuacji, do cholery?! – Nie wytrzymałam. – Przecież rozmawiałam z Lucyną przed wylotem z Teneryfy i wszystko z babcią było w porządku. Znow kłamała?!

– Nie! Nie kłamała, pani Eleonora odzyskała przytomność, jej stan się ustabilizował.

– No więc?

Widziałam wyraźnie, z jakim wysiłkiem Aśka dobiera słowa, jak wspina się na wyżyny dyplomacji, żeby przekazać mi coś, przed czym chciała mnie chronić matka. Niemalże współodczuwałam ból, który rysował się na ślicznej twarzy mojej przyjaciółki.

– Jezu, Aśka, wyduś to w końcu z siebie – wyszeptalam błagalnie.

– Myślisz, że to takie proste? Ja wiem, ile dla ciebie znaczy babcia! – Po raz pierwszy od bardzo dawna moja rozsądna, bystra, stoicka przyjaciółka rozplakała się jak dziecko. Objęłam ją natychmiast i pozwoliłam szlochać w pomiętą bluzkę.

– Ciekawy obrót zdarzeń: to chyba ja miałam tu robić za nadworną płaczkę...

– Cicho, głupia – łkała Jo między krótkimi, urywanymi wdechami.

– Może i jestem głupia, ale to trochę twoja wina, bo nie możesz się wysłowić...

Aśka pacnęła mnie w ramię i roześmiała się. Pociągnęła nosem, otarła łzy rękawem mojej koszulki i wróciła do pionowej pozycji.

– Twoja babcia ma raka trzustki – powiedziała cicho, patrząc mi w oczy. – Stan jest na tyle poważny, że lekarze dają jej dwa procent szans na przeżycie roku.

Zimno, gorąco, znowu zimno. Zacisnęłam usta, ale czułam się spokojna. Jakbym zdążyła się na to przygotować.

– Operacja nie wchodzi w grę? – zapytałam rzeczowo.

Jo potrząsnęła głową, znów była sobą – spokojną, zrównoważoną Spartanką.

– Za późno, nowotwór jest zbyt zaawansowany. Prawdopodobnie nawet chemii nie będą jej podawać, tylko leczenie objawowe – wyjaśniła.

– Boże drogi... – Oparłam się o zagłówek i zamknęłam oczy. Przez całe życie unikałam myślenia o dniu, w którym jej zabraknie. Teraz ten dzień zbliżył się do mnie i z każdą chwilą zacznie nabierać wyraźniejszych kształtów. – To się nie dzieje. To się nie może dzieć!

Aśka uruchomiła silnik i wyjechałyśmy z parkingu. Dalszą część podróży przebyłyśmy w milczeniu, słuchając radia ze złotymi przebojami. Na szczęście obyło się bez wypadków i wielkich korków.

– Chcesz, żebym z tobą posiedziała? – zapytała mnie Jo, gdy zaparkowałyśmy pod blokiem.

– Nie, dzięki, bejb, chyba muszę pogadać z matką...

Uścisnęła mnie mocno, a potem patrzyła, jak powłóczę nogami, ciągnąc za sobą ciężką walizę. Odjechała dopiero, gdy pomachałam jej z okna swojego pokoju.



Rozdział 22

Jakże dziwnie było wrócić do pustego mieszkania. Nawet zapach wydawał się całkiem inny, obcy. Wszystko odbiegało od normalności – łóżko babci było niepościelone, w kuchni panował nieład, na stole w salonie stała filiżanka z niedopitą kawą. Z sypialni zajmowanej przez Lucynę zniknęła walizka.

Opadłam na kanapę, wyzuta z sił, i leżałam na niej bezwładnie, aż zdrętwiał mi kark, opierany o twardy podłokietnik. Za oknem zrobiło się ciemno, podniosłam się więc, żeby zasunąć rolety. Mimowolnie spojrzałam w dół i serce podskoczyło mi z radości na mgnienie oka. Ze stojącego tuż pod oknami srebrnego forda wysiadła Lucyna w towarzystwie przystojnego mężczyzny. Uśmiechali się do siebie, a gdy ich kroki się zrównały, przytulili się z czułością. Wyglądali na szczęśliwych i tworzyli ładną parę, co stwierdziłam z zaskoczeniem. Po raz pierwszy w życiu miałam okazję zobaczyć własną matkę w towarzystwie mężczyzny.

Domofon wydał dźwięk sygnalizujący otwarcie bramy kodem, a po chwili usłyszałam zgrzytanie klucza w zamku. Drzwi otworzyły się, wpuszczając do środka moją matkę, uśmiechniętą od ucha do ucha, i przystojnego jegomościa, który według wszelkich znaków na niebie i ziemi powinien być jej narzeczonym.

– Dominika? – Lucyna stanęła jak wryta. – Co ty tu robisz, kochanie?

– Dobry wieczór – odezwał się przyjemnym głosem Sławek.

– Dobry wieczór panu, cześć, mamó – odpowiedziałam jak na mnie wyjątkowo grzecznie, co należy przypisać w głównej mierze zmęczeniu.

– Dlaczego ty jesteś tu, zamiast być na Teneryfie? – dociekała matka.

– Przepraszam, że wam pokrzyżowałam plany – bąknęłam, usiłując włożyć w owo bąknięcie złośliwość, ale zupełnie mi to nie wyszło.

– Ależ o czym ty mówisz, dziecko? Żadnych planów nam nie pokrzyżowałaś, właśnie wracamy od babci. – Lucyna podeszła do mnie szybkim krokiem, chwyciła moją twarz w dłonie i przyjrzała się jej. – Co się stało, Domi?

Chociaż bardzo się starałam, nie potrafiłam zapanować nad łzami cisnącymi mi się do oczu. Gdy tylko popłynęły pierwsze, lawina ruszyła.

Lucyna objęła mnie mocno i trzymała w uścisku, przytuloną do piersi, za którą tęskniłam tyle lat. Ona też płakała, a jej łzy spadały mi na włosy. Świat zupełnie przestał istnieć, byłam już tylko ja i ona, córka i matka, dwie obce sobie kobiety, choć tak wiele nas łączyło.

– Oddam ci pieniądze, jak tylko znajdę pracę – wyszlochałam jej w ramię.

Matka pocałowała mnie w czoło i szepnęła:

– Niczego nie musisz mi oddawać, głuptasie, widocznie tak miało być. Chcesz o tym pogadać?

Zanim odpowiedziałam, zza pleców usłyszałam spokojny głos przyszłego ojczyma:

– Może zostawię was same? Razem z winem?

Lucyna pokiwała głową, ale ja miałam inne zdanie.

– Nie! Chcę, żeby pan został. Najwyższa pora, żeby w tej rodzinie nie było żadnych sekretów!

Zaskoczyłam tą reakcją wszystkich, włącznie z sobą, jednak czułam, że tak należało. Coś we mnie pękło, jakaś granica została przekroczona, a może po prostu miałam już wszystkiego dość. Życie z hukiem zważyło mi się na głowę, a każdy jego filar rozsypał się w drobny mak. Natłok zdarzeń, w których mimowolnie uczestniczyłam, sprawił, że reagowałam jak robot, odruchowo, machinalnie, jak Aśka.

– Jesteś pewna? – Lucyna spojrzała na mnie ze wzruszeniem.

– Niczego już nie jestem pewna, ale nie chcę wciąż być karmiona kłamstwami i półprawdami. I miło mi pana poznać – rzuciłam z bladym uśmiechem do Sławka, który był równie zdumiony jak moja matka. Widocznie spodziewał się, że wyrzucę go za drzwi, wymyślając od najgorszych, a w najlepszym razie potraktuję wzgardliwym milczeniem. Trzy dni wcześniej ten scenariusz rzeczywiście mógł się ziścić.

Usiedliśmy przy stole; ja w stanie niemalże katatonii, Lucyna wzruszona i zmartwiona jednocześnie, trzymająca mnie za rękę, i Sławek, który w zasadzie więcej nie siedział, niż siedział przy tym stole, naturalnie bowiem wszedł w rolę gospodarza. Dziwne to było wrażenie – znów mieć w domu mężczyznę. Od śmierci Jarka zdążyłam zapomnieć, jak to jest, nie mówiąc o tym, że wychodzące na jaw grzechy mojego męża zupełnie zniekształciły mi wspomnienia naszego małżeństwa.

– O czym myślisz? – zapytała Lucyna z troską.

– O Jarku. I o tym, że chyba nigdy nie było w moim życiu faceta, który by się mną opiekował.

Łzy załśniły w pięknych oczach mojej matki, szybko jednak wzięła głęboki wdech, zamrugała energicznie kilka razy i odparła:

– Doskonale wiem, o czym mówisz. Twój dziadek nie był ani dobrym mężem, ani ojcem, więc i ja nie miałam takich doświadczeń. Co do twojego męża...

– Przecież zupełnie go nie znałaś – rzuciłam z nutą przygany.

– Mylisz się, aż za dobrze znam ten typ i wiedziałam, że nie czeka cię z nim nic dobrego.

Sławek rozstawił kieliszki do wina i wziął się za mocowanie z korkiem. Miałam ochotę podpowiedzieć mu, że korkociąg babci posiada funkcję dzwigni, ale postanowiłam nie odbierać mu splendorów wynikających z pozycji samca alfa.

– Wiedziałaś, że okaże się zdradliwym skunksem? – drążyłam, patrząc na Lucynę z ciekawością. – I pozwoliłaś mi za niego wyjść?

Matka uśmiechnęła się nieznacznie, jednak w jej oczach nie było ani trochę wesołości.

– A posłuchałaśbyś mnie? Przypomnij sobie, jak byłaś w niego zapatrzona, usprawiedliwiałaś każde paskudne zagranie i ja to rozumiałam. Myślisz, że ja nie popełniłam błędów z miłości? Nie można nikogo ochronić na siłę, wbrew jego woli.

– Miłość jest przereklamowana – parsknęłam ze złością.

– O, bardzo przepraszam, ale śmiem się nie zgodzić – zaprotestował Sławek, czerwony jak wino, którego wciąż nie udało mu się otworzyć. Napiął się w końcu, chwycił butelkę kolanami i z głośnym plaśnięciem wyjął korek. – Prawdziwa miłość jest wspaniałą przygodą i potrafi góry przenosić.

– Bardzo wam gratuluję, że znaleźliście siebie wzajemnie, ale ja już od dawna nie wierzę w happy endy – upierałam się jak dzieciak. – Albo coś jest nie tak ze mną, albo z facetami.

– Prawdziwi mężczyźni to gatunek na wyginieciu – zgodził się ze mną Sławek i nalał wino do kieliszków. – Ale głowa do góry, wszystko jeszcze przed panią.

Dziwnie zabrzmiała owa „pani”, podczas gdy ja w myślach zwracałam się do niego po imieniu. Proszbę o porzucenie form grzecznościowych przyjął z ulgą.

– Wróciliście od babci? – nawiązałam do tematu, który w tej chwili interesował mnie bardziej od pozostałych.

– Tak, widzieliśmy się z nią, jest w dobrym stanie – odpowiedziała Lucyna. – Muszę ci coś jednak powiedzieć.

– Nie musisz, Jo wszystko mi wyjaśniła. – Spojrzałam na nią z powagą i dodałam: – Powinnaś była powiedzieć mi od razu.

– Nie mogłam, Domi, babcia nie chciała, żebyś wiedziała.

Co takiego?

– Co ty mówisz? Jak to: nie chciała? Dlaczego?

– Nie chciała, żebyś się martwiła, zanim... – urwała i wymieniła spojrzenia ze Sławkiem. – Zanim załatwimy sprawy między nami. Ja i ty.

– Zaraz, momencik... Od jak dawna wiadomo? Co tu się wyprawiało w ostatnim czasie?

Znów wróciło to uczucie pomieszania rzeczywistości, jakbym znalazła się w równoległym świecie, w którym nie znałam ani zasad, ani realiów, ani scenariusza.

Lucyna westchnęła ciężko, a Sławek uściśnął jej lewą dłoń. Prawa wciąż spoczywała na mojej ręce. Miętko, ale rzeczowo matka streściła mi historię sięgającą kilku tygodni wstecz. Historię, jakich wiele, ale nigdy żadna z nich nie wydarzyła się tak blisko mnie. Jeden jedyny raz, kiedy zetknęłam się ze śmiertelną chorobą, miał miejsce wiele lat temu, kiedy byłam małą dziewczynką. Wtedy właśnie poznałam genezę cynamonowych gwiazd.

– Czyli chciałaś zdążyć ze ślubem, zanim umrze babcia? – upewniłam się, patrząc na matkę jak na obcą osobę. – Dlatego przyjechałaś, dlatego ona nie była zdziwiona? Cały czas wiedziałaś o jej chorobie, podczas gdy ja myślałam, że lata do przychodni, bo się nudzi?

– Od dawna planowałam powrót do Polski, do ciebie – odparła. – Choroba babci jedynie przyspieszyła tę decyzję.

– Pierwotnie planowaliśmy ślub za rok, na szczęście Lucynce udało się wszystko przyspieszyć – dodał Sławek.

– Mamo?

– Tak?

– Dlaczego teraz? Dlaczego nie wróciłaś wcześniej? Czy gdyby nie Sławek, zostałybyś tam?

Widziałam po jej minie, że nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Albo zwyczajnie nie chciała mnie zranić.

– Wydawało mi się, że jesteś szczęśliwa, że wcale mnie nie potrzebujesz – szepnęła ze smutkiem.

Sławek taktownie podniósł się od stołu, wymruczał jakieś usprawiedliwienie i opuścił salon. Coraz bardziej podobał mi się ten dobrze wychowany jegomość, miałam natomiast zastrzeżenia do jego wybranki. Zasklepione rany znów się otworzyły.

– Każde dziecko potrzebuje matki – zauważyłam z wyrzutem. – Wiem, że musiałaś mnie zostawić, bo dziadek przegrał fortunę i trzeba było spłacić wierzycieli. Ale przecież po jego śmierci mogłaś wrócić, ja na ciebie cały czas czekałam.

– Twój dziadek był nie tylko hazardzistą, pijakiem i człowiekiem pozbawionym honoru – odpowiedziała Lucyna twardo. – Był okrutnym tyranem i przez wiele lat co dnia modliłam się, żeby zapił się na śmierć. Kiedy dowiedziałam się, że jest w więzieniu, świętowałam od rana do nocy. Niestety, jeszcze przez wiele lat musiałam zarabiać, żeby utrzymać siebie, ciebie i spłacić jego długi. Musiałam odzyskać to, co ci się należało, dziecko.

– Masz na myśli... ten dom? – Zrozumiałam, dlaczego to Lucyna jest właścicielką mieszkania. Jej ojciec, a mój dziadek, stracił wszystko, a ona to odzyskała. Poświęcając własne szczęście.

– Ten dom, pamiątki rodzinne, wszystko, co ten człowiek bez mrugnienia okiem oddał za bezcen. Gdybym wróciła do Polski, nie utrzymałabym was, nie mogłabym zapewnić ci tego, co udało mi się dzięki pracy w Stanach.

– Jak to: nas? – Wciąż nie wszystko rozumiałam. Ale jak miałam rozumieć, skoro nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

– Babcia nigdy nie pracowała, Dominiko, nie miała wykształcenia, żadnego zawodu. Po śmierci dziadka nie należała jej się nawet renta rodzinna, więc nie miałam wyboru i musiałam zarabiać. Kontrakty ciągnące się latami, zobowiązania, praca przez wiele tygodni bez przerw: taki był koszt bezdusznych poczynań twojego dziadka.

– Dlaczego babcia nigdy mi o tym nie powiedziała?

– A co by to zmieniło? – zripostowała szybko. – Przecież nikt nie był w stanie niczego zmienić. A ty żyłabyś w jeszcze większym stresie. Tak było lepiej, przynajmniej twoje wspomnienia związane z tym człowiekiem są normalne.

Powiedzmy.

– A dlaczego nigdy nie ściągnęłaś nas do siebie?

Lucyna prychnęła i przewróciła oczami.

– Dopóki żył dziadek, babcia nie chciała o tym słyszeć. Sama nie mogłaś przylecieć, a ja nie miałam wtedy możliwości finansowych na to, żeby kupować bilety w obie strony. A później... Później było już za późno: ty dorastałaś, zaczynałaś swoje życie, nie mogłam cię z tego wyrwać.

Wszystko, co do mnie mówiła, brzmiało sensownie, jakbym rozmawiała z Aśką. W jednej chwili moja roztrzepana, żadna blichtru i blasku fleszy matka zmieniała się w racjonalnie myślącą i pełną poświęcenia kobietę, która całe życie podporządkowała naprawianiu błędów popełnionych przez jej ojca.

– Naprawdę chciałaś mnie ściągnąć do siebie? – zapytałam cicho.

– Nieustannie! Nie było dnia, żeby nie myślała o tym, jak bardzo chcę cię mieć przy sobie!

– Uhm... – Poczulałam wielki kłak zatykający mi przełyk i pożałowałam, że nie jestem kotem. Łyk wina nieco złagodził dyskomfort, ale dopiero wypicie kieliszka sprawiło, że poczułam się lepiej.

Sławek wrócił po kilku minutach i udało mu się nas nawet rozweselić. Był naprawdę miłym facetem, a moja matka promieniała, gdy patrzył na nią z uwielbieniem. W końcu zesłiliśmy na lżejsze tematy, ku zadowoleniu Lucyny. Kiedy zaczęły wymieniać uwagi dotyczące planów ślubnych, wyłączyłam się, odpływając do własnych myśli, i oprzytomniałam dopiero, gdy padło imię:

– Patryk – oznajmił Sławek. – Obiecał, że się tym zajmie, jak tylko wróci.

– Przepraszam, kto? – wtrąciłam się, licząc na to, że nie zauważyli mojej chwilowej mentalnej absencji.

– Patryk, syn Sławka – odpowiedziała Lucyna.

Co prawda niejednemu psu Burek i Patryk nie jest wcale tak rzadkim imieniem, jak choćby Zenobiusz czy Krzesimir, a jednak z jakiegoś powodu poczułam ukłucie w sercu.

– A tak właściwie, to jak ty masz na nazwisko? – zwróciłam się do przyszłego męża mojej matki.

– Orzechowski. Dlaczego pytasz?

– A, tak, z ciekawości – mruknęłam. Powinna być się ucieszyć, a tymczasem było mi nijak. Jakbym została rozczarowana.

– Lucyna Orzechowska, czy to nie brzmi ładnie? – Moja matka uśmiechała się tak szeroko, że widać jej było zdrowe ósemki.

– Cynamon-Orzechowska brzmi lepiej – stwierdziłam. I serio, to brzmiało zdecydowanie lepiej!

– Coś w tym jest, kochanie, może faktycznie tak zostawię?

Nagle poczułam się potwornie zmęczona. Z pewnością miało w tym udział także wino, choć emocje zrobiły swoje. Poza tym było już bardzo późno, a ja marzyłam o swoim łóżku. Pożegnałam się uprzejmie, wykąpałam w ekspresowym tempie i padłam jak kawka, zanim zdążyłam policzyć barany do dwóch.

Śniło mi się, że odbierałam nagrodę – w pięknej zielonej sukni z grubego aksamitu, z urodą jak z obrazka i fryzurą prosto z Hollywood. Matka znajdowała się na widowni i klaskała na stojąco, ocierając łzy wierzchem dłoni odzianym w czarną rękawiczkę. Obok niej stała babcia, uśmiechnięta i pękająca z dumy, trzymając pod rękę Patryka. Szczęrzył się do

mnie i nawet z tym idiotycznym uśmiechem wyglądał tak pięknie, że nie mogłam oderwać od niego wzroku. Sen urwał się w chwili, gdy zeszałam ze sceny i zmierzałam w kierunku Zawiszy, żeby go pocałować.

– Jasna cholera... – mruknęłam, obudziwszy się w najmniej pożądanym momencie. – Bogowie, oszczędźcie mnie, zabierzcie go z mojej głowy.

Zerknęłam na komórkę: żadnych wiadomości, nieodebranych połączeń, kompletna cisza. Było kilka minut po szóstej, przez płócienną roletę powoli przebijały się promienie słońca. Usiadłam na brzegu łóżka, spuszczać nogi na podłogę i spróbowałam przypomnieć sobie, czego dotyczyła nagroda wręczana mi we śnie. Przewijałam błędne obrazy, jak w fotoplastykonie, aż w końcu znalazłam to, czego szukałam.

Usiadłam do laptopa, włączyłam edytor tekstu i zaczęłam stukać w klawisze, jak natchniona, niepomna upływającego czasu. Byłam pewna, że minęło raptem pół godziny, gdy usłyszałam pukanie i w uchylonych drzwiach ukazała się twarz matki.

– Puk-puk, wstałaś? – Uśmiechała się do mnie promiennie.

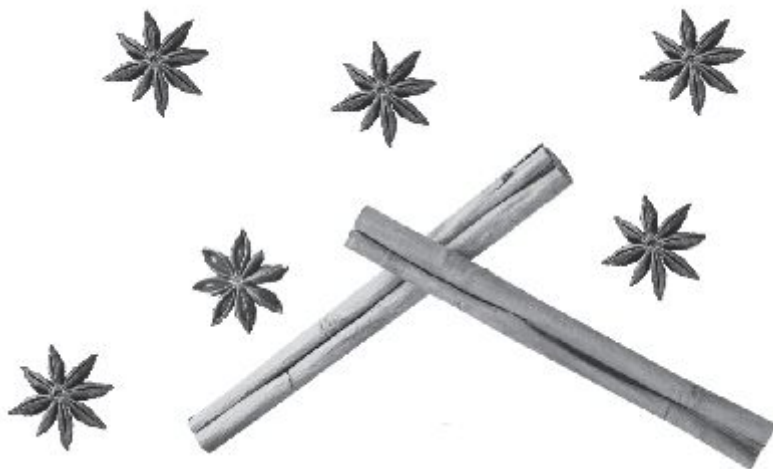
– Uhm, natchnęło mnie – odparłam, wciskając klawisz „zapisz”.

– Chodź na kawę i pojedziemy do babci.

Dopiero teraz zerknęłam na zegar w komputerze.

– Już dziewiąta?! – zdumiałam się. – O rany, straciłam poczucie czasu.

Zerwałam się z krzesła i pobiegłam do łazienki, bo uśpiony dotychczas pęcherz właśnie przypomniał o swoim istnieniu. Usłyszałam kroki Lucyny, kiedy mijala drzwi toalety, a zaraz potem młynek w ekspresie zaczął wydawać upiorne dźwięki. Zrobiło mi się błogo i na chwilę zapomniałam o całym złu tego świata.



Rozdział 23

Otoczona aparaturą nadzorującą jej czynności życiowe, babcia siedziała na łóżku, żywo dyskutując ze swoją współlokatorką. Widać było, że światopogląd mają bardzo odmienny, a to na Eleonorę działało jak płachta na byka. Gestykulowała więc zawzięcie, tłumacząc obficie w kształty starszycy, że „sumienie każdy człowiek ma własne i nie ma takiej ludzkiej ani boskiej siły, która mogłaby na nie wpłynąć”.

– Jesteś pewna, że ona jest chora? – szepnęłam do matki. Lucyna poklepała mnie po ramieniu i mrugnęła.

– Dzień dobry, mamu, widzę, że już wróciłaś do formy!

– Dominisia! – Babcia zignorowała zaczepkę i wpatrywała się we mnie z mieszaną radością i zdumieniem.

– Cześć, babciu. Niezły anturaż – pochwaliłam, krzywiąc się z niesmakiem. Zielona lamperia kłuła w oczy, nie mówiąc już o paskudnym gumoleum na podłodze.

– A to już minęło dziesięć dni? Jakaś taka mało opalona jesteś... – Przyglądała mi się swoimi bystrymi oczami, jakby szukała śladów przewin.

– Używałam wysokich filtrów – odparłam z nonszalancją.

– Jak się masz, mamu? – Lucyna ucałowała babcię w czoło i poprawiła jej poduszkę, która zsunęła się odrobinę za nisko.

– Znakomicie, znakomicie. – Łypnęła na moją matkę, co zapewne miało znaczyć, że nic więcej nie powie, żebym, nie daj Panie Boże, nie dowiedziała się za dużo.

– Babciu, spokojnie, już wszystko wiem – oznajmiłam, cmokając ją w policzek. – Chociaż jak na ciebie patrzę, to wierzyć mi się nie chce.

Jadąc do szpitala, spodziewałam się zobaczyć ledwo żywy cień kobiety, której zawdzięczałam wychowanie, tymczasem Eleonora kipiała życiem. Ten widok – radosnej, pełnej wigoru i bystrej babci – podziałał jak plaster na moją duszę.

Tymczasowa sąsiadka babci podniosła się z łóżka, wsunęła grubiutkie stopy w kaptcie i wyszła na korytarz.

– Rak jelita grubego – oświeciła nas matka mojej matki. – Czeka na operację, już trzecia stomia.

– Powiedz lepiej, jak ty się naprawdę czujesz, nic cię nie boli? – Lucyna nie dawała za wygraną.

Babcia pokręciła głową i skinęła w stronę stojaka, do którego przymocowano plastikowy worek z płynem,

– Daję mi tu coś przeciwbólowego – wyjaśniła. – Mów, Dominisiu, jak się udały warsztaty?

W normalnych okolicznościach opowiedziałabym jej wszystko, włącznie z felearnym wyborem obiektu seksualnych fantazji. Okoliczności jednak były dalekie od normalnych, pomijając nawet kwestię obecności mojej matki, z którą na tematy intymne wciąż nie potrafiłam rozmawiać.

– Nie bardzo się udały, babciu, bo okazało się, że nie tego szukam – odpowiedziałam, uciekając się do półprawdy.

Moja mina musiała mówić dużo więcej, niż ujęłam słowami, babcia bowiem skrzywiła się lekko, zmrużyła oczy i cmoknęła głośno. Zawsze tak robiła, gdy domyślała się, że kłamię, jednak tym razem z jakiegoś powodu nie skomentowała. Zamiast tego skupiła się na przekonywaniu matki, że czuje się znakomicie i wcale nie zamierza żegnać się z tym światem w najbliższym czasie. Definicji „najbliższego” nie podała, ale należało się domyślać, że chodziło o plany matrymonialne Lucyny.

– Jak stąd wyjdę, chciałabym pojechać po sukienkę z Dominiką – mówiła tonem nieznoszącym sprzeciwu. – I nie powiedziałaś mi jeszcze, kiedy macie zamiar się wprowadzić.

O, to zdecydowanie był temat, który żywo mnie interesował. Nadstawiłam więc uszu, udając, że oglądam coś w telefonie.

– Mamo, to chyba nie jest najwłaściwszy czas na tego typu rozmowy – mitygowała ją Lucyna, zerkając na mnie z niepewnością.

I znów czułam się jak dzieciak, którego za wszelką cenę chce się uchronić przed życiem, zamiast nauczyć go stawiać mu czoła. Zdenerwowało mnie to, żeby nie użyć brzydszego określenia.

– Pragnę zauważyć – odezwałam się – że nie ma potrzeby obchodzenia się ze mną jak z jajkiem i nawet byłoby wskazane, gdybyście przestały do siebie co chwila idiotycznie mrugać. Ja nie jestem ślepa ani głucha, głupia jedynie w stopniu umiarkowanym, ale rozumiem sygnały niewerbalne.

– Ma rację – stwierdziła babcia.

– Dziękuję – parsknęłam z wyższością. – A teraz poproszę o szczerość.

Lucyna nie wyglądała na zadowoloną, ewidentnie temat jej nie odpowiadał, a na domiar złego straciła alianta w osobie babci. Nie było mi z tego powodu szczególnie przykro, wręcz przeciwnie: w myślach odrząbiłam sukces na saksofonie.

– Nie zamierzamy się wprowadzać, to mieszkanie Dominiki i nie zamierzam jej tego odbierać – oświadczyła matka z niezłomnością. – Kupujemy ze Sławkiem dom pod Wrocławiem, właściwie już kupiliśmy.

O! „Mieszkanie Dominiki”. Jeśli kiedykolwiek napiszę autobiografię, ten rozdział zatytułuję: „Miesiąc szoku”.

Babcia nie była w szoku, nie wyglądała nawet na zaskoczoną, raczej zniecierpliwioną i niezadowoloną. Podsunęła się wyżej na łożku, siadając już niemal w pionie, znów zacmokała i skierowała na matkę stalowe spojrzenie.

– Możesz nas zostawić, Lucynko – oznajmiła. – Wiem, że masz sporo spraw do załatwienia, a ja jestem pod opieką i na razie nie planuję żadnych ekscesów, więc jedź. Mam kilka spraw do omówienia z wnuczką.

Matka musiała się tego spodziewać, skinęła głową, podniosła się z krzesła, pocałowała mnie w policzek i wyszła, machając na pożegnanie. Sąsiadka babci wciąż nie wracała, zostaliśmy więc same, co stanowiło miłą namiastkę normalności. No, może poza pikającą maszynerią i obrzydliwym wykończeniem lokalu, w którym się znajdowałyśmy.

– Zawołam pielęgniarkę i pójdziemy do kawiarni – zdecydowała Eleonora i wcisnęła guzik nad łóżkiem. Kobieta w białym kitlu zmaterializowała się w okamgnieniu, jakby tylko czekała na znak-sygnal. Po zastanowieniu uznałam, że właściwie tak mogło być, po mojej babce można było spodziewać się wszystkiego, a o tym, że potrafi doskonale knuć, przekonałam się już kilka razy.

Pielęgniarka sprawnie wypięta kroplówki, pomogła babci wstać i upewniwszy się, że pacjentka jest w stanie chodzić, zostawiła nas bez słowa.

– Chodźmy, Dominisiu, dają tu ponoć dobry sernik, jedna pani codziennie piecze, domowy.

Akurat nie sernik miałam w głowie, ale nie stawiałam oporu, licząc na to, że kafeteria miała innego dekoratora wnętrz i nie będzie straszyć lamperią w kolorze ekskrementów po przejedzeniu się szpinakiem.

W kafejce było pusto, jeśli nie liczyć obsługi i jednego lekarza, który zajął stolik w kącie i z wyraźnym apetytem pochłaniał słodką bułkę. Obok talerzyka, na którym czekała na zjedzenie porcja ciasta – prawdopodobnie tego osławionego sernika – stał jednorazowy kubek, z którego smutno zwisał sznureczek z dyndającą na końcu etykietą producenta herbaty średniej jakości.

Eleonora różnym krokiem podeszła do kontuaru, zamówiła dwie porcje sernika i dwie kawy z ekspresu, zaznaczając, że „mają być mocne i w filiżankach”, po czym udała się pod okno, gdzie zajęła miejsce przy stole odizolowanym od reszty pomieszczenia filarem.

Poczekaliśmy na nasze zamówienie i dołączyłam do babci, która przyglądała się miastu przez niezbyt czystą szybę.

– I pomyśleć, że jeszcze kilka lat temu nie było tych osiedli, a jedynie las i chaszczce – skonstatowała z żalem.

– W lesie raczej by cię nie leczono, więc na dobre wyszło.

– Podobno od miasta chorujemy – oznajmiła.

– Co to znaczy: od miasta? – Zabrzmiało to trochę jak proza Olgi Tokarczuk, którą babcia uwielbiała.

– Niemcy wiedzieli, że tu nie da się żyć, dlatego mało kto zapuszczał korzenie w Breslau. Nic dziwnego, że zżera nas rak.

– Czyli w Warszawie ludzie nie chorują na raka, chyba że wcześniej mieszkali we Wrocławiu? – zakpiłam. Cóż to za dyrdymały?

– Dworuj sobie, dziecko, dworuj – parsknęła babcia. – Ale dla swojego dobra powinnaś się wyprowadzić i zamieszkać w jakimś miłym miejscu.

Aha, już lecę. Dopiero co zostałam właścicielką nieruchomości.

– Chciałaś ze mną rozmawiać o złym wpływie Wrocławia na zdrowie? Równie dobrze mogłyśmy zostać w twoim przygnębiającym królestwie – stwierdziłam cierpko. – Poza tym pragnę zauważyć, że to także twój dom i nie zamierzam cię zostawić.

Eleonora odwróciła wzrok od okna i spojrzała na mnie bystro.

– Ja już się kończę, dziecko, a ty musisz myśleć o przyszłości. Dobrze cię wychowałam, więc się nie martwię, ale to nie znaczy, że wszystko będzie łatwe.

– Poczieszaj... – mruknęłam. Czy my właśnie rozmawialiśmy o śmierci?

– Nie rób takiej miny, bo urody ci nie dodaje! – obsztorcowała mnie. – Nie życzę sobie żadnych lamentów, żadnych łez. Życie jest odcinkiem, ma swój początek i koniec, i jak każdy odcinek określoną długość.

– Babciu...

– Cicho, nie przerywaj! – podniosła głos, aż zwróciła na nas uwagę lekarza zajadającego się ciastem po przeciwnej stronie kafeterii. – Pamiętasz opowieść o cynamonowych gwiazdach?

Czy pamiętam? Bardzo chciałabym na chwilę zapomnieć, bo zaczęła źle mi się kojarzyć.

– Pamiętam – odparłam szeptem, merdając łyżeczką w filiżance. Kawa zaiste wyglądała na mocną, pachniała orzechami i nutą... cynamonu.

– Tę historię wymyśliła twoja mama – oznajmiła Eleonora ku mojemu zaskoczeniu. – Kiedy była mała, uwielbiała obserwować gwiazdy, tak samo jak ty. I to ona opowiedziała mi o duszach ludzi zmieniających się po śmierci w świetliste punkciki. A ponieważ nazywamy się Cynamon, nasze dusze z pewnością muszą pachnieć cynamonem.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Dlatego, że tak długo, jak będziesz o tym pamiętać, tak długo ja będę dla ciebie świecić. Zawsze, każdej nocy. Ona w to wierzyła, wciąż wierzy, dlatego w rocznicę śmierci każdego bliskiego pieczemy cynamonowe ciastka w kształcie gwiazd.

Spojrzałam na babcie z niedowierzaniem. Nasza rodzina nie była wielka, wytrzebiono nas w czasie Holocaustu, a ciasteczka pojawiały się w domu Eleonory kilka razy w roku. Ostatnio przecież...

– Rocznicę śmierci dziadka... – wyszeptalam, nagle uświadamiając sobie zaskakującą prawdę. – Ale mówiłaś, że to Lucyna... że mama je...

Babcia pokiwała głową i położyła pokrytą starczymi plamami dłoń na mojej.

– Ona mu wybaczyła. Teraz ty musisz wybaczyć jej. Ona cię kocha, Dominiko, jak nikogo na świecie. – Głaskała moją dłoń z czułością, którą obdarzała mnie każdego dnia. Nawet wówczas, gdy buntowałam się przeciw jej zasadom, gdy stawałam okoniem, byłam bezczelna i nieznośna. Jak to możliwe, że za chwilę jej nie będzie? – Zawsze będę przy tobie –

dodała, czytając w mojej twarzy jak w otwartej księdze. To także zawsze potrafiła. – I ona również.

Miałam ochotę strącić jej rękę, powiedzieć coś złośliwego, wspiąć się na wyżyny buntu, który kipiał we mnie przez lata, ale powoli docierało do mnie, że nie potrafię. Nie przychodziła mi do głowy żadna cięta riposta, żaden bezczelny komentarz.

Poczułam łzy zbierające się w kącikach oczu, a przecież babcia zabroniła mi płakać. Ona trzymała się twardo, jakby rozmowa o odchodzeniu wcale jej nie raniła.

– Dlaczego ukryłaś przede mną prawdę? O dziadku i o tym, co zrobił? Balaś się, że cię zostawię i pojedę do mamy?

Szare oczy, w których drzemała cała mądrość tego świata, rozszerzyły się i objęły moją twarz badawczym spojrzeniem.

– Dziecko, czy ty naprawdę postradałaś rozum? Pomyśl, jak bardzo bym cię skrzywdziła, gdybyś znała prawdę. Nie dość, że czułaś się sierotą, to jeszcze miałabyś świadomość, że przyczyną twojego nieszczęścia jest człowiek, którego bardzo kochasz. I on ciebie kochał, jak nikogo innego.

Może jedynie hazard...

Siedziałyśmy w milczeniu. Eleonora podstawiła sobie drugie krzesło pod nogi, chwyciła talerzyk w dłonie i rozkoszowała się smakiem domowego ciasta, obserwując ruch na pobliskim rondzie. Ja tymczasem obserwowałam ją: znajomy układ zmarszczek, odrobinę zbyt duży nos zdradzający nasze żydowskie korzenie, siwe pukle, wystające obojczyki. Wyobraziłam sobie Lucynę, kiedy będzie w jej wieku; poza tuszą, nabraną dzięki amerykańskiemu żarciu, byłyby niemal jak bliźniaczki. Jedynie oczy matka miała niebieskie, po dziadku. Czy ja też będę wyglądać jak one? Jak wszystkie cyfrowe gwiazdy?

Skończywszy ciasto, babcia oderwała zamyślane spojrzenie od okna i skierowała je na mój talerzyk, na którym tkwił niemal nieruszony sernik.

– Dlaczego nie jesz? – upomniała mnie, co brzmiało tak samo jak wówczas, gdy zmuszała mnie do wciskania w siebie zupy mlecznej przed wyjściem do szkoły. Do dziś na wspomnienie zacierek zdarza mi się stracić apetyt.

– A jakoś nie mam weny...

– Wene to mógł mieć Picasso, a ty musisz jeść – fuknęła, sięgając po mój talerz. – Dlaczego wróciłaś przed czasem?

Wiedziałam, że to pytanie w końcu padnie, ale wciąż nie wymyśliłam mądrej odpowiedzi. Zresztą kłamstwo i tak by nie przeszło. Nie z nią, ta kobieta to żywy wariograf.

– Nie wiem, od czego zacząć... – wyznałam, po czym zaczęłam od tego, od czego wszystko się zaczęło. Słowa, początkowo powoli, z czasem coraz sprawniej układały się w zdania. Eleonora nie odrywała ode mnie wzroku i nie przerywała, a ja mówiłam i mówiłam, i mówiłam. Opowiadałam i przeżywałam od nowa, wzruszałam się i wściekałam, utwierdzając w przekonaniu, że postąpiłam w jedyny właściwy sposób. – Nie żałuję, babciu – zakończyłam. – Nawet jeśli moją drogą jest pisanie, to ja jeszcze nie znalazłam się na właściwym rozstaju. Mierzi mnie to wszystko, z czym wiąże się wejście na świecznik. Rozumiesz mnie?

– Jestem z ciebie dumna – oznajmiła najwspanialsza z istot, jakie wydała Matka Ziemia. – Największym dowodem dojrzałości i mądrości jest przyznanie się do własnych ograniczeń. Być może to wcale nie wygląda tak źle, jak zostało ci przedstawione, ale rozumiem, dlaczego się zniechęciłaś.

– I nie uważasz, że stchórzyłam?

– Bynajmniej, dziecko. To twoje życie i nawet jeśli popełniłaś błąd, masz do tego prawo. Choć nie uważam, żeby to był błąd, znam cię trochę – dodała szybko i uśmiechnęła się jak szelma, którą przecież była. – A ten Patryk? Chyba powinnaś z nim porozmawiać?

– Wolałabym nie...

– Teraz tchórzysz.

Wzruszyłam ramionami i schowałam się za filiżanką z kawą. Naprawdę smakowała cynamonem!

– Może kiedyś... Kiedy już mi minie zauroczenie i będę mogła myśleć o nim jak o koledze.

– Miłość to zadziwiające zjawisko – podsumowała filozoficznie Eleonora. – Albo omija cię szerokim łukiem, albo zwala się na ciebie jak lawina, z każdej strony.

– I po cholere mi ona? Żebym znów cierpiała i śniła o facecie, który jest poza moim zasięgiem?

Spodziewałam się, że powie coś, co mnie pocieszy, coś kojącego, tymczasem znów okazała się bezwzględny stoikiem.

– Nie ten, to inny, jego strata. Ale zdaje się, że nie zauważasz, że życie nie znosi próżni i obdarowało cię miłością z innej strony. Nie zapominaj o tym, Dominiko, nic nie jest czarno-białe, a niektóre wybory nie są oczywiste.

Przyznaję: nie zawsze rozumiałam złote myśli mojej babci, zdarzało jej się mówić do mnie językiem, którego poszczególne słowa nie składały się w jasny dla mnie komunikat. Tym razem jednak dobrze wiedziałam, że strona, z której przysłała miłość, znajdowała się za oceanem. I pod moim dachem, i w mojej przeszłości. Niestety znajdowała się też na Teneryfie, z którą to myślą nie potrafiłam sobie jeszcze poradzić.

– No, to pogadały – podsumowała babcia, kończąc drugą porcję ciasta. – Wracaj do domu i szykuj się do ślubu mamy.

– I szukaj pracy – mruknęłam. Krzesło zaszurało, kiedy je odsuwałam.

– Praca się znajdzie – pocieszyła mnie. – Co ten Patryk ci powiedział?

O masz! A co ma do tego Patryk?

– Różne rzeczy, na przykład to, że przeżył ze mną spektakularny orgazm...

– Czyli możesz zacząć pracę w branży pornograficznej – skonstatowała Eleonora z jadem. Należało mi się, akurat to musiałam zapamiętać z tych wszystkich mądrych rzeczy?

Odprowadziłam ją do pokoju, w którym sąsiadka już stękała na swoim łóżku, a na widok babci przewróciła oczami. Nie wiedziałam, czy powinnam jej żałować czy nie; może była złą osobą, która właśnie dostawała swoją karmę z powrotem?

Upewniwszy się, że Eleonora bezpiecznie wylądowała w swoim eleganckim łóżku z przeróżnymi guzikami przy barierkach, pożegnałam się grzecznie, obiecując zjawić się następnego dnia i kategorycznie zażądać wypisu babci do domu (bo przecież musi przymierzyć sukienkę!), po czym wyszłam na korytarz, ale w roztargnieniu, zamiast skrócić w lewo, do wyjścia, poszłam w prawo. Po chwili zorientowałam się, że zbłądziłam, zatrzymałam się energicznie, odwróciłam na pięcie i odbiłam od faceta, w którego oczach zobaczyłam czyste szaleństwo.

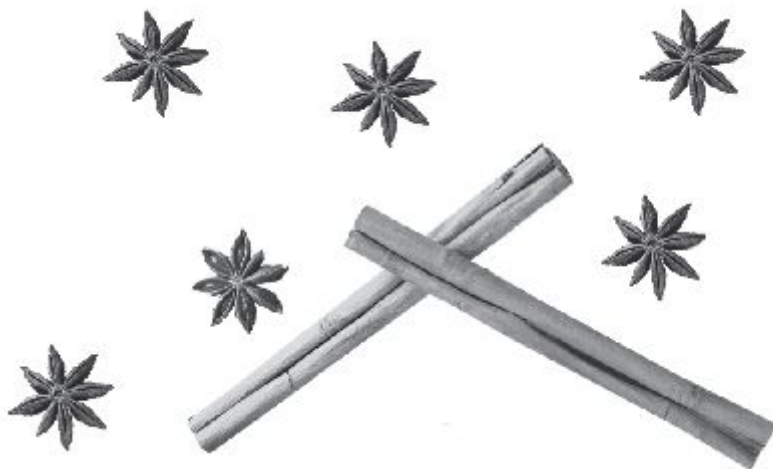
– Przepraszamależona! – wydyszał i pobiegł w głąb korytarza, który jak się okazało, prowadził na oddział położniczy. Facet trzymał w ręku torbę podróżną, pomyślałam więc, że

pędził z nią na blok porodowy. Nic dziwnego, że miał w oczach szłał.

Patrzyłam za nim przez chwilę, podziwiając, jak sprawnie lawiruje między personelem rozwożącym obiad a kręcącymi się ludźmi, kiedy moje oko uchwyciło znajomą sylwetkę.

– Patryk?! – szepnęłam, kuląc się w środku. – A gdzie tam Patryk, kretyńko! – obsztorcowałam się. – Boże, co za obsesja...

Z uczuciem zniesmaczenia ruszyłam ku wyjściu ze szpitala i jak na autopilocie wróciłam do mieszkania. Wciąż nie docierało do mnie, że za kilka chwil panująca w nim cisza stanie się czymś normalnym. Na razie była jedynie stanem przejściowym.



Rozdział 24

Kolejne dni upływały pod znakiem szukania pracy, odwiedzania babci, której nie chciano wypuścić, dopóki nie ustabilizuje jej się ciśnienie, biegania po sklepach z Lucyną i pisania. To ostatnie, czemu z zapamiętaniem oddawałam się każdego wieczora, było swoistą terapią, jaką sama sobie zaordynowałam.

Trzy dni przed ślubem odebrałam telefon od miłej rekruterki, która zaprosiła mnie na rozmowę. Akurat zajmowałam się planowaniem rozsadzenia gości, więc moje myśli zaprzętało przypominanie sobie, która kuzynka nie lubi którego kuzyna i czy ciotka X na pewno może siedzieć naprzeciwko ciotki Y, bo nie pamiętałam, czy to nie któraś z nich odbiła drugiej męża, dlatego też nie zapamiętałam ani w imieniu jakiej firmy, ani na jakie stanowisko właśnie aplikuję. Zgodziłam się na zaproponowany termin spotkania, potwierdziłam adres e-mail i wróciłam do roztrząsania rodzinnych brudów. Żałowałam jedynie, że nie ma przy mnie babci, bo ona z pewnością pamiętała każdą anegdotkę i rozprawiłaby się z etykietami w try miga.

Mimo natłoku zajęć moje myśli wciąż tułały się wokół sobowtóra Keanu Reevesa, a w dodatku odnosiłam wrażenie, że coraz ze mną gorzej. Zaczęłam wykazywać obsesyjne zachowania: miliony razy przeglądałam jego fanpage na Facebooku (co z tego, że nazywał się Patricia McKnight), wyszukiwałam wywiady w sieci, przeglądałam recenzje książek i wściekałam się, gdy jakaś łajza dała mu jedną gwiazdkę i opinię „beznadzieja”. Jego prywatny profil też znalazłam, ale nie odważyłam się zaprosić go do znajomych, choć tyle razy patrzyłam na zdjęcie profilowe, że nauczyłam się go na pamięć.

Beznadzieja...

Aśka co jakiś czas dzwoniła do mnie, żeby sprawdzić, jak się mam, więc okłamywałam ją, przybierając radosny ton głosu i opowiadałam jakieś bzdury na temat szukania kotylionów,

dobierania wstążeczek i zamawiania księgi gości. Tymczasem serce mi krwawiło niczym zarzynana świnia, przestałam jeść, wskutek czego udało mi się osiągnąć upragnioną wagę, i wreszcie zmieściłam się w kupione na przecenie szałowe džinsy, rozmiar trzydzieści cztery. Ostatni raz mogłam się pochwalić taką sylwetką w okolicach matury, więc na coś ta nieszcześliwa miłość mi się przydała.

– Jezus Maria, jak ty schudłaś! – krzyczała na mnie babcia, każdego dnia. – Prawda, że schudła, pani Krawczykowa?

Pani Krawczykowa zazwyczaj wzruszała ramionami i oddawała się rozwiązywaniu krzyżówek. Jeśli akurat miała lepszy humor, zdarzało jej się opowiadać o tym, jak to ongiś miała figurę Marilyn Monroe, a po urodzeniu czwartego dziecka w miesiąc wróciła do swojej wagi i talii o obwodzie pięćdziesiąt sześć centymetrów. Sądząc po tym, jak wyglądała obecnie, od tego czasu musiała zjeść bardzo dużo pączków, które – co zauważyłam już w trakcie drugiej wizyty – lubiła nadmiernie. Nie sądzę również, żeby jej dieta przewidywała pączki, niemniej ktoś jej tę kontrabandę dostarczał. Podejrzewałyśmy z babcią, że najmłodsza córka, także niestroniąca od słodyczy.

Kiedy w przeddzień ślubu zadzwoniła do mnie matka i oświadczyła, że właśnie wraca do domu z babcią, omal nie padłam z radości. Wszystko – poza nieszczęsną sukienką dla Eleonory – było gotowe, a ja nie mogłam doczekać się chwili, kiedy znów usiądziemy w kuchni i będziemy rozmawiać o wszystkim. Za wszelką cenę trzymałam się myśli, że nic się nie zmienia, lekarze nie są wróżbitami, a gwiazdy i tak są wieczne, więc mogą poczekać na babcię jeszcze wiele lat.

– Mam złe wieści – oznajmiła od progu seniorka. – A co tu tak pachnie, umarł ktoś?!

Lucyna pociągnęła nosem i uśmiechnęła się łobuzersko.

– Nie, to tylko twoja wnuczka próbowała coś upiec – zakpiła.

Babcia ruszyła do kuchni, spodziewając się zapewne, że zastanie jedynie jej zgłiszcza, a po chwili usłyszałyśmy donośny śmiech. Rechot raczej.

– Dominisium, Dominisium, ale z ciebie antytalent. Cały dziadek!

Zrobiło mi się przykro. Może i nie odziedziczyłam zdolności po Lucynie ani po babci, tak dla jasności, ale żeby od razu antytalent...

Zaintrygowana matka odstawiła walizkę z rzeczami babci do kąta w salonie i pomknęła do kuchni, ja człapałam za nią.

– O matko, jakie śliczne te węgielki! – zachwyciała się Lucyna, obracając w palcach doszczętnie spalone ciastko w kształcie gwiazdy.

– Przydadzą się, jakby kogoś złapała biegunka – podsunęłam.

– Ale czuć cynamon! – dodała matka, uszczknąwszy kawałek.

– To dlatego skojarzyło mi się ze śmiercią... – skwitowała babcia. – Przygotowałeś się na okoliczność? Taka próba generalna?

Spojrzałyśmy na nią – ja i matka – z identycznym wyrazem obrzydzenia na twarzy. Może i wyssałyśmy cynizm z mlekiem matek, ale bez przesady...

– Chyba trochę przegięłaś, mamo – oceniła Lucyna. – Jak chcesz, Domi, to upieczemy w niedzielę razem. A te damy Sławkowi, on wszystko zje.

Wzruszyłam ramionami, wszystko mi było jedno. Najwidoczniej cukiernictwo również nie było moim powołaniem i kto wie, czy ten seksworking nie powinien jednak wejść na tapet.

Pora była wybitnie obiadowa, ale żadnej z nas nie chciało się gotować, głodne też nie byłyśmy, poza tym oczekiwano nas w salonie, w którym Lucyna zamówiła sukienki. Wyszliśmy więc w pośpiechu, zostawiając skwarki w kształcie gwiazdek na stole, i pojechałyśmy odebrać zamówione kreacje. Wszystkożerny Sławek miał się z nami spotkać w restauracji, żeby celebrować zjednoczenie rodziny przy wspólnym obiedzie, zanim rozpęta się pandemonium z Cynamonami i ich powinowatymi w rolach głównych.

bbChoć wydawało się, że nie ma nic prostszego niż odebranie wybranej sukienki, zajęło nam to ponad dwie godziny. Jak gdyby wszystko sprzysięgło się przeciwko nam, z całych sił oponując przeciw spotkaniu z przyszłym panem młodym.

Obsługa salonu nie mogła odnaleźć właściwej kreacji, którą ktoś złośliwie powiesił w zupełnie innym miejscu i oznaczył zupełnie innym numerem. Zamek zaciął się dokładnie na środku, w dodatku na modelce, przez co cztery osoby przez bite dwadzieścia minut siłowały się, żeby zdjąć sukienkę z babci. Kiedy przyszło do płatności, skończyła się taśma – najpierw w kasie, następnie w terminalu, a na końcu terminal odmówił współpracy i trzeba było na gwałt szukać bankomatu.

Zmęczone, złe i potwornie głodne doszliśmy w końcu na miejsce spotkania, gdzie Sławek musiał wypić już kilka litrów wody, zapewniając zniecierpliwioną kelnerkę, że „reszta zaraz dołączy”. Na widok mojej matki doznał takiej ulgi, że nawet mnie zrobiło się go żal.

Tymczasem babcia psioczyła ile wlezie, sapała i parskała, jakby to ona musiała za tym bankomatem latać, a nie ja. Humory miałyśmy zaiste radosne i całkowicie adekwatne do okazji.

– A gdzie Patryk? – zapytała Lucyna, całując męża in spe w policzek.

Serce podskoczyło mi do gardła. Czy już zawsze miałam tak reagować na to imię?

– Coś go zatrzymało w pracy, chyba nie dojedzie – odparł przeproszającym tonem Sławek.

– A gdzie on pracuje? – podjęła temat babcia. Prosto z mostu, jak zawsze.

– W jakiejś redakcji, przecinki tropi czy coś takiego.

Kurtyna.

– O, patrz, Dominisiu, może go znasz? – zasugerowała Eleonora wesoło.

Zrobiło mi się gorąco. Momentalnie oblał mnie pot, a nogi zamieniły się w dwa galaretowate wyrostki, które z całą pewnością nie spełniłyby swojej funkcji, gdybym nie siedziała. W gardle też mi zaschło, przez co głos zabrzmiął, jakby pochodził od jakiejś istoty z piekła rodem.

– A skąd miałabym go znać?

Sławek i Lucyna spojrzeli na mnie, pewnie przez ten demoniczny głos, a ja spociłam się jeszcze bardziej.

– Ze studiów? Albo z tych jakichś tam twoich warsztatów? – indagowała babcia.

– Nie znałam żadnego Patryka na studiach – odparłam zimno. – I wcale nie znam zbyt wielu redaktorów, przecież nie zajmowałam się tym od lat. Ostatni raz w trakcie praktyk studenckich w wydawnictwie, czyli prawie przed węglem.

I właśnie w tej chwili zrozumiałam, co babcia miała na myśli, kiedy zapytała o słowa Patryka. „Byłabyś świetnym redaktorem” – tak przecież powiedział, a ja bezwiednie zapamiętałam i powtórzyłam Eleonorze w przypiływie szczerości.

– A bo pomyślałam, że możecie się znać – rzuciła niezrażona babcia. – To znowu nie jest takie popularne imię.

Taaaa.

– A u nas w rodzinie nawet bardzo – zaoponował Sławek. – W każdym pokoleniu mamy kilku Patryków i kilka Patrycji.

Rozgorzała dyskusja na temat tradycji i zwyczajów nadawania imion w rodzinach, a moja matka opowiedziała anegdotę, jak to musiała szybko zmienić mnie na Dominikę, chociaż ze szpitala wyszłam jako Julka, bo okazało się, że siostrzenica babci dwa dni wcześniej ochrzciła tak córkę.

– A to nie mogło być dwóch Julek? – zdumiał się Sławek. Widać było, że nowicjusz, jeszcze nie zdążył poznać panujących zasad.

– Nie!!! – krzyknęły unisono matka i babka Cynamon.

– Witaj w kukułczym gnieździe – oznajmiłam, szczerząc się do przyszłego ojczyma. – Jeśli chcesz poznać żonę, przyjrzyj się teściowej... – Sławek spojrział na mnie z przerażeniem, ale szybko przywołał się do porządku, bo Lucyna ścisnęła go mocno za rękę, obdarzając uśmiechem, za który można nawet wybaczyć teściową. – A tak właściwie to skąd wy się znacie?

Zakochane gołąbki wymieniły mdlące spojrzenia i zaczęły się licytować, które opowie tę, bez wątpienia, wzruszającą historię. Pożałowałam swojego idiotyzmu, ale było już za późno.

– My się znamy niemal czterdzieści lat. – Palma pierwszeństwa przypadła Sławkowi. – Chodziliśmy razem do liceum.

Przepraszam bardzo, czy jeszcze coś mnie zaskoczy? Albo nie, po co ja właściwie się nad tym zastanawiam...

– I w liceum ze sobą chodziliśmy – dodała Lucyna. – Potem, gdy wyjechałam do Stanów, kontakt nam się urwał, ale znaleźliśmy się kilkanaście lat temu przez Naszą Klasę...

– A potem przez Facebooka i tak już zostało.

Nawet zdania za siebie kończyli!

– Sławek bardzo starał się mnie odszukać i w końcu mu się udało – pochwaliła go matka. – Co ma wisieć, nie utonie, prawda, kotku?

Musiałam wziąć głęboki oddech, bo odrobinę mnie przytknęło. Nie, zatkało mnie na amen.

Lucyna spojrzała na mnie i zbladła.

– Córciu? Co ci jest? Co się stało?

– Czy... Czy wy mi chcecie powiedzieć, że to jest...? Czy Sławek jest moim ojcem?

Idealne brwi Lucyny podjechały niemal na czubek jej czoła. Czoło Sławka zaś ozdobiły krople potu. Patrzyli na mnie oboje, jakbym na ich oczach przeistoczyła się w smoka. Babcia zaś...

Babcia zaczęła chichotać.

Rechotać.

Zanosić się śmiechem.

Po chwili Lucyna też się trzęsła, a Sławek z trudem tłumił wybuch.

– Ależ w żadnym razie, Domi! – zaprzeczyła matka, odzyskawszy oddech. – Myślisz, że trzymałabym przed tobą taką rzecz w tajemnicy?

– Biorąc pod uwagę lawinę trupów wysypujących się z szafy w ostatnim czasie, uważam, że to pytanie jest niezasadne – odparłam nadąsana.

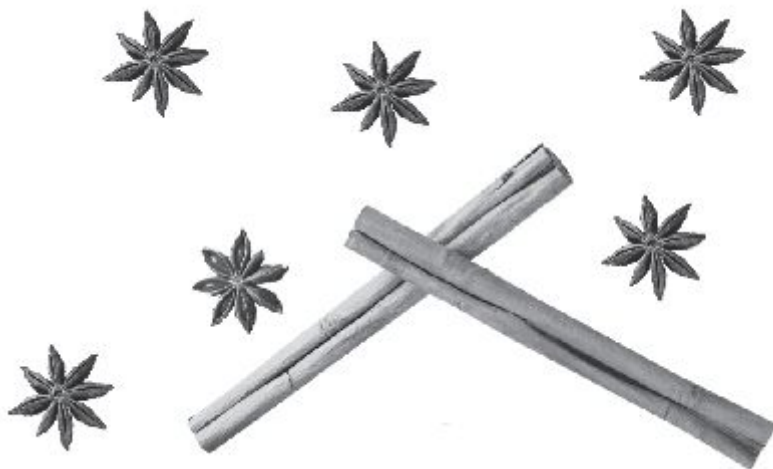
– *Touché* – zgodziła się ze mną. – Nie, i jeszcze raz: nie. Sławek nie jest twoim ojcem.

– I bardzo tego żałuję – dodał całkiem poważnie jej narzeczoney. – Gdybym wiedział wcześniej, co się działo z twoją mamą, wiele rzeczy mogłoby wyglądać inaczej.

Gdyby szafa miała sznurek, toby była windą, jak mawiał mój nauczyciel angielskiego w podstawówce. A gdyby świat był sprawiedliwy, siedziałabym tu teraz z Patrykiem.

– Patryk! – Sławek podniósł się z krzesła i uśmiechał się nad moją głową, machając do kogoś.

Odwróciłam się w tamtym kierunku i zamarłam.



Rozdział 25

– Domi?!

Siedziałam wykręcona jak paralytyk i zbierałam szczękę z podłogi. No, prawie, ale do stuknięcia nią o stół niewiele zabrakło.

Trzy metry przede mną stała moja rudowłosa przyjaciółka uczepiona ramienia wymoczkowatego blondyna o wybitnie nienachalnej urodzie. Miał szeroko rozstawione, wylupiaste oczy i stanowczo zbyt cienki nos, z którym kontrastowały wyjątkowo szerokie usta. Na nosie zaś ledwo trzymały się okrągłe okulary.

– Co ty tu robisz, Jo?

– Jestem *plus one* – oznajmiła z uśmiechem numer pięć. – Dzień dobry, pani Lucyno. Pani Eleonoro, jak cudownie panią widzieć!

Rzuciła się na babcię, pozostawiając w osłupieniu nie tylko mnie, ale też wymoczkowatego blondyna, który nie wiedział, na którą z nas powinien gapić się bardziej.

– *Plus one* dla...? – zapytałam.

– Dla Patryka, twojego nowego brata – oświadczyła i cmoknęła mnie w policzek.

Zważywszy na to, że dotychczas nie posiadałam żadnego brata, informacja o „nowym” odrobinę mną wstrząsnęła. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że owym bratem jest nie kto inny, ale właściciel wylupiastego spojrzenia.

– Ależ on... brzydki – szepnęłam do Aśki.

– Prawda?! – pisnęła z uśmiechem tak szerokim, że było widać wszystkie trzydzieści dwa zęby. Wyglądała, jakby wygrała na loterii co najmniej sto milionów. – Jest idealny!

„Ładne nie to, co ładne, ale to, co się komu podoba”, zwykła mawiać Eleonora i jak zwykle miała rację. Jo polowała na brzydali z godną podziwu zaciętością i widać było, że

nieustannie podnosi poprzeczkę. Albo obniża – zależy, od której strony na to spojrzeć.

– Patryku, nie stój jak ślup soli – zbeształ syna Sławek. – Przywitaj się z Dominiką i panią Eleonorą.

Żabie usta kłapnęły i wymamrotały coś, co mogły usłyszeć jedynie nietoperze, po czym mężczyzna wyglądający na zbliżającego się do czterdziestki ruszył się z miejsca, do którego wydawał się przyspawany.

– Dzień dobry, Patryk Orzechowski. – Wyciągnął do mnie chudą rękę, która w mojej dłoni zamieniła się w zdechłego śledzia. – Miło mi panią poznać.

– Dominika Cynamon i proszę bez „pani” – odparłam, nie odwzajemniając komplementu. Jeszcze nie wiedziałam, czy jest mi miło, na razie strząsałam z siebie ten dotyk śniętej ryby.

Fakt, że dzielił imię z najpiękniejszym facetem pod słońcem, wydawał mi się niestosowny, musiałam więc wymyślić dla nowego „brata” jakąś ksywę. „Żabi ryj” i „kocia morda” były już zajęte przez moje arcywroginie, może więc ten „śledź” do niego przylgnie.

Aśka zajęła krzesło po mojej lewej stronie, u szczytu stołu, jej wybranek zaś usiadł naprzeciwko, pomiędzy Eleonorą a Lucyną, które natychmiast zasypały go gradem pytań. Dzięki temu mogłam bez skrępowania podjąć się inwigilacji przyjaciółki, nie narażając się na zranienie śledziowych uczuć.

– Masz mi coś do powiedzenia? – wycodziłam.

– Chyba niewiele, to świeża sprawa – odpowiedziała bez skruchy.

– Skąd go wytrzasnąłaś? Byłaś ostatnio w klubie nieudaczników?

– No wiesz! – oburzyła się. – Tak się składa, że tej książki nie należy oceniać po okładce, nomen omen, bo w środku jest dużo dobra. I dla twojej wiadomości – wlepiła we mnie twardy wzrok – poznałam go dzięki twojej mamie, zaprosiła mnie na obiad, kiedy ty odkrywałaś wątpliwe uroki świata wydawniczego. A propos: pan Chciałbymaleniemogę się odzywał?

– Nie, nie odzywał się i mam nadzieję, że się nie odezwie – burknęłam ze złością.

– Szkoda, miałam nadzieję, że jednak się ogarnie.

Ton, jakim wypowiedziała to zdanie, zaintrygował mnie odrobinę. Nie było to zwykłe stwierdzenie, zabrzmiało w nim coś dziwnego, może nawet niepokojącego.

– Aśka, czy ty się z nim skontaktowałaś?

– Ja? Skąd! Przecież on nawet nie wie, kim ja jestem – odparła z nutą złośliwości.

I znów coś mnie zakłuło. Niestety na dalszą inwigilację nie mogłam sobie pozwolić, bo kelnerka ponagliła nas do złożenia zamówienia, a później rozmowy toczyły się wokół ślubu i wesela.

Pod koniec wieczoru uświadomiłam sobie, że moja osobista, najlepsza i najbliższa przyjaciółka wystawiła mnie do wiatru, znajdując sobie *plus one*, a ja zostałam sama jak palec.

– Nie masz przypadkiem brata, Patryku? – zwróciłam się do niego, dziękując bogom, że udało mi się zapanować nad cisnącym się na usta „śledziem”. – Albo kuzyna? Głupio mi będzie występować bez pary.

– Kuzynów ci u nas dostatek – oznajmił radośnie Sławek – i kilku będzie pojedynczo.

– Znakomicie, biorę pierwszego z brzegu – oświadczyłam, zanim dotarło do mnie, że nie tylko pierwszy z brzegu, ale też każdy inny, może wyglądać jak mój przyrodni braciszek. No trudno, w końcu to tylko jeden wieczór.

– To może... Tomek? – zasugerował brzydal. – Asia mówiła, że interesujesz się literaturą, więc będziecie mieli o czym porozmawiać.

Och tak, marzę o kolejnym literacie...

– Tomek jest tłumaczem i edytorem, pracuje w tym samym wydawnictwie co Patryk – rzuciła Jo. Jakim cudem ona już zdołała się tego dowiedzieć? Ta dziewczyna jest niemożliwa!

– Fajnie – skłamałam beczelnie. – No to jesteśmy umówieni. Rozpozna mnie po skwaszonej minie.

– I sympatycznym obejściu – dodała Jo. – Na szczęście siedzimy przy tym samym stole, więc w razie czego będę interweniować.

Informacja o tym, że jej marnotrawna córka zaczyna wykazywać ludzkie zachowania, najbardziej ucieszyła Lucyne, która pewnie już wyobrażała sobie wnuki z rybnymi oczami. Uśmiechała się do mnie radośnie i wysyłała buziaki, a mnie ogarniały mdłości na myśl o kolejnym dniu. Niemniej rodzinny obiad, który ostatecznie okazał się kolacją, był przyjemną odmianą od rutyny ostatnich dni i powiewem świeżości, jakiej brakowało mi od bardzo dawna. Dodatkowo kołała mnie myśl o zaproszeniu na rozmowę o pracę – pierwszym, odkąd pożegnałam Mordor – wracałam więc do domu uskrzydłona i zrelaksowana.

bbJak co wieczór przed snem usiadłam do komputera i przelałam myśli na cyfrowy papier.

– O, jednak piszesz? – Babcia stała w progu mojego pokoju z kubkiem herbaty w dłoni. Patrząc na nią, zupełnie zapomniałam, że nie było jej tu od tygodnia, że jest ze mną tylko na chwilę. Było tak, jak zawsze: normalnie, swojsko i właściwie.

– Piszę, dla siebie – odparłam z uśmiechem.

Eleonora podeszła do biurka i zajrzała mi przez ramię.

– „Cynamonowe gwiazdy”? – zdziwiła się. – A cóż to za historia?

– O mnie, o tobie, o mamie, o miłości, smutku, bliskości i marzeniach.

– I ciastkach? – zaśmiała się.

– O ciastkach też, ale w tej historii to my jesteśmy gwiazdami.

Babcia pocałowała mnie w czubek głowy i wyszła z pokoju.

Usłyszałam skrzypienie narożnika w salonie, a po chwili także głosy dochodzące z telewizora. Nie rozróżniałam słów, ale po ścieżce dźwiękowej domyśliłam się, że leci któryś z filmów Woody’ego Allena. Zamknęłam laptopa, sięgnęłam po koc i dołączyłam do babci. Przytuliłam się do niej i wkrótce zasnęłam, okryta różowym puchatym kocem, po raz czwarty nie doczekawszy zakończenia *W deszczowy dzień w Nowym Jorku*. A podobno jest piękne.

*

Obudził mnie hałas, który we śnie przyjął postać sceny z *Harry’ego Pottera*: gwar rozmów, pełne podniecenia okrzyki, śmiechy, trzaskanie drzwiami i nieustające kroki. W tę i z powrotem, szybkie, wolne, męskie, damskie. Skoro tak wyraźnie słyszałam je przez zamknięte drzwi, co musiało dziać się za nimi?

Spojrzałam na wyświetlacz telefonu i nabrałam morderczych instynktów: nie było jeszcze szóstej!

Ziewając szeroko, poczłapałam do wyjścia i musiałam gwałtownie zatrzymać się w progu, kiedy minęła mnie nieznamą kobietą, furkocząc długą spódnicą. Biegła od strony kuchni, po czym zniknęła w salonie.

– Co, u diabła? – szepnęłam do siebie i zrobiłam krok w przód.

– Domi, wstałaś! – wydarła się Aśka, stając w drzwiach łazienki. Miała na sobie legginsy i koszulkę wyglądającą na męską. Włosy zebrała na czubku głowy w koczek jak u samurajów.

– Myśle, że zmusiliście do tego całą klatkę. Co tu się dzieje?

Otóż działo się wszystko, w dodatku wszystko naraz: pani od kwiatów szykowała wiązanki, bukietki i kotyliony, pani od fryzur latała jak kot z pęcherzem, szukając zgubionych kokówek, pani od makijażu też latała, bo nie mogła znaleźć najlepszego oświetlenia, pan fotograf pstrykał zdjęcia wszystkim, bo nie mógł odróżnić, kto jest kim, Lucyna w szale dostała ataku paniki i co chwilę płakała, żeby zaraz roześmiać się histerycznie, babcia próbowała zmiatać naniesione błoto i fukała na wszystkich, żeby „usiedli na tyłkach, dopóki nie skończy, bo wszystko się roznosi”. Armagedon.

– No, a ja jestem tu trochę na doczepkę, ale myślałam, że się przydam – oznajmiła Aśka przeprasającym tonem.

– Uhm, przydad się i zrób mi kawy, a ja pójdę umyć zęby, zanim któraś z pań zaanektuje łazienkę.

Spoglądając na swoje odbicie, doszłam do wniosku, że akurat obecność pani od makijażu bardzo mnie cieszy, może uda jej się zakryć te paskudne cienie pod oczami i choć raz w życiu, nie licząc własnego ślubu, będę wyglądać znośnie na zdjęciach. Powinnam też powiedzieć fotografowi, żeby przy obróbce trochę mnie poprawił.

Na odcinku łazienka – kuchnia, mierzącym dwa metry z drobnym okładem, niemal doszło do kolizji z panią od kwiatów, która niosła wielki karton, zasłaniający jej widok. Otworzyłam jej drzwi wejściowe i ostrzegłam przed obecnością schodów. Zdaje się, że dotarła na dół bezpiecznie.

– Borze jesienny, ale imba – westchnęła Aśka, wręczając mi kubek z kawą.

– Mało powiedziane, czuję się, jakbym zamieszkała w skłocie. Szkoda, że nikt mnie nie uprzedził.

– Trzeba było słuchać, durna kozo, rozmawialiśmy o tym wczoraj – zestrofowała mnie.

– Pijemy kawę, za chwilę twoja kolej na fryzurę, potem ja, na końcu Eleonora. A jak już będziesz miała koafiurę, to lecisz do makijażystki.

– A twój śledź, jak mniemam, zjawi się tu po ciebie na karym rumaku?

– Razem z twoim – odpowiedziała, przyjmując „śledzia” bez mrugnienia okiem. W końcu wiedziała, że ciągnie ją do brzydkich. – I błagam cię, postaraj się być miłą, daj mu szansę.

Prychnęłam głośno, rozpylając nieco kropelki kawy.

Z salonu doleciały do nas pełne zachwyty „achy” i „ochy”, po czym w progu kuchni stanęła Lucyna. Jej bujne blond włosy zostały ułożone w elegancki, rustykalny koczek, spięty tuż nad karkiem kwiecistym grzebykiem. Wyglądała olśniewająco.

– I jak? – zapytała, uśmiechając się nieśmiało.

– No bosko! – oceniła Aśka.

– Pięknie wyglądasz – poparłam. – Ale to raczej żaden wyczyn, ty nawet łysa i w worku pokutnym mogłabyś startować w wyborach miss.

Łzy wzruszenia zaszkliły się w oczach matki, podbiegła do mnie i uściśnięła tak mocno, że niemal mnie udusiła.

– Moje słoneczko kochane – wyszeptała mi wprost do ucha. – Ty też.

– Oesu, ale z was słodziaki! – wykrzyknęła Aśka i rzuciła się na nas. – Normalnie czuję się, jakbym ja też miała matkę. I siostrę.

Wzruszyły mnie, obie. Pomyślałam z wdzięcznością, że jesteśmy jeszcze przed makijażem, więc możemy ryczeć do woli. A raczej do chwili, kiedy zawoła mnie fryzjerka, co nastąpiło, ledwo owa myśl wybrzmiała.

– Idę – bąknęłam, wyswobadzając się z ich objęć. – Nie knujcie tu beze mnie.

Taśmowa produkcja urody ruszyła i zgodnie z planem, który przedstawiła mi Aśka, jedna po drugiej zyskiwałyśmy fryzury, olśniewające makijaże, a wreszcie przysłała pora na strojenie się. Fotograf biegał między nami, kucał, włożył na meble, turlał się po podłodze, a mało brakowało, a włożyłby do łazienki. Babcia zносиła to wszystko dzielnie, choć widziałam, że męczy ją zarówno panujący w mieszkaniu chaos, jak i atmosfera stresu, który narastał z każdą mijającą godziną. Tuż przed dwunastą Lucyna dostała ataku paniki i trzeba było niezłomności Aśki, żeby nie wyskoczyła przez okno.

– Idźmy już, niech to się skończy – warczałam, zainfekowana zdenerwowaniem matki.

– Jeśli ona jeszcze raz powie, że nie da rady, to osobiście jej to okno otworzę.

– Uspokój się, Domi, wszystko będzie dobrze, zaraz przyjdą chłopaki.

– O faktycznie, już mi lepiej – parsknęłam. Wyobrażenie dwóch śledzi jedynie mnie zirytowało.

Dzwonek do drzwi rozległ się w chwili, w której otworzyłam laptopa, żeby sprawdzić pocztę. Z mojego pokoju było najbliżej do wyjścia, więc ruszyłam się, żeby otworzyć.

Uśmiechnięty, ale wyraźnie zdenerwowany Sławek przywitał mnie wylewnym uściskiem, za nim wszedł wystrojony w granatowy garnitur rybi Patryk. Towarzyszący im wysoki ciemnowłosy mężczyzna przyglądał mi się z ciekawością, ale wszedł do mieszkania dopiero wtedy, gdy uśmiechnęłam się do niego.

– Pan musi być Tomkiem? – domyśliłam się.

– A pani Dominiką. – Wyciągnął dłoń, a gdy podałam mu swoją, uściśnił ją.

O Boże, żaden śledek! – pomyślałam z ulgą. Z jeszcze większą przyglądałam się jego przyjemnej twarzy: mocno zarysowanej szczęce, ciemnoniebieskim, niemal granatowym oczom, pełnym ustom. Nie był to typ łamacza serc niewieścich, ale zdecydowanie miał w sobie coś, co sprawiało przyjemność patrzącym. W odróżnieniu od swojego kuzyna nie był chudy, może nawet odrobinę zbyt masywny, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało.

Za moimi plecami rozległy się piski i gratulacje, co oznaczało, że pan młody zobaczył już swoją oblubienicę.

– Wszyscy gotowi? – zagrzmiała Aśka. Kątem oka zauważyłam, że śledek trochę się wzdrygnął. – Zapraszam państwa na zewnątrz, kierunek: Urząd Stanu Cywilnego!

Mówi się, że matki panien młodych zawsze płaczą na ślubach, choć nie mogłam dotychczas stwierdzić tego z autopsji. Na moim ślubie płakała jedynie teściowa, i to nie z radości, ale z żalu. Nie przepadałyśmy za sobą.

Eleonora natomiast ryczała jak bóbr, kiedy jej pięćdziesięcioletnia córka powtarzała za naczelnikiem wrocławskiego USC słowa przysięgi małżeńskiej. Na całe szczęście miałam ze sobą zapas chusteczek higienicznych, więc udało się nie dopuścić do zaplamienia wrzosowej sukienki za sześćset dwadzieścia złotych tuszem, który miał być wodoodporny. Wodo- może był, ale ze łzami sobie nie poradził.

Po wyjściu z urzędu stało się jasne, że babcia nie udźwignie więcej emocji: zrobiła się blada i z trudem łapała oddech.

– Idziemy, pani Eleonoro, zawieziemy panią do domu – zarządziła Aśka tonem nieznoszącym sprzeciwu. Zresztą staruszka wcale nie zamierzała się sprzeciwić, wyglądała na wycieńczoną.

Zapakowałyśmy się we trzy do zielonego mikruska, odprowadzane tęsknym wzrokiem śledzia i jego sympatycznego kuzyna. Czuję się trochę głupio, bo w pewnym momencie Tomek chwycił mnie za rękę na oczach wszystkich, włącznie z plotkarskimi ciotkami. Zrobił to, żeby mnie podtrzymać, kiedy się potknęłam, zahaczywszy obcasem o wystającą kostkę brukową, ale plotki już poszły, werdykty zapadły.

– Ładny ten Tomek – stwierdziła babcia, gdy odjechaliśmy z parkingu przy Antoniego.
– Wysoki taki, postawny.

– Trochę papuśny – dodała Aśka – ale bardzo sympatyczny.

– I greczny, dobrze wychowany, wykształcony – wyliczała Eleonora.

– Halo, ja tu jestem! – odezwałam się z tylnej kanapy. – Zachowujecie się jak przepukły na targu, zachwalające żywy towar.

– No przecież jest żywy! – wbiła szpilę babcia.

– Jezusmaria – syknęłam, przewracając oczami. – To jest mój partner do stołu weselnego a nie na życie. Dajcie sobie spokój ze swataniem, mam dosyć romansów na jakiś czas.

– Gówno prawda – syknęła Jo, patrząc na mnie surowo w lusterku. – Ty jesteś zakochana w złym facecie, potrzebujesz klina.

Potrzebuję się napić i upić, pomyślałam ze złością. I zapomnieć, choć na chwilę, bo chusteczki mi się skończyły.

– Obiecuj mi, że będziesz się na tym weselu dobrze bawić – poprosiła Eleonora. – Uszczęśliwisz tym mamę i siebie też.

Odprowadziłyśmy babcię do domu, a kiedy ja pomagałam jej się przebrać i zmyć rozsmazany makijaż, Aśka usiadła przy moim biurku i grzebała w laptopie. Zawsze tak robiła, nie widziałam w tym nic zdrożnego. Przecież wiedziałyśmy o sobie wszystko.

W drodze powrotnej milczałyśmy, widocznie z nas też musiały zejść emocje, na szczęście lokal, w którym odbywało się przyjęcie, znajdował się niedaleko.

Aśka wyłączyła silnik, ale nie odblokowała drzwi. Spojrzałam na nią z pytaniem w oczach.

– To piękne, co piszesz – powiedziała. Nie zrozumiałam. Potrząsnęła głową na widok mojej niewyraźnej miny i dodała: – Ta historia, *Cynamonowe gwiazdy*. Jest piękna. Powinna zostać wydana.

– Ale nie zostanie, już ci to wyjaśniałam – odparłam ze złością. – Piszę dla siebie, to dla mnie jak pamiętnik.

– Szkoda – stwierdziła moja piękna Jo, a smutek jeszcze bardziej uszlachetnił jej piegowaną twarz. – To wielka strata dla ludzkości. Przynajmniej jej czytającej części, a reszta się nie liczy. Ty, co tam się dzieje?

Podążyłam za jej wzrokiem i zmarszczyłam czoło.

Pod wejściem do restauracji zgromadził się tłum wystrojonych i obładowanych kwiatami ludzi, a większość z nich wyglądała na zdenerwowaną. Ktoś machał rękami, ktoś krzyczał.

– Byłaś kiedykolwiek na weselu bez przypału? – zapytałam kwaśno. I retorycznie.

Wyszliśmy z auta i zaintrygowane – to ja – oraz nastawione bojowo – to Aśka – ruszyliśmy z odsieczą mojej matce, która usiłowała przekrzyczeć jakiegoś łysego gościa.

– Jakiś problem?! – ryknęła Jo, rozpychając się łokciami. – Proszę się odsunąć, proszę zrobić miejsce, gwiazdy idą!!!

Podziałało, pewnie bardziej z zaskoczenia, ale każdy sposób jest dobry. Lud wlepił w nas zaciekawione spojrzenia i odstąpił od państwa młodych.

– Wszystko w porządku? – zapytałam matkę.

– Tak, w porządku, właśnie tłumaczyliśmy naszym gościom, że Sławek nie będzie przenośił mnie przez próg i nie potrzebujemy pomocy w dźwiganiu mnie – odparła surowym tonem Lucyna.

– To nie wróży nic dobrego! – sapnął łysy jegomość, który z bliska okazał się kuzynem mojej matki. Wujek Janek, ksywa „Pieniacz”. Powinam była się tego domyślić.

– Ostrzegałam cię, Sławku – szepnęłam do ojczyma. – Bierzesz z dobrodziejstwem inwentarza, a on raczej bogaty.

Skonsternowana menedżerka lokalu schowała się w środku w obawie, że goście rozpętają awanturę jeszcze przed pierwszym łykiem alkoholu, i dopiero teraz wyszła za próg, niosąc tacę z chlebem, solą i dwoma kieliszkami związanymi ze sobą czerwoną wstążeczką.

– Nic się w tym kraju nie zmienia – parsknęła Lucyna. – Wszędzie te zabobony i przesady.

Niektóre rzeczy pozostaną z nami na zawsze, pomyślałam z goryczą, a jakby na dowód prawdziwości tych myśli w tłumie rozległy się oznaki zniecierpliwienia.

– Czy możemy już wejść?

– Głodna jestem.

– Mamusiu, siku.

Spojrzałyśmy na siebie z Aśką i wybuchłyśmy śmiechem.

– Nie ma wesela bez przypału – skostatowała Aśka. – Niech się darzy parze młodej!!!

*

Zarówno Patryk, jak i jego kuzyn, okazali się sympatycznymi i przyjemnymi kompanami. Ujęli mnie życzliwością, poczuciem humoru i błyskotliwością. Okazało się także, że wszyscy bratankowie, bratanice i siostrzeńcy Sławka odziedziczyli geny Orzechowskich, tylko biedny

Patryk musiał wdać się w matkę, świeć, Panie, nad jej duszą. Na całe szczęście nadrabiał charakterem i z każdą chwilą lubiłam go coraz bardziej.

Oczywiście Aśce odpychająca aparycja mojego nowego brata zupełnie nie przeszkadzała, a wręcz była nią zafascynowana, co znów fascynowało mnie. Wyglądali razem jak piękna i bestia, tyle że w tym wypadku bestia budziła raczej litość niż strach.

Nie tylko pod względem urody Patryk odstawał od reszty swojej rodziny; jako jedyny w całej rodzinie był jedynakiem – zarówno Sławek miał kilkoro rodzeństwa, jak i owo rodzeństwo nie ograniczało się do zaledwie jednego dziecka. Gdyby chcieć zliczyć wszystkich obecnych na przyjęciu krewnych mojego ojczyma, mogłaby wyjść z tego solidna reprezentacja olimpijska.

– Czyli masz i braci, i siostry? – upewniłam się, czy dobrze zrozumiałam monolog Tomka. Miał bardzo przyjemny głos, który łatwo potrafiłam wyobrazić sobie w roli lektora filmowego albo czytającego książki.

– Brata i trzy siostry, dokładniej rzecz ujmując – odparł z miłym uśmiechem. – Niestety brat nie mógł przyjechać, mieszka za granicą i nie dostał urlopu. A siostry są... – Rozejrzał się po sali i wyciągnął rękę, wskazując na przeciwny koniec pomieszczenia. – O tam, takie trzy blondynki w czerwonym.

Rzeczywiście, przy dziesięcioosobowym okrągłym stole siedziały obok siebie trzy młode kobiety, każda ubrana w krwistoczerwoną sukienkę. Były do siebie bardzo podobne i od razu dostrzegłam wspólne rysy z Tomkiem.

– Duża ta wasza rodzina – skonstatowałam, obrzuciwszy baczny spojrzeniem kilkadziesiąt twarzy.

– Ogromna! Mamy tyle kuzynów i kuzynek, że czasami sami się mylimy w ich imionach – zaśmiał się Patryk.

– Zwłaszcza że niektóre lubią się powtarzać – dodał mój aktualny stolikowy partner.

Aśka, jak to Aśka, w końcu poczuła się znużona tymi familijnymi historiami, za to bardzo chciało jej się tańczyć. Serwowana przez didżeja muzyka nie męczyła uszu, więc z Tomkiem też ruszyliśmy na parkiet. Płaskaliśmy najpierw we czwórkę, aż przyszła pora poświęlowych ballad, zostawiliśmy więc piękną i bestię w objęciach i wróciliśmy do stolika.

– Wiesz, strasznie jestem zmęczona – pożaliłam się Tomkowi. – Chyba pojedę do domu.

– Odwiozę cię! – zaproponował natychmiast.

– Chyba uberem? – Pił równo ze mną, może nie jakoś wybitnie dużo, raptem trzy kieliszki wina, ale bez przesady...

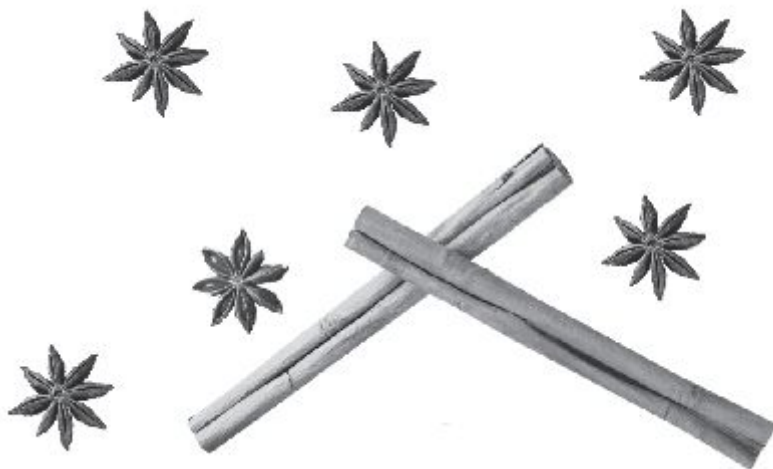
– Albo... spacerujemy się? – zaproponował niemal szeptem.

Spojrzałam na swoje stopy obute w czółenka na dziesięciocentymetrowej szpilce i skrzywiłam się lekko.

– Chyba innym razem, kolego. Te buty nadają się wyłącznie do lansu.

Przez twarz Tomka przemknął wyraz zawodu, ale chyba zrozumiał i miał na tyle przyzwoitości, żeby nie proponować mi spaceru na bosaka.

Zamówiłam ubera i wymknęłam się po angielsku, obrzuciwszy spojrzeniem parkiet, na którym moja matka wywijiała ze swoim mężem, a biła od nich taka radość, że robiło się ciepło na sercu. Obok nich, wtuleni w siebie jak nastolatki, tańczyli Aśka z Patrykiem. Melodia zupełnie im nie przeszkadzała, oni byli w swoim świecie.



Rozdział 26

W niedzielę z samego rana dostałam SMS z nieznanego numeru. Głupie serce podskoczyło do gardła, licząc na to, że Patryk – nie śledź, rzecz jasna – zdobył mój numer po pokonaniu zasięków i odbijaniu się od stu kolejnych osób. Czeżał mnie jednak zawód.

„Dzięki za wszystko, to był świetny wieczór. Tomek”.

Osoba normalna z pewnością poczułaby się miło, odpisałaby grzecznie i rozwinęła ten kontakt w jakąś miłą konwersację. Ja nie należę do osób normalnych, w związku z czym rozplakałam się jak kretynka i nie potrafiłam się uspokoić przez kilka minut.

– Co się stało, Dominisiu? – Babcia, przerażona moim szlochem i zawodzeniem, wpadła do pokoju bez pukania.

– Nic, nic się nie stało. Głupia jestem! – Zaczęłam szlochać jeszcze głośniej.

– Nawet jeśli płaczesz z tego powodu, to przecież miałas czas, żeby się przyzwyczaić. Skąd nagle ten lament?

Normalna babcia pewnie przytuliłaby wnuczkę, użyłaby rękawa do otarcia łez i smarków, jednak Eleonora też nie należała do osób normalnych. To akurat chodziło u nas w genach, głównie żeńskich, chociaż dziadek też raczej normalnością nie grzeszył, a swojego tatusia nie znałam.

– Bo ja go kooooochaaaaaaam – zawylałam jak nieludzka istota – a on mnie nieeeeeeee!

– I tylko o to chodzi? O tego gamonia, który raz chce, raz nie chce, a na koniec sam już nie wie, czego chce?

Babcia usiadła na brzegu łóżka, splotła dłonie na podołku i czekała, aż jej jedyna wnuczka przestanie wylewać z siebie żale i płyny ustrojowe.

– I to jest najgorsze! – wybuchłam, ale trochę już spokojniejsza. Słowo „gamoń” podziślało. – Gdyby powiedział, że mnie nie chce, tobym przeżyła żałobę, i tyle. A teraz? Nigdy nie przestanę mieć nadziei, nigdy!

– A tam nigdy! – parsknęła Eleonora. – Nie bądź irracjonalna, dziecko, wszystko kiedyś mija. – Rozplotła dłonie i pogłaskała mnie po mokrym policzku. Chciałam jej przypomnieć, jak dwa lata rozpacziałam po rozstaniu z moją pierwszą miłością, a przestałam dopiero, gdy pojawił się Jarek. Serdecznie dziękuję za takiego klina... – No, wstawaj, zrobimy kawę i upieczemy ciastka. Pożegnamy tego twojego Patryka symbolicznie, co ty na to?

Zdecydowanie wolałabym go niesymbolicznie powitać, ale nie ode mnie to zależało. Ciągnąc nosem, zwlekłam się z łóżka i poczłapałam do kuchni. Babcia musiała wstać dużo wcześniej, bo wszędzie panował porządek, a zostawiłyśmy niezły rozgardiasz, wychodząc ze ślubnym orszakiem.

Kawa zawsze działała uspokajająco, zupełnie jakby zamiast kofeiny zawierała stężoną melisę. Już po pierwszym łyku udało mi się zapanować nad głosem, łyż wyschły i poza opuchliwą wszystko wracało do normy. Eleonora wypytywała o przyjęcie, o to, czy ciotka Wanda nie zrobiła z siebie pośmiewiska, czy moje kuzynki znów wypłyły odrobinę za dużo i zaczęły tańczyć na stole, czy matka była szczęśliwa, czy rosół był z kostki... No i nie mogło zabraknąć pytania, którego wcale nie chciałam usłyszeć.

– Coś zaiskrzyło między tobą a Tomkiem?

Jezuuuuu, normalnie fajerwerki jak na czwartego lipca w USA!

– W moim sercu nie ma miejsca na kolejne iskry, babciu – wysiliłam się na grzeczność. – Tomek jest bardzo sympatyczny, ale z tej mąki chleba nie będzie.

– Tego nie wiesz, daj sobie czas. Pisał coś? – Odwróciła wzrok, szelma jedna, jak zawsze, gdy nabroiła.

– To ty? Ty mu dałaś mój numer? Kiedy?!

– Nie ja, twoja mama. Zadzwoiła wieczorem, żeby spytać, jak się czuję, i ją... no, poprosiłam.

– Kazałaś jej to zrobić, przyznaj! – syknęłam wściekła. – I on teraz, biedny, pomyśli, że ja jestem nim zainteresowana, a wcale nie jestem!

– Nie bądź zołą, Dominisiu, daj chłopakowi szansę, podoba mi się.

– O Boże... – Zakryłam twarz rękami. – Dlaczego ty mi to robisz?

Mogłam tak pytać do uśmiechniętej śmierci, niestety na odpowiedź nie miałam szans się doczekać, a moja babcia ani trochę nie wyglądała na skruszoną. Przeciwnie: Eleonora święcie wierzyła w słuszność swojego postępowania.

– Nie mam ochoty na pieczenie ciastek – mruknęłam w końcu. – Idę pisać.

bbPisałam i pisałam, niewiele jednak mi z tego przyszło. Do południa przybyło zaledwie kilka akapitów, choć słowa tłoczyły się pod czaszką. Znużona i zniechęcona oddałam się więc lekturze cudzej historii, na chwilę zapominając o własnych dramatach.

Aśka musiała długo balować, bo odezwała się dopiero pod wieczór. Do tego czasu odwiedzili nas nowożeńcy, zabrali babcię na spacer, szanując mój podły humor i brak nastroju do życia towarzyskiego. Kiedy zadzwoniła moja przyjaciółka, szykowałam się do kąpieli.

– Jezu, ale to była zajebista impreza! – rozpyływała się w zachwytach. – Żałuj, że tak szybko poszłaś, chłopaki się poupijali i było z nimi tyle śmiechu, że czuję się, jakbym trzasnęła tysiąc brzusków.

– Uhm...

– A potem, no mówię ci, Domi – gadała jak nakręcona, jakby ten alkohol wytrąbiony z chłopakami wciąż krążył w jej żyłach – był koncert życzeń i karaoke, i szalone układy choreograficzne. Nie miałam pojęcia, że twoja mama tak świetnie tańczy!

– Taaa, też nie miałam.

– Poznałam kuzynki i kuzynów Patryka, połowy imion nie zapamiętałam, to znaczy: nie, zapamiętałam, ale nie wiem, kto jest kto, bo tam albo Tomki, albo Patryki, albo Patrycje, albo Michały...

Zatrzymanie tego słowotoku wydawało się niemożliwe. Przełączyłam ją na głośnik, odłożyłam telefon obok, na poduszkę, i wpatrzyłam w sufit. A ona gadała i gadała, i gadała. Jak katarynka.

Docierały do mnie pojedyncze słowa: Tomek, kuzyn, cięża, brat, rozstanie, były, była, niesnaski, dramaty, romanse, blablablaba... Wreszcie skończyła, albo zwyczajnie zaschło jej w gardle, a ja natychmiast wykorzystałam ten moment.

– Słuchaj, Jo, muszę kończyć, bo...

– Tak, tak, wiem, jutro masz tę rozmowę.

O cholera! Jutro mam tę rozmowę. TĘ rozmowę!

Na śmierć zapomniałam, że to już jutro.

Pożegnałam się z Aśką, obiecując dać znać po spotkaniu z rekruterką, i rzuciłam się do komputera. Gdzie był ten mail? Jak on się mógł nazywać?

Jest!

„Szanowna Pani, w nawiązaniu do rozmowy zapraszam Panią na spotkanie rekrutacyjne na stanowisko redaktora prowadzącego, które odbędzie się...”

Jeszcze raz!

„...na stanowisko redaktora prowadzącego...”

Redaktora prowadzącego.

– Jezu, to chyba pomyłka! – szepnęłam pod nosem i zerknęłam na stopkę w wiadomości.

Jowita Szymańska, Specjalista ds. Human Resources, Wydawnictwo Owidiusz.

Zupełnie nie pamiętałam, żebym aplikowała do jakiegokolwiek wydawnictwa, a już na pewno na stanowisko redaktora.

Przejrzałam skrzynkę nadawczą, co okazało się karkołomnym zadaniem, bo Aśka trzaskała te aplikacje hurtem. Aśka! To musiała być jej robota.

Ale co to zmieniało? I właściwie, skoro zaprosili mnie na rozmowę... Może warto?

– Oczywiście, że warto – zawyrokowała babcia, gdy podzieliłam się z nią swoimi wątpliwościami. – Idź, chociaż z ciekawości. Zawsze to jakieś nowe doświadczenie.

Z tą myślą zasnęłam i po raz pierwszy od kilku dni nie śniły mi się romanse.

*

– Czy ma pani do nas jakieś pytania? – zapytała urocza Jowita Szymańska, gdy omówiliśmy w szczegółach przebieg mojej kariery zawodowej, wykształcenie, zainteresowania, osiągnięcia, a nawet porozmawialiśmy w ojczystym języku Williama Szekspira.

Poza rekruterką w spotkaniu uczestniczył smutny mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat, którego tak imienia, jak nazwiska nie zapamiętałam, ale wyglądał na Sergiusza. Tak, zdecydowanie mógłby być Sergiuszem.

– Zasadniczo mam jedno – odparłam, wodząc wzrokiem od jednej twarzy do drugiej. Ostatecznie zatrzymałam go na smutnym panu, który wydawał mi się figurą o mocach decyzyjnych. – Dlaczego zdecydowali się państwo zaprosić mnie na spotkanie, skoro nie mam żadnego doświadczenia w pracy w redakcji literackiej?

Dziewczyna uśmiechnęła się i także spojrzała na smutniaka, a on, ku mojemu zaskoczeniu, uśmiech odwzajemnił. Mlasnął, oblizał usta i odezwał się ochrypłym głosem:

– Tak się składa, że naszym zdaniem posiada pani kompetencje doskonałe korespondujące z obowiązkami redaktora prowadzącego projekty wydawnicze. Zarządziła pani w swojej karierze zespołami, procesami, wie, jak należy układać pracę swoją i współpracowników, żeby w efekcie zrealizować cel. A naszym celem jest wydanie książki.

– A do tego jest pani filologiem, odbywała staż w wydawnictwie i – zrobiła krótką pauzę, a jej uśmiech się rozszerzył – zarekomendowała panią dość wpływowa osoba.

– Eeeee... – Wytrzeszczyłam na nią oczy i równocześnie usiłowałam nimi mrugać, ale okazało się to fizycznie niewykonalne. – Osoba mnie zarekomendowała? I to wpływowa?

– Tak, nawet bardzo wpływowa. A jej rekomendacja oznacza dużo więcej niż doświadczenie w CV – potwierdził Sergiusz, który już był mniej smutny.

Pożegnałam się z nimi jeszcze bardziej oszołomiona, niż przybyłam, grzebiąc w pamięci w poszukiwaniu kogokolwiek, kto mógłby poprzeć moją kandydaturę w wydawnictwie. Jedyną osobą, jaka przychodziła mi do głowy, był, oczywiście Patryk, mój Patryk, ale przecież on nie miał pojęcia o mojej aplikacji.

Człapałam noga za nogą, mijając otwarte drzwi do pokoiów, w których najwięcej miejsca zajmowały regały z książkami ustawione wokół biurków pracujących tam ludzi i z ciekawością podglądałam ten świat. Pachniało kawą i papierem, a od kolorowych okładek można było dostać zawrotów głowy.

Oddałam identyfikator z napisem „Gość” facetowi siedzącemu za ladą recepcji i ruszyłam w stronę holu windowego, kiedy ktoś zastąpił mi drogę.

– Cześć – przywitał mnie męski głos.

– Cześć – odpowiedziałam, ledwo łapiąc oddech. – Ale spotkanie...

Tomek uśmiechnął się do mnie promiennie i skinął głową.

– Rzeczywiście, wygląda na to, że wszechświat bardzo chce, byśmy nie stracili ze sobą kontaktu.

Jęknęłam w duszy i pomyślałam o tym, że cholerny wszechświat mógłby choć raz chcieć tego co ja. Przełknęłam ślinę, a wraz z nią zbierające się zdradzieckie łzy i wysiliłam się na uśmiech.

– Fakt, tak wygląda – odpowiedziałam słabym głosem. – Przepraszam, że nie odpowiedziałam na twoją wiadomość, ale zupełnie o tym zapomniałam, wiesz, zajęłam się pisaniem, potem zadzwoniła Aśka...

Tomek roześmiał się wesoło i unióśł ręce. Wyglądał na zrelaksowanego i widać było, że czuje się dużo swobodniej niż w trakcie ślubu. W sumie trudno mu się dziwić – tu był u siebie.

– Nie tłumacz się, przecież nic się nie stało – rzucił beztrósco. – Chodź, odprowadzę cię do windy, zanim kolega zje cię wzrokiem.

Chłopak na recepcji poczerwieniał momentalnie i szybko spuścił ów wzrok, którym mnie zjadał.

Wyszliśmy z redakcji, a gdy szklane drzwi zamknęły się za nami, Tomek zaproponował:

– Słuchaj, idziemy dzisiaj w kilka osób na piwo, może miałabyś ochotę do nas dołączyć? Takie zupełnie niezobowiązujące spotkanie, bez spiny i nawiedzonych ciotek dookoła.

Wcisnęłam guzik i winda przyjechała niemal natychmiast.

– Dzięki, ale nie...

– No nie daj się prosić, będzie fajnie! – nalegał. – Poznasz kilka osób z redakcji i postaram się ściągnąć moją siostrę albo nawet wszystkie. I będziesz miała okazję poznać Patryka.

Weszłam do windy, w zakłopotaniu przygryzając dolną wargę. Czułam się trochę winna, poza tym nie szkodziłoby poznać ludzi z redakcji, jeśli faktycznie miałabym tam pracować.

– No dobra, przyjdę. Daj mi tylko znać gdzie i o której – rzuciłam zza zamykających się drzwi. – Mam brać Aśkę?

Przez wąską szczelinę dostrzegłam zdziwienie na jego twarzy. No tak, przecież Aśka z pewnością już została zaproszona przez swojego śledzia.

*

Dotarłam do knajpy spóźniona zaledwie czterdzieści minut. Każda szanująca się kobieta wie, że nie należy przychodzić na czas, zwłaszcza gdy chce się zrobić wejście smoka, a oczekujące cię towarzystwo składa się głównie z testosteronu.

Okazało się jednak, że nie tylko ja stosowałam się do tej zasady, na miejscu nie było jeszcze ani Patryka, ani Aśki. Były natomiast urocze siostry Tomka i trzech młodzieńców w koszulkach zdradzających ich muzyczne upodobania, które wcale aż tak bardzo nie odbiegały od moich, może z wyjątkiem Pidżamy Porno.

– Fajnie, że przysłaś – powitał mnie rozanielony Tomek. On także miał na sobie czarny T-shirt z symbolem prądu zmiennego i napisem „Highway to hell”.

– Przecież obiecałam – odparłam, cmokając go w policzek. Czy on cały czas był taki wysoki i miał ten dołek w brodzie? – A gdzie Patryk?

– Coś go zatrzymało – odpowiedziała jedna z siostr Tomka, która później okazała się Karoliną.

– Chyba ktoś – zachichotała druga, ale pojęcia nie mam, czy była to Michalina, czy Natalia. – Biedny Patryczek pewnie musi zasłużyć, żeby mógł wyjść na piwo z kolegami.

Towarzystwo zarechotało, a ja nie bardzo rozumiałam dlaczego.

– Co to niby znaczy? – zapytałam Tomka.

– Nie słuchaj ich, to złośliwe bestie – odparł, ale wyglądał na skonfundowanego. – Słuchaj, mój kuzyn jest w kiepskim stanie i nie wiadomo, czy się zjawi, chociaż robiłem wszystko, żeby wyciągnąć go z domu.

Co on pierniczy? Jakoś nie wyglądał na osobę, która jest w kiepskim stanie i trzeba ją wyciągać z domu. Co jak co, ale Aśka raczej nie musi prosić facetów...

– Nie bardzo rozumiem... Dlaczego jest w kiepskim stanie?

– Ech, to... skomplikowana historia... – Tomek podniósł rękę i zawołał kelnerkę. – Czego się napijesz?

Zamówiłam piwo pszeniczne i przeprosiłam towarzystwo, udając się do toalety. Coś mi tu nie pasowało, musiałam skontaktować się z Aśką. Obiecałam zresztą, że dam jej znać po rozmowie, i oczywiście zapomniałam.

– No już myślałam, że nie żyjesz! – przywitała mnie, ale nie była zła. Raczej rozbawiona.

– Przepraszam, Jo, ostatnio jestem strasznie rozkojarzona, i jeszcze spotkałam Tomka...

– Tomka? No i super! Pozdrów, jak go zobaczysz.

Zatkało mnie.

– Jak to: jak go zobaczysz? To ty nie przychodzisz?

– Gdzie? – zdumiała się.

– Nooo, na piwo. Z Patrykiem.

– Nic mi nie wiadomo o żadnym piwie, a Patryk... Kochanie! – krzyknęła, odsunawszy telefon od ucha. – Domi mówi, że mamy iść na jakieś piwo z Tomkiem! – Przez chwilę słyszałam tylko niewyraźne brzęczenie mojego nowiuńskiego brata, po czym Aśka znów wróciła. – Patryk mówi, że to nie o niego chodzi, jakiś inny kuzyn. Podobno ma dziewczynę w ciąży i strasznie ciężko mu się wyrwać z domu.

Rozłączyłam się z niesmakiem, kiedy do moich uszu doleciały odgłosy mokrych całusów. Całować śledzia, fujka!

W drzwiach minęłam dwie siostry Tomka, szepczące sobie coś do ucha, a kiedy zbliżyłam się do stołu, dostrzegłam Tomka pochylonego w kierunku kogoś, kogo wcześniej tam nie było. Kogoś, kogo nie spodziewałam się tam zobaczyć. Kogoś, kto właśnie spojrzął na mnie oczami czarnymi jak węgle, a moje serce wystartowało niczym Apollo 12.

bb– Czyli jesteście kuzynami? – Wpatrywałam się w Zawiszę, z całych sił starając się zapanować nad oddechem.

– Jak chyba pół świata – zażartował Tomek. Musiał zauważyć napięcie między mną a Patrykiem, bo szybko zmienił ton. – Nie wiedziałem, że się znacie.

– Owszem, znamy – odparłam zimno.

– Poznaliśmy się całkiem niedawno – dodał obiekt moich nieodwzajemnionych uczuć.

– Na Teneryfie.

Zabolało.

– Byliście razem na tym kursie pisarskim? – podjęła temat Karolina. – Ale ty wróciłaś wcześniej!

– A cóż ja poradzę na to, że moja matka wybrała sobie taką datę ślubu? – odparłam z uśmiechem i rozłożyłam ręce.

Zerknęłam na Zawiszę. Patrzył na mnie z wdzięcznością, a kącik jego malinowych ust uniół się nieznacznie.

– Jak się ma twoja babcia? – zapytał cicho.

– Dziękuję, całkiem dobrze. Przeżyłeś zajęcia z arcybucem Luboniem? – odbiłam piłeczkę.

Tomek głośno wciągnął powietrze, a jego trzej koledzy raptownie poczuli pragnienie i oddali się opróżnianiu swoich kufli.

– Co? O co chodzi? – zapytałam, przesuwając po nich wzrokiem. – Czy powiedziałaś coś nie tak?

Tomek chrząknął znacząco i wysłał mi niezrozumiałe sygnały wzrokowe. Patrzyłam na niego skrzywiona.

– Nie powiedziałaś niczego złego – podjął Patryk. – Luboń i ja mamy historię, dość osobistą... Nie lubimy się, eufemistycznie rzecz ujmując.

Dwie siostry Tomka wróciły do stolika i usiadły obok mnie.

– Kogo obgadujecie? – zapytała mnie jedna z nich.

– Nie, nikogo. Chyba...

– Domi, możemy pogadać na osobności? – Zawisza spojrzał na mnie z naciskiem. Wyglądał na zgnębionego i wściekłego zarazem.

Skinęłam głową i podniosłam się z krzesła. Chwyciłam wyciągniętą rękę Patryka, po czym pozwoliłam się wyprowadzić na zewnątrz, a w mojej głowie myśli kotłowały się jak szalone. Serce dudniło, nogi się trzęsły, ale nic już się nie liczyło. Jego dłoń ściskająca moją była jak głęboki oddech dla człowieka, który omal nie utonął. Nic się nie liczyło. Ani nikt.

*

– Czyli będziesz ojcem. – Poczulałam, jak gorąca łaza toczy się po moim policzku, a on starł ją delikatnie.

– Na to wygląda...

– I jesteś pewien, że to... twoje?

– Nie mogę myśleć inaczej, ona twierdzi, że tak.

– Hmm... – Oparłam się o murek. – Nie znam twojej dziewczyny, ale z tego, co mówisz, to kandydatów może być więcej. Z Luboniem na czele.

– Domi, proszę... – Podszedł do mnie i ujął moją twarz w dłonie, zmuszając do spojrzenia mu w oczy. – Jeśli to moje dziecko, to byłbym najgorszym chujem, gdybym zostawił ją z tym samą. Nie mógłbym... Nie potrafił. Tak należy.

– Ale kosztem własnego szczęścia? – wyrwało mi się i znów poczułam pieczenie w oczach. – Przecież nie chcesz z nią być, rozstaliście się, byłeś ze mną.

– Ty lepiej niż ktokolwiek wiesz, że czasem trzeba poświęcić osobiste szczęście – odparł z pełnym ciepła uśmiechem.

– Kochasz ją?

Spojrzał na mnie ze smutkiem, aż serce ścisnęło mi się tak mocno, że odebrało mi oddech.

– Nie rań mnie, przecież znasz odpowiedź.

– Patryk...

– Dziękuję za to, co dla mnie zrobiłaś.

Przysunął się jeszcze bliżej, czułam bicie jego serca, tak samo szybkie jak mojego, skóra pachniała dokładnie tak, jak to zapamiętałam. Patrzył mi w oczy, a jego spojrzenie mówiło wszystko, co pragnęłam usłyszeć.

Kiedy dotknął miękkimi wargami moich, ciepło rozlało się wzdłuż kręgosłupa. Rozchyliłam usta, odruchowo i bezwiednie. Smakował truskawkami i smutkiem. Miłością i rozpaczą. Namiętnością i zrezygnowaniem.

– Czasem miłość to za mało – wyszeptał, nie odrywając warg. – Najczęściej pojawia się nie w porę. A czasem nawet jej nie zauważamy. – Poglaskał mnie po policzku i delikatnie się odsunął. Ja nie byłam w stanie ruszyć nawet palcem. Byłam sparaliżowana, a na ustach wciąż czułam smak truskawek. – Tomek to dobry facet, daj mu szansę. Nie może przestać o tobie gadać.

Patrzyłam na niego odrętwiała, marząc o tym, żeby cofnąć czas, nie wejść do tej księgarni i nigdy go nie spotkać.

Drzwi lokalu się otworzyły i na chodniku pojawił się Tomek.

– Hej, wszystko w porządku? – zawołał. – Domi, nie marzniesz?

Otarłam łzy i potrząsnęłam głową.

– Nie, w porządku! Zaraz wracam!

– Idź, baw się dobrze – szepnął Patryk. – Wszystko się ułoży...

– Tylko nie wiadomo kiedy – dokończyłam za niego. – Dzięki za szczerość.

Skinął głową i rzucił coś do Tomka, po czym odwrócił się i przeszedł na drugą stronę ulicy. Patrzyłam, jak odchodzi, tłumiąc chęć rzucenia się za nim. Co by to dało?

Dotknęłam ust, na których wciąż czułam jego wargi i uśmiechnęłam się do siebie. Miłość. Do diabła z miłością.

– Zmarzłaś! – stwierdził z naganą czekający na mnie Tomek. – Wszystko w porządku?

– Prawie. Już niedługo – odparłam, pozwalając się objąć. – Przypomnisz mi imiona swoich siostr? Strasznie skomplikowane macie to drzewo rodowe...

*

Kochany Patryku

Drogi Przyjacielu

Szanowny Kolego

Mężczyzno, który kiedyś mi się przyśnił

Najwspanialszy faciecie pod słońcem, który powinien być ze mną, a nie z tym babskiem, które według Tomka jest ładniejszą inkarnacją jakiegś totalitarnej swoloczy.

Drogi Patryku,

życie to nie bajka i szczęśliwe zakończenia zdarzają się tak samo często jak te niepożądane. Podobnie jest z marzeniami – czasem się spełniają, innym razem okazują się jedynie mrzonką. Mimo że znamy się krótko, mam wrażenie, jakby łączyła nas więź, której nie da się racjonalnie wyjaśnić, jakbyśmy od zawsze szli obok, równolegle, czekając, aż nasze drogi się przetną. Nic nie dzieje się bez

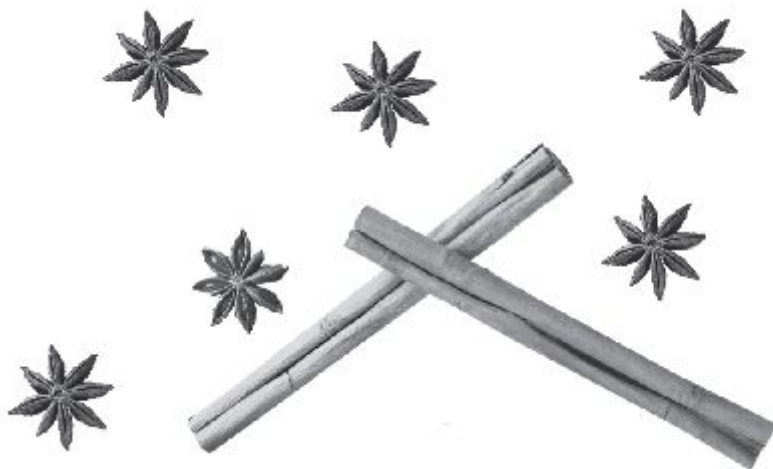
przyczyny, a każde zdarzenie ma jakiś cel, i choć możemy go nie dostrzegać lub nie rozumieć, wiem, że pewnego dnia wszystko nabierze sensu.

Ufam, że wszystko najlepsze dopiero przed Tobą, tego życzę Ci z całego serca, jak również szczęścia, na jakie zasługujesz. Szczęście zaś ma różne oblicza i czasem wystarczy jedynie zmienić perspektywę, żeby zobaczyć je w pełnej krasie.

Moja babcia zwykła mawiać, że szczęściu trzeba pomagać, a więc przyjmij ode mnie jeszcze jeden dowód sympatii – Ty będziesz wiedział, jak zrobić z niego użytek.

Bądź szczęśliwy.

Twoja Domi



EPILOG

Osiem miesięcy później

Niebo zasnuły ciemne chmury i nad miastem zapanowała ciężka atmosfera zwiastująca nieuchronną burzę. Powietrze lepiło się do skóry, ubrania przyklejały się do ciał, a ciała zaczynały odczuwać senność. Prognozy jak zwykle się myliły, miało być pięknie i słonecznie, w sam raz na plener.

Dominika skończyła odpowiadać na maile sprzed tygodnia i z ciężkim westchnieniem wstała od biurka. Mimo pracującego wiatraka w pokoju panował zaduch, od którego robiło się niedobrze.

Podeszła do okna i otworzyła je na oścież – niewiele to dało, na zewnątrz było jeszcze gorzej. Powietrze stało, jakby ktoś zamknął je pod szklaną kopułą.

– Matko bosko, żyć się nie da! – jęknęła. – Niech już spadnie ten deszcz, oszaleć można.

Drzwi do pokoju uchyliły się, wpuszczając do środka niewysoką ciemnowłosą dziewczynę. Ręce miała zajęte przez wielki karton, z którego wystawały kolorowe plakaty, foldery, patyki i wstążeczki.

– Dobrze, że zamówiliśmy ten namiot, bo chyba będzie padać – stwierdziła, odstawiając pudło na stojące pod ścianą biurko.

– Uhm, byleby wystarczył – mruknęła Dominika. Zamknęła okno i stanęła pod wiatrakiem. – Oesu, ale ulga... Myślisz, że ludzie nie wystraszą się pogody?

– Coś ty! Przyszliby nawet przez zaspę!

Ja na pewno, pomyślała Dominika i przygryzła wargę.

Ciemnowłosa dziewczyna wyjęła z kartonu jeden folder i wachlowała się nim z zawziętością.

– Chyba wszystko gotowe? – upewniła się Dominika. – Za chwilę przyjedzie Tomek i będziemy ruszać. Może trzeba dokupić wody, jak myślisz?

– Szefowa kupiła dziesięć zgrzewek, powinno wystarczyć – odparła tamta i ruszyła w kierunku drzwi. – Poradźcie sobie? – Dominika uśmiechnęła się szeroko i pokiwała głową. Jej włosy, rozwiewane podmuchami wiatraka, wyglądały teraz jak promienie słońca. – No dobra, to ja jadę. Widzimy się na miejscu.

Nacisnęła klamkę i odskoczyła z lękiem – w progu stała piękna korpulentna blondynka z przeprosinami wypisanymi na czole.

– Ojej, wybacz, Roksi, nie chciałam cię staranować!

– Nie, nie, na szczęście nic się nie stało, szefowo.

Dziewczyna prześlizgnęła się obok kobiety i opuściła biuro.

– Wszystko w porządku, Domi? – zapytała córkę Lucyna. – Gotowa?

– Na tyle, na ile mogę być gotowa – odparła z bladym uśmiechem Dominika. – Trochę mam tremę, no i ta pogoda...

– Spokojnie, kochanie, wszystko będzie dobrze, zaufaj babci.

– Babci? – Dominika uniosła brwi i spojrzała na matkę badawczo.

– Przyszła do mnie we śnie i uśmiechała się jak szelma – wyjaśniła matka. – Kazała upiec ciastka.

Dominika prychnęła i odeszła od wiatraka. Schłodzona skóra dawała przyjemną izolację od nagrzanego powietrza. Czarna, elegancka sukienka poruszała się lekko.

Na biurku, przy którym wcześniej pracowała, zawibrował telefon.

– Tomek przyjechał, zawijam się – poinformowała matkę. – Widzimy się za kilka chwil?

– Jak tylko Sławek skończy.

bbOgromny namiot, pyszniący się na dziedzińcu leśnickiego zamku, przyciągał ciekawych mieszkańców, którzy nieśmiało gromadzili się wokół instalacji. Ekipa techniczna testowała reflektory i nagłośnienie, wolontariusze w koszulkach z logo Wydawnictwa Cynamon przecierali krzeselka i układali na nich broszury. Na podeście ustawiono okrągły stolik i dwa obite zielonym welurem fotele. Tło sceny stanowiła ścianka zadrukowana trójwymiarową grafiką książki.

Dominika z Tomkiem zaparkowali samochód tuż przy zamku, w miejscu udostępnionym im przez zarządców obiektu, i wspinali się teraz po pochyłej ścieżce, niosąc materiały promocyjne, papierowe kubki, talerzyki i jednorazowe sztućce. Tuż za nimi szły cztery wolontariuszki z ciastkami, termosami i dzbankami.

– Denerwujesz się? – zapytał Tomek, zerkając na bladą Dominikę.

– Trochę... I ledwo oddycham od tej duchoty.

– Wszystko będzie cudownie, zobaczysz – pocieszył ją.

Pod namiotem przekazali pakunki obsłudze imprezy i weszli do zamku, którego mury zapewniały przyjemny chłód. Dominika zebrała włosy, przyklejone do wilgotnego karku, i związała je wysoko w koczek. Menedżerka zamku wyłoniła się z galerii i przywitała się z obojgiem, zapewniając, że wydarzenie będzie wielkim sukcesem. Mimo to czoło Dominiki pozostało ściągnięte, a czujny wzrok i zaciśnięte usta zdradzały ogromne zdenerwowanie.

– Czuję się, jakbym to ja miała zaraz wystąpić na tej scenie – szepnęła do Tomka.

Ten spojrział na nią z czułością i chwycił jej dłoń.

– Trochę tak jest, na szczęście nikt poza tobą o tym nie wie.

Na dziedzińcu rozległy się głośne śmiechy. Menedżerka zerknęła przez szybę w drzwiach i klasnęła w dłonie.

– Och, jest już pani Orzechowska! – oznajmiła z ekscytacją. – Proszę wybaczyć, pójdę się przywitać.

Dominika skinęła głową i rozejrzała się za toaletą. Nienawidziła, gdy kleiły jej się dłonie, a teraz pociły się nader szybko. Recepcjonistka pokierowała ją korytarzem w lewo, gdzie umyła ręce i zwilżyła twarz. Czarna sukienka przylgnęła do niej jak druga skóra i choć nie przepadała za ubraniami w tym kolorze, musiała przyznać, że dodawała jej uroku. A może tajemniczości? Z całą pewnością elegancji. Babcia byłaby zachwycona.

Drzwi do łazienki otworzyły się raptownie i w lustrze, tuż za nią, zobaczyła twarz mężczyzny.

– O, już jesteś! – odezwała się do odbicia.

– Jestem, ale mam ochotę uciec! – oznajmił Zawisza, uśmiechając się blade. – W życiu nie byłem tak zestresowany!

Dominika wytarła dłonie w sukienkę – i tak zaraz wyschnie, a na czarnym nie widać – i odwróciła się do Patryka. Patrzyła na niego przez chwilę, oceniając każdy milimetr przystojnej twarzy. Był gładko ogolony, a włosy zostały ułożone w modną fryzurę. Jedynie bladeść skóry i odrobinę podkrążone oczy zdradzały zdenerwowanie. Miał na sobie stalowy garnitur, w którym musiał się pocić jak kierowca Formuły 1.

– Przyzwyczaisz się – rzekła z uśmiechem. – Jesteś stworzony do bycia gwiazdą.

Zawisza prychnął i odwzajemnił uśmiech, po czym otworzył usta i zaczął:

– Powinnaś...

– Ciiii – przerwała mu Dominika. – Tysiąc razy już ci mówiłam: zrobiłam to, co powinnam. Tak właśnie miało być. – Posłał jej spojrzenie, w którym zamknął tak wiele uczuć, że ścisnęło jej się serce. Ruszyła do wyjścia, wstrzymując oddech, a mijając go, musnęła lekko jego ramię. – Do zobaczenia niebawem. Będziesz cudowny.

bbLucyna miotła się jak furia, strofując wszystkich, którzy płątali jej się pod nogami. „Pod kątem ustaw ten stolik!”, „Ten fotel trochę na lewo!”, „Niech pan ten kabel schowa, bo nam się gwiazda zabije, a ja mam z nim interesy!”.

Dominika otworzyła drzwi zamku i natychmiast oblepiło ją parne powietrze. Ani grama wiatru, żaden liść się nie poruszał.

Podeszła do Sławka, który rozprawiał o czymś z Tomkiem.

– Matka w swoim żywiole – oceniła ze złośliwym uśmiechem. – Aż dziw bierze, jak szybko zamieniła się w babcie.

– To chyba naturalny proces, pewnego dnia ty zamienisz się w nią – skomentował Sławek. I z jakiegoś powodu Dominika wychwyciła w jego głosie czułość.

– Ludzie zaczynają się schodzić, może zajmiemy miejsca? – zaproponował Tomek.

Grupami i pojedynczo na dziedzińcu przybywali goście. Ekipy telewizyjne, przedstawiciele lokalnych rozgłośni radiowych, dziennikarze prasowi. Lucyna witała ich z szacunkiem i wskazywała zarezerwowane dla mediów miejsca w pierwszych rzędach.

Przeciętni zjadacze chleba zajmowali krzesła według widzimisię, a niektórzy czekali do ostatniej chwili, oglądając widoki z tarasu zamkowego.

Od strony parkingu zbliżało się dwóch elegancko ubranych mężczyzn. Dominika poczuła, jak serce jej przyspiesza, a dłonie znów się pocą.

– Ekhm – chrząknął Tomek, wciskając jej coś do ręki. – Pomyślałem, że się przydadzą.

Dominika wzięła od niego niewielką paczuszkę chusteczek dezynfekujących i podziękowała mu wzrokiem. Wtarała dłonie, wrzuciła chusteczki do torebki i ruszyła na spotkanie gości. W połowie drogi Lucyna chwyciła ją pod ramię.

– Dzień dobry, pani prezes – odezwał się do Orzechowskiej elegancki mężczyzna w lnianym garniturze. Miał przyjemną, opaloną twarz, a jego granatowe oczy uśmiechały się figlarnie.

– Dzień dobry, panie prezesie – odwzajemniła się Lucyna. – Przedstawiam panu moją córkę, Dominikę Cynamon, to ona odpowiada za nasz wspólny sukces.

Dominika dygnęła i podała rękę mężczyźnie, który przedstawił się niewyraźnie. Nie musiał, ona doskonale wiedziała, kim jest Krzysztof Wieczorek.

– Sukces niewątpliwy – podjął wątek drugi z mężczyzn, którego Dominika już wcześniej zdążyła poznać. – Musieliśmy dodrukować wszystkie dotychczasowe tytuły.

Lucyna uśmiechnęła się szeroko i pokiwała głową.

– A to dopiero początek – oznajmiła. – Zapraszam panów pod namiot, nawodnijcie się.

Panów, ani nikogo innego, żeby być dokładnym, nie trzeba było namawiać do nawodnienia. Wszyscy czworo ruszyli więc raźnie do stolika, na którym wolontariuszki rozstawiały butelki i dzbanki.

Dominika rozejrzała się po tłumie i dostrzegła rudą głowę Aśki. Siedziała w jednym z tylnych rzędów i zawzięcie wachlowała się ułotką. W drugiej ręce trzymała tekturowy kubek.

Krzesła zapełniały się coraz szybciej, a na chwilę przed rozpoczęciem spotkania zupełnie ich zabrakło, chętni musieli więc stać, ale wyglądało na to, że im to nie przeszkadza.

– Przepraszam, a co to się tutaj dzieje? – zapytała Dominikę pani w średnim wieku, która wyglądała na zdezorientowaną. W rękach trzymała siatki z zakupami.

– Spotkanie autorskie, z okazji premiery książki. Z Patrykiem Zawiszą – odpowiedziała z dumą w głosie.

– Zawiszą? A, to nie znam...

– A słyszała pani o Patricii McKnight?

– Tak – odparła kobieta podejrzliwie. – A co?

– To zachęcam, żeby pani została. – Dominika puściła do niej oko i wskazała na swoje krzesło. – Proszę usiąść, nie pożałuje pani.

Kobieta, odrobinę zaskoczona, usiadła obok Sławka, który uśmiechnął się do pasierbicy. Gestem zapytał, czy nie oddać jej swojego krzesła, ale odmówiła. Zdecydowanie wolała stanąć gdzieś z boku, z dala od tych wszystkich mikrofonów i obiektywów trzaskających ujęcie za ujęciem. Za to Lucyna pozowała jak zawodowiec.

bbNa scenie pojawiła się kobieta i choć jej wizerunek może nie był znany, to natychmiast rozpoznano ją po głosie, gdy tylko się odezwała.

– Dzień dobry państwu, myślę, że zaczniemy. – Zabrzmiało to jak aksamit. – Nazywam się Anna Fluder i mam ogromny zaszczyt poprowadzić dla państwa dzisiejsze

spotkanie. A będzie to spotkanie wyjątkowe, tak jak wyjątkowi są autorzy książki, która właśnie dzisiaj ma swoją premierę. Zanim jednak na scenie pojawi się nasz gość, chciałabym, abyśmy powitali gromkimi brawami panią Lucynę Orzechowską, założycielkę Wydawnictwa Cynamon, stojącą za tym przedsięwzięciem.

Rozległy się głośne oklaski, a Lucyna wstała i ukłoniła się wszystkim, rozsiewając dookoła uśmiechy. Wyglądała przy tym niczym diwa na własnym jubileuszu – w długiej, jedwabnej, czarnej sukni, z bujnymi złotymi lokami i tą hollywoodzką urodą, której zazdrościła jej córka.

Dominika poczuła zalewającą ją falę wzruszenia i musiała oprzeć się o stolik. Było to jednak wzruszenie uskrzydlające, dodające wiary i smakujące jak pocałunek anioła.

Oklaski ucichły i dziennikarka znów zabrała głos:

– Szanowni państwo, nie przeciągajmy już tej chwili. Zaprosimy jeszcze głośniejszymi owacjami współautora *Cynamonowych gwiazd*, pana Patryka Zawiszę.

Huknęły brawa, okrzyki, gwizdy i piski i zza tylnej ściany namiotu wyłonił się Patryk. Już nie było śladu po zdenerwowaniu, wyglądał jak zjawisko nadprzyrodzone, w tym idealnie skrojonym garniturze, z niewyobrażalnie piękną twarzą i uśmiechem, od którego można było zapomnieć o bożym świecie.

Przywitał się z prowadzącą, podniósł czekający na niego mikrofon i czekał na zadanie pierwszego pytania.

– Patryk Zawisza, człowiek, o którym dotychczas niewiele słyszeliśmy – zaczęła Fluder – a od dzisiaj autor bestsellera, którego pierwszy, w dodatku niemały nakład wyczerpał się po trzech pierwszych dniach przedsprzedaży. Kim jesteś i gdzie się dotąd chowałeś?

Zawisza uniósł kącik ust i spojrzał na widownię. Dziesiątki, nie! Setki uśmiechniętych twarzy w napięciu czekały na jego odpowiedź.

– Dziękuję za tę znakomitą reklamę, Aniu, z pewnością teraz sprzedaż jeszcze bardziej wystrzeli – zażartował. – Zacznę od tego, że jestem odpowiedzialny jedynie za połowę tego sukcesu, ponieważ jestem jednym z dwojga autorów. – Znów rozglądał się po ludziach, wpatrzonych w niego jak w obraz, ale dopiero gdy spostrzegł Dominikę, na jego twarzy odmalowała się ulga. – Historia, którą oddajemy w państwa ręce, nie powstałaby, gdyby nie druga część tego tandemu, wspaniała autorka, a w dodatku bohaterka tej opowieści.

Dominika przełknęła ślinę i poczuła, że pieką ją oczy. Cholera jasna, tylko się nie rozplacz!

– Masz na myśli Patricję McKnight, której tożsamość wciąż zostaje nieujawniona? No właśnie, zdradz nam, Patryku, jak to się stało, że bestsellerowa autorka, kojarzona dotychczas z romansami, zgodziła się stworzyć w duecie przejmującą powieść obyczajową, w dodatku w parze z mężczyzną? To raczej nie jest popularna konwencja wśród autorów.

Patryk odpowiadał płynnie, doskonale przygotowany na te pytania. Przegadywali je miliony razy, gdy zdecydowali się na wydanie *Cynamonowych gwiazd*. Mimo że mówił o sobie, Dominika dobrze wiedziała, że myśli o niej. O jej historii, jej wrażliwości, jej miłości i jej złamanym sercu. Chociaż właściwie to ostatnie mogło dotyczyć obojga.

– Zawsze chciałem pisać o emocjach. O relacjach, tym, co ważne, o ludziach, ich marzeniach i walce o ich spełnienie – zakończył odpowiedź Zawisza.

– I o babci? – zażartowała dziennikarka.

– Zwłaszcza o babci! Nie chciałybyś mieć takiej babci?

– Ja bym chciała kiedyś być taką babcią! – odpowiedziała Fluder ze śmiechem. – Poznałeś panią Kazimierę?

– Tak, miałem ten zaszczyt i na kilka tygodni przed jej śmiercią udało mi się spędzić z nią trochę czasu. To była wyjątkowa kobieta.

Nie dało się nie płakać. Łzy płynęły po policzkach Domi, a ona stała, całkowicie niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu.

– Jeśli dokładnie ją opisałeś, to musiała być niewątpliwie wyjątkowa – podsumowała Fluder. – A pozostałe bohaterki tej książki, mam na myśli córkę i wnuczkę Kazimierzy, nie miały nic przeciwko wystąpieniu w roli bohaterek?

Zawisza zawahał się lekko i zerknął na Dominikę. Uśmiechnęła się do niego i niemal niezauważalnie pokręciła głową.

– Mam wrażenie, że autoryzując tę historię, uświadomiły sobie, jak piękną rzecz mają do sprezentowania światu. Tyle emocji, tyle mądrości, to nie mogło się zmarnować. Gdy tylko poznałem te trzy gwiazdy, wiedziałem, że to właśnie jest historia, jaką chcę opowiedzieć moim czytelnikom – zakończył miękko.

– Dowiedziałam się, że lada moment zostaniesz także ojcem – zaskoczyła go Fluder. – Która z tych nowych dla ciebie ról stresuje cię bardziej?

– Obie stresują mnie tak samo i obie na równi ekscytują – odpowiedział, odrobinę spieszony. – Mam jednak nadzieję, że w żadnej z nich nie zawiodę.

Spotkanie trwało niemal dwie godziny, pojawiły się pytania od publiczności, dziesiątki autografów, setki zdjęć, wywiady, krótkie rozmowy. Było ciemno, kiedy dziedziniec zamku opustoszał.

– Odwiozę cię do domu – zaproponował Patryk, żegnając się z Dominiką.

– Nie, dzięki, pojedę z mamą i Sławkiem.

– Dziękuję ci, Domi. – Spojrzał na nią czule. – Za wszystko, nawet za to, o czym jeszcze nie wiemy.

– Cieszę się, że jesteś szczęśliwy – odparła zakłopotana.

Cmoknęła go w policzek i ruszyła w kierunku parkingu, na którym Lucyna ze Sławkiem już na nią czekali.

– Ty też będziesz! – krzyknął za nią. – Wiesz o tym?

Wiem, pomyślała Domi i uśmiechnęła się do siebie.

KONIEC



Od autorki

Kiedy w styczniu 2022 roku spotkałam się w Warszawie z Agnieszką Trzeszkowską, *Cynamonowe gwiazdy* były zaledwie mglistym planem na opowieść o dziewczynie, która dostaje szansę spełnienia marzenia o pisaniu książek. Oczywiście jest, że Domi patrzyła na tę szansę moimi oczami i pakowała się na Teneryfę z radością, którą ja odczuwałam na myśl o rozpoczęciu życia pisarki. Jeszcze przed debiutem miałam szansę wzięcia udziału w warsztatach pisarskich, co prawda na Korfu, nie na Teneryfie, jednak z powodu wybuchu pandemii do wyjazdu nie doszło. Ale gdyby, to kto wie, czy nie nasłuchałabym się tego wszystkiego, co trafiło do uszu Dominiki Cynamon, czy nie uciekłabym z podkulonym ogonem, zakopując szkic *Pruskich bab* w czeluściach komputera. Tak się jednak nie stało – bogom dzięki! – a i skórę mam chyba grubszą niż moja bohaterka, bo nauczyłam się ignorować ciemne strony pisarskiego światka. Prawda jest jednak taka, że wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma, a gdzie są ludzie, tam są i źli ludzie, którzy żywią się złośliwością, zawiścią i knuciem. Z całego serca życzymy im, żeby usiedli gołymi dupami w pokrzywach.

To miała być komedia. Farsa nawet; dostałam za zadanie obśmianie zakłamania i przy okazji opowiedzenie jakiejś miłej historii z happy endem. Bardzo przepraszam, bo chyba nie wyszło... Niemniej wcale nie żałuję, bo wyszła mi książka o emocjach, a te lubię najbardziej: zarówno w literaturze, jak i w filmach, w sztuce, a w życiu to już w ogóle. Ja jestem bardzo emocjonalną osobą, nie ma co ukrywać, kocham ludzi (dobrych), szybko skracam dystans, a jak już kogoś sobie wybiorę do mojej paczki, to choćby się waliło i paliło, będzie mi na nim zależało. Tak samo jak Dominice, tak samo jak jej babci, tak samo jak wszystkim moim bohaterkom, które wybieram na protagonistki. Tak już mam, dziękuję, Babciu, lepiej by było, gdybym odziedziczyła Twój dar do robienia makaronu.

Skoro już jesteśmy przy wzruszeniach, to teraz poleci litania.

Gdyby nie wielkie oczy Agnieszki Trzeszkowskiej, która w ten styczniowy wieczór napaliła się na *Cynamonowe* jak szczerbaty na suchary, to pewnie długo jeszcze nie napisałabym tej historii. Ja nie wiem, skąd ta kobieta bierze takie pokłady wiary we mnie, ale daj jej, Panie Boże, żeby było to źródło niewyczerpane.

Kasia Zajac, czyli lewa półkula mózgu zwanego Miętą, jest jak plaster na serce autorki, koi i wspiera, kiedy człowiek ma ochotę spieprzać do jaskini. Inna rzecz, że bez Kasi to Mięta mogłaby się pogubić pod natłokiem papierkowej roboty, bo data premiery *Cynamonowych* codziennie była inna. Ave Kasia!

Jest też taka jedna Marzenka. Powinni dopuścić tę formę imienia w dokumentach, bo chyba nikt nie mówi o niej inaczej. Marzenka Olbryś. Ciocia Marzenka, Marzenka od książek, magiczna Marzenka, Marzenka od najlepszego brownie na świecie, Marzenka od koszulek. I, Drodzy Państwo, Marzenka od trzymania w pionie autorek. Gdyby nie ona, to ja bym trzy razy „umarnęła” i wróciła do korporacji. A wiecie, co Dominika myśli o korporacji, ma rację.

Dominika swoje imię zawdzięcza mojej przyjaciółce, która, jak zawsze, czytała tę książkę na bieżąco, rozdział po rozdziale. I uznała, że „dziwnie tak czytać swoje słowa”. Może dziwnie, ale z pewnością nie dziwniej niż pisać komedię, przy której wszyscy ryczą...

Patinkę Państwo znają, ale na pewno jeszcze nie było takiej sytuacji, żeby ta skała nieludzka płakała podczas lektury obyczajaju. No to płakała, nie ma za co.

W trakcie pisania tej książki wiele osób wspierało mnie mentalnie, wirtualnie, fizycznie i na każdy z możliwych sposobów, i każdemu z Was dziękuję z głębi serca: Pawłowi, Zuzie, Basi, Marcie, Jackowi, Anecie, Danusi.

I Wam, moi najukochańsi Czytelnicy, Wam jak zawsze dziękuję najbardziej.

A handwritten signature in black ink, reading "Malgorita Jaworska". The script is fluid and cursive, with the first name "Malgorita" on the top line and the last name "Jaworska" on the bottom line, connected by a long, sweeping flourish.